ROZMOWA „DO RZECZY”

Potrzebujemy negocjacji, nie eskalacji – Jeffrey Sachs o wojnie na Ukrainie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 38/545 18–24 WRZEŚNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Cejrowski chce rozliczenia rządu za szkodzenie ludziom w czasie pandemii COVID-19

FILM „DOWBUSZ”, CZYLI CO KIJÓW STARA SIĘ UKRYĆ PRZED POLAKAMI

Warzecha analizuje, ile zapłacimy za nowe obietnice polityków

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

BRUNATNA OBSESJA

Agnieszka Holland kolejnym filmem – o imigrantach – uderza w PiS

TANI PARKING

WYGODNY DOJAZD

DARMOWY BUS

LOTNISKO WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

KOMFORTOWY DOJAZD I TANI PARKING

LEĆ NA RDO.WAW.PL

eprasa.pl 60aa5cfbaf

W RZECZY SAMEJ

Inwestycje w bezpieczeństwo

PAWEŁ LISICKI

Niemal codziennie dowiaduję się o nowych, historycznych i przełomowych wręcz zakupach sprzętu wojskowego dla Polski – ostatnio rząd zobowiązał się do zakupu ok. 500 wyrzutni HIMARS za grube miliardy dolarów. Z pewnością stajemy się jednym z głównych odbiorców amerykańskiej broni. Jednocześnie stajemy się coraz większym dłużnikiem USA – duża część tych zakupów dokonuje się przez zaciągnięcie nowych kredytów. Ciekawe, że jest to wątek praktycznie nieobecny w polskiej debacie publicznej, tak jakby rosnące w astronomicznym tempie uzależnienie finansowe od naszego transatlantyckiego sojusznika było rzeczą bezwzględnie dobrą i zawsze dla polskiego interesu narodowego korzystną. Tak jakby ogół polskich elit politycznych był święcie przekonany, że podległość Waszyngtonowi zawsze Polsce służy. Co tam długi i kredyty, skoro dzięki temu będzie bezpieczniej. Czy tak jest, to się oczywiście okaże w godzinie próby – oby nigdy do niej nie doszło. Kiedy jednak czytam o kolejnych zakupach i pożyczkach, przypomina mi się opis relacji brytyjsko-amerykańskich, który w niezrównany sposób przedstawił kilkanaście lat temu Pat Buchanan. W swojej książce analizował to, jak doszło do upadku imperium brytyjskiego.

Buchanan, katolicki i konserwatywny publicysta co się zowie, nie jest zawodowym historykiem, ale może dlatego właśnie jego oceny są tak trzeźwe i często trafne. Przypomnę, że nie tylko ubiegał się on o nominację z ramienia republikanów na prezydenta, lecz także sam był doradcą trzech amerykańskich szefów państwa – Richarda Nixona, Geralda Forda i Ronalda Reagana. Na polityce zagranicznej zna się zatem jak mało kto i nie jest to wiedza czerpana z książek, archiwów czy dokumentów, ale z pierwszej ręki. Otóż Buchanan wykazał, sądzę, że kluczowym momentem, który zaważył na późniejszym rozpadzie imperium brytyjskiego, była decyzja Londynu z początku lat 20. XX w. o nieprzedłużaniu paktu z Japonią.

O szkodliwości takiej decyzji byli przeświadczeni praktycznie wszyscy brytyjscy politycy. Wiedzieli doskonale, że Japonia podczas pierwszej wojny światowej była dla Wielkiej Brytanii partnerem lojalnym i niezwykle przydatnym. To sojusz z Tokio zapewnił Brytyjczykom praktycznie wolną rękę na Pacyfiku i pozwolił skierować wszystkie siły z kolonii do Europy. Brytyjczycy nie mieli wątpliwości, że w żywotnym interesie imperium leżało przedłużenie paktu. Wypowiedzenie porozumienia oznaczało, że w przypadku konfliktu azjatyckie posiadłości nie będą mogły być chronione przez centrum. Ponadto można było mieć pewność, że odepchnięci przez Brytyjczyków Japończycy poczują się obrażeni i będą się próbowali zemścić. A jednak, mając tę wiedzę, że porozumienie z Japonią jest kamieniem węgielnym własnego bezpieczeństwa i trwałości imperium, Londyn paktu nie przedłużył. Dlaczego?

Buchanan opisuje to szczegółowo i beznamiętnie. Powodem był sprzeciw Ameryki, która już wtedy coraz bardziej łakomie spoglądała na Pacyfik. Nic nie dawały zatem przekonywania, naciski, próby perswazji i tłumaczenia. Nagle okazało się, że nic nie znaczyły szczególne więzi, kulturowa bliskość, jedność języka, wspólnota cywilizacji amerykańsko-brytyjskiej. Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że Londyn musi położyć uszy po sobie i podjąć decyzję dla siebie skrajnie szkodliwą. Nie mógł postąpić inaczej, bo – jak przypomina Buchanan – już wtedy, po pierwszej wojnie światowej, Brytyjczycy siedzieli w kieszeni amerykańskich banków. Wskutek wojny zadłużenie Wielkiej Brytanii wobec USA wzrosło… 14-krotnie. Gdyby zatem komuś w Londynie przyszło do głowy, żeby jednak przedłożyć własny interes i przedłużyć pakt wbrew Ameryce, można być pewnym, że amerykańscy wierzyciele natychmiast zażądają spłaty kredytów wojennych.

Jest kilka morałów z tej historii. Po pierwsze, tym, co dla każdego państwa jest najważniejsze, a na pewno odnosi się to do wielkich potęg, jest jego własny interes. Amerykanie doskonale zdawali sobie sprawę z sytuacji Brytyjczyków, ale uznali, że w dłuższej mierze zerwanie brytyjskiego paktu z Japonią im się opłaca. Nawet jeśli pociągało to za sobą poważne kłopoty i praktyczny rozpad sojuszniczego imperium. Po drugie, rosnące zadłużenie oznacza zawsze rosnącą zależność. Należy zatem unikać, na tyle, na ile to tylko możliwe, wiązania się wyłącznie z jedną, choćby pozornie przychylną Polsce potęgą. W sytuacji wyboru Waszyngton będzie brał zawsze w pierwszej uwadze swój interes, a nie cudzy. Inne podmioty będą dla niego narzędziem budowania własnej mocy. Jak zauważył cytowany przez Buchanana lord Palmerston, państwa nie mają przyjaciół, a tym, co decyduje o ich znaczeniu, jest siła.

Nie mam wrażenia, żeby ten sposób myślenia dominował wśród polskich polityków. Dla wielu z nich Ameryka jawi się wyłącznie i bezwarunkowo jako dobrotliwy i życzliwy gwarant bezpieczeństwa, jedyny punkt oparcia. Należy zabiegać o jej uznanie bez względu na koszty. Rachunek zawsze ma być dodatni. Historia pokazuje, jak ryzykowna może być taka wiara. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

TEMAT TYGODNIA

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
HOLLAND: KOZETKA DLA SALONU
Opozycja przed wyborami sama się pogrąża

24 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
DZIEŁO PEŁNE KŁAMSTW

26 KACPER KITA
CO POLACY MYŚLĄ O MIGRACJI?

KRAJ

28 ŁUKASZ WARZECHA
STO, CZYLI ILE?
Przedwyborczy festiwal obietnic

32 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
WIDMO CHAOSU

34 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
REWIZJONIZM HISTORYCZNY NA ŚLĄSKU

36 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM SOPIŃSKIM
CHCEMY STAĆ SIĘ UNIWERSYTETEM WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZWAŻYĆ UCZNIA

40 ZUZANNA DĄBROWSKA
NIE MA JAK U MAMY?

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ALFABET KRZYSZTOFA MASŁONIA
Ludzie kultury w oczach krytyka. Część 4

48 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
PO WENECJI, PRZED GDYNIĄ

50 PIOTR GOCIEK
NIE KŁAM, KOCHANIE

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 ROZMOWA Z JEFFREYEM SACHSEM
POTRZEBUJEMY NEGOCJACJI, NIE ESKALACJI
Rząd USA kłamie i wszyscy to wiedzą

78 TERESA STYLIŃSKA
STERYLIZACJA DLA DOBRA ŚWIATA

DODATEK SPECJALNY

61
CZY REWOLUCJA LGBT ZOSTANIE ZATRZYMANA?

HISTORIA

80 ROZMOWA Z PIOTREM ŁOPUSZAŃSKIM
O CZYM SIĘ NIE PISZE
Ludzkie oblicza pomnikowych postaci

ŚWIAT

84 PIOTR SEMKA
SŁOWACJA SKRĘCA NA LEWO
Robert Fico wraca po władzę?

86 WITOLD REPETOWICZ
GRA O KAUKAZ

88 MACIEJ PIECZYŃSKI
SOWIECKA POLONOFOBIA W UKRAIŃSKIM KINIE

EKONOMIA

92 JACEK PRZYBYLSKI
CHIŃCZYCY WJEŻDŻAJĄ DO EUROPY
Czy Denza i Xpeng zastąpią Renault i Porsche?

SPORT

98 ŁUKASZ MAJCHRZYK
POTRZEBNY TRENING POKORY
To nie mogło się udać

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ŻEBROWSKI, KOPER (82), PRZYBYLSKI (90), GABRYEL, WARZECHA (95), KOMUDA (102), POSPIESZALSKI, KARWELIS (103), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (104), KRATIUK (105), CEJROWSKI (106)

eprasa.pl 60aa5cfbaf

DODAJE BLASKU

CHWILOM

KOLEKCJA RAY

Kolekcja Ray to nowoczesna, elegancka linia szkła w kształcie rombu. Niskie szklanki do whisky o klasycznym, prostym wyglądzie idealnie sprawdzą się podczas eleganckich uroczystości, jak i na co dzień. Charakterystyczny kształt rombu nie tylko ułatwia trzymanie serwowanego napoju, ale także jest pięknym uzupełnieniem stołu, niezależnie od zastawy. Smukła forma ze zwężanym dnem spodoba się miłośnikom gustownego minimalizmu.

100 LAT krosno®

krosno.com.pl

eprasa.pl 60aa5cfbaf

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Agata Kubis, Maria Laura Antonelli/Shutterstock/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Niemcy czy naziści", Leszek Żebrowski, „DRz" nr 36/2023

Szanowny Panie Redaktorze,
gratuluję podjęcia tego tematu! Każde użycie słowa „naziści" zamiast „Niemcy" to wpisywanie się w politykę oczyszczania Niemców z win, które prawie cały naród niemiecki popełnił w czasie drugiej wojny światowej.

Ja w dniu wybuchu Powstania Warszawskiego miałem dokładnie 6,5 roku, a dwa miesiące później, wychodząc z piwnicy naszego domu na Żoliborzu, spotkałem Niemca w mundurze, który z odległości 1 m wycelował we mnie swój automat, wrzeszcząc: „Hände hoch!". I na pewno nie było to w języku nazistowskim, jak i powtarzane wrzaski: „raus!" „schnell!". Podobnie na przednich wejściach do tramwajów i na wybranych restauracjach wszędzie napisy brzmiały „Nur für Deutsche", a nie „Nur für Nazis". Ani wtedy, ani przez następne 15 lat pojęcie „naziści" było w ogóle nieznane. Termin ten wymyślili niemieccy propagandyści, by zrzucić z siebie odium potwornych zbrodni popełnionych w czasie drugiej wojny. [...]

Panie Redaktorze, uważam, że każde użycie słowa „naziści" zamiast „Niemcy" to wpisywanie się w zakłamaną propagandę niemiecką. Wszyscy dobrze wiemy, że błogosławioną rodzinę Ulmów zamordowali Niemcy, a nie żadni naziści.

Jeszcze raz gratuluję naświetlenia tematu i pozostaję z poważaniem.

Tadeusz Szostak

Prąd za darmo!

Pani Biejat z Lewicy wyjawiła, że w programie partii jest bezpłatny prąd dla wszystkich. Myślę, że szczególnie zachwyceni tym punktem będą wszyscy ci, którzy wydali często spore pieniądze na instalacje fotowoltaiczne, aby zaoszczędzić na rachunkach za prąd. Cała branża fotowoltaiczna zbankrutuje, bo nikt nie będzie już wyrzucać pieniędzy w błoto na panele. A co zrobią ci seniorzy, którym Pawlak radził, aby pracowali w fotowoltaice? Wiele osób ma dwutaryfowe liczniki prądu. Tańsza energia w określonych godzinach skłaniała do rozsądnego gospodarowania energią i np. włączania pralki czy zmywarki w tańszych godzinach. Teraz nikt nie będzie się tym przejmować.

A zatem: Głosuj na Lewicę!

dr Georg Nowak-Krogh

eprasa.pl 60aa5cfbaf

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pogawędka w „Churchill Room”

PIOTR SEMKA

Szacowna sala „Churchill Room” w gmachu brytyjskiego parlamentu gościła w zeszłym tygodniu wystawę na temat skali strat Polski w drugiej wojnie światowej. W trakcie rozmowy z jednym z brytyjskich publicystów mój interlokutor nie negował, że po wojnie nie otrzymaliśmy na czas odpowiedniego wynagrodzenia za nasze krzywdy. Ale uśmiechając się dość życzliwie, skwitował sprawę słowami: – Teraz jest już na to za późno. Od wybuchu wojny minęło 78 lat.

– Nie bierze pan pod uwagę – wskazałem – że licząc od września 1939 r., Polska jest niepodległa dopiero od 1989 r. Aż do tej daty cierpieliśmy dominację Rosji, która wymusiła na polskim marionetkowych prezydencie Bolesławie Bierucie zrzeczenie się roszczeń wobec obydwu państw niemieckich.

– No to dlaczego nie wystąpiliście o roszczenia w 1990 r.? – zapytał mój brytyjski rozmówca.

– Dlatego, że w czasie konferencji 4 + 2, na której negocjowano warunki zjednoczenia Niemiec, uwagę naszej dyplomacji bardzo długo zajmowały takie „niuanse”, jak wydobycie od kanclerza Helmuta Kohla ostatecznego uznania granicy na Odrze i Nysie. A potem kolejni premierzy ulegli retoryce, że teraz będziemy z naszymi zachodnimi sąsiadami żyć długo i szczęśliwie.

– No to co spowodowało, że w końcu pojawiły się u was żądania powrotu do sprawy odszkodowań?

– Polska polityczna prawa strona doszła do tego po wielu różnych rzeczach, które Polaków zabolały. Zaczęło się pewnie od nieznanej panu Eriki Steinbach, która zapowiedziała powstanie powiernictwa pruskiego, które miało pozywać Polskę za stracone majątki Niemców na Pomorzu, Śląsku i na Mazurach. Potem było mnóstwo rozmaitych drobiazgów. Od oskarżania Polski o współudział w Holokauście do niemieckiego serialu, który zniesławiał naszą podziemną Armię Krajową. Myślę, że do takich rzeczy dorasta się po latach.

Przez kolejny kwadrans wskazałem mojemu rozmówcy przykład Namibii. Berlin prowadzi rozmowy na temat jakiejś formy odszkodowań. Masakra ludów Herero i Nama miała miejsce w latach 1905–1908. Z 80 tys. przetrwało tę operację tylko 15 tys. ludzi. Kiedy Namibijczycy mieli występować o odszkodowania? Niemcy ostatecznie wycofali się z Namibii w 1918 r. Potem krainą tą zarządzała RPA, która miała krzywdę ludu Herero i Nama gdzieś. Niepodległość Namibia odzyskała w 1990 r. Niemal tak samo jak my. Aby dojść do przekonania, że Berlin powinien zapłacić za krzywdę, musiało minąć kolejne 25 lat.

– Wie pan, mieliśmy kiedyś takiego satyryka, Sławomir Mrożek się nazywał. Kiedy w latach 60. i 70. kolejne afrykańskie państwa odzyskiwały niepodległość, a my byliśmy pod butem Moskwy, to pisał w „Donosach”: „Polacy to też Murzyni, tylko biali. I też chcą niepodległości”. No to teraz możemy gorzko zażartować. My też jesteśmy Namibijczycy, tylko nieco jaśniejsi. I może nam też jakieś odszkodowanie się należy.

Anglik uśmiechnął się niepewnie. Być może zastanawiał się, czy zbytnio nie igramy z zasadami political correctness. Zostawiłem go z tym problemem samego. ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

ZIEMKIEWICZ NAGRODZONY

Publicysta „Do Rzeczy”, dziennikarz i twórca literatury z gatunku fantastyki Rafał A. Ziemkiewicz został laureatem Nagrody im. Tomasza Merty „Między Literaturą a Historią”, nagrody specjalnej przyznawanej przez ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego. Jak co roku prof. Gliński rozdał również Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego osobom, które przyczyniły się do rozwoju, upowszechniania i ochrony kultury. Nagrody przyznano w 18 kategoriach. ***(jap)***

eprasa.pl 60aa5cfbaf

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zasięgi

Uwaga, reklamodawcy, jest promocja. Kto wykupi u nas stronę, w pakiecie dostaje obszerny tekst reklamujący jego reklamę na portalu gazeta.pl, co więcej, przez pół dnia, w godzinach największego internetowego ruchu, na stronie głównej. Jakie to są zasięgi? Nie wiem, przyznam szczerze. Ale to się da sprawdzić. Najważniejsze, że tekst na gazeta.pl napisany będzie tak, że, gwarantuję, każdy, kto go przeczyta, poczuje się zachęcony do nabycia reklamowanego u nas produktu.

Kto nie wierzy, zachęcam do zapoznania się z dziełem Grzegorza Wysockiego „Otwieram »Do Rzeczy« i oczom nie wierzę", zamieszczonym przez ten portal 13 września. To tekst przewrotny. W stylu sławnego przedwojennego listu do „Ikaca": „My, lokatorzy budynku Zielona 87/89, stanowczo protestujemy przeciwko nowo otwartemu w naszej kamienicy przybytkowi rozpusty, oferującemu pełną gamę perwersyjnych uciech zdolnych zaspokoić gusta nawet najbardziej zdeprawowanej klienteli, każdej nocy od godziny 20 do ostatniego klienta, w suterenie na lewo, pukać trzy razy". Redaktor Wysocki niby to oburza się na firmę Ikea, że wykupiła w naszym tygodniku reklamę foteli, a to tygodnik „homofobiczny", notorycznie demaskujący ideologię LGBT, więc – hańba!!! No, ale przecież każdy wie, że w reklamie nie ma złego rozgłosu.

W imię przysporzenia nam rozgłosu redaktor skłonny był nawet narazić się na śmieszność, promując dość absurdalną tezę, jakoby reklamą rządziła walka polityczna i ideolo – a nie koszt dotarcia, grupy docelowe etc. Cóż, w kraju, w którym jednym z największych domów reklamowych kieruje Jakub Bierzyński, na co dzień szalejący po mediach i „socjalach" jako zupełnie oszalały z nienawiści, antypisowski hejter godny złotej, honorowej odznaki „silnych razem", i nikogo to nie dziwi – może i głoszenie takich tez nie jest bulwersujące. Ale nie zmienia ono tego, że reklama to reklama. Więc dziękujemy w imieniu własnym i naszego reklamodawcy.

Swoją drogą, pracownicy gazeta.pl zwykli się obruszać, gdy myli się ich z „Gazetą Wyborczą". Ale właściwie dlaczego? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Reakcja, nie histeria

Agnieszka Holland jest wybitną polską artystką. Nie lubiłem jej wczesnych filmów, nawet jeśli przesłanie niektórych było mi bliskie. Męczył mnie ich turpizm, ale to była wówczas modna maniera odreagowywania PRL. Ale potem, po wyjeździe do Ameryki, to się zmieniło, filmy Holland zaczęły oddychać, nabrały życia. „Trzeci cud" to wspaniały obraz religijny. „Obywatel Jones" to wielkie antykomunistyczne świadectwo. Jeśli teraz nakręciła coś, co będzie nas drażnić, co pewnie mądre nie jest, to trudno. Po co wszystko komentować? Czy nie lepiej pisać o filmach, które mówią prawdę o skutkach imigracjonizmu, jak francuskie „Pokolenie nienawiści" („La Journée de la jupe") czy niemiecki „4 Blocks"? Najlepiej jeśli „Zielona granica" będzie inspirować innych twórców do artystycznej odpowiedzi. Zresztą już od dłuższego czasu na inscenizację czeka świetny „Adwent" Bronisława Wildsteina, nie wiadomo dlaczego niezaprezentowany do tej pory przez Teatr Telewizji.

W zakończeniu serialu „Wojna wietnamska" (to jeden z najlepszych filmów dokumentalnych, jakie widziałem) występuje gen. Merrill McPeak, weteran z Wietnamu i potem szef sztabu amerykańskich sił powietrznych. Mówi z dumą o swej służbie, ale dodaje, że ruch antywojenny to część amerykańskiej kultury, doświadczenie pokolenia, dziesiątki przebojów, które ciągle brzmią nam w uszach jak piosenki z „Hair". Z takim dystansem (i z taką dumą) na historię patrzą wielkie narody, co przecież stanowi również nasze powołanie.

Nie potrzebuję aprobaty pani Holland, by bronić białoruskiej granicy przed imigracyjnym korytarzem Putina-Łukaszenki. A przecież „Obywatela Jones'a" polecę każdemu cudzoziemcowi, który nie wie (albo nie chce nic wiedzieć) o zbrodniach Związku Sowieckiego i przyzwalającym milczeniu Zachodu. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2023

XI EDYCJA

WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

JUŻ WKRÓTCE

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNERZY

Lasy Państwowe 100 LAT 1924–2024 Lasów Państwowych

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

INSTYTUT DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego

FUNDUSZ PATRIOTYCZNY

Dofinansowano ze środków Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego w ramach Funduszu Patriotycznego

eprasa.pl 60aa5cfbaf

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIECZEŃ RZYMSKA

O Nikiforach gospodarki i finansów

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Był rok 2020. Italii premierował pożyczony przez Ruch Pięciu Gwiazd z uniwersytetu nieznany nikomu prawnik Giuseppe Conte. Rządziła koalicja oszołomów z Ruchu i zideologizowanych postępowców Partii Demokratycznej, czyli mieszanka piorunująca. Filarem koncepcji gospodarczo-społecznych obu ugrupowań było i jest rozdawnictwo pieniędzy z budżetu i podwyższanie podatków. Najpierw wymyślili pensję obywatelską, by bezrobotni mogli znaleźć pracę. Koszt: 30 mld euro, a zysk zero.

Potem, aby ożywić gospodarkę kulejącą z powodu pandemii, wykoncypowali tzw. superbonus 110. Jeśli ktoś zdecydował się na remont domu pod kątem modernizacji i oszczędności energetycznych, to albo właściciele, albo firma remontująca otrzymywali zwolnienie podatkowe na całość sumy plus 10 proc. Czyli państwo płaci za remont i zostawia napiwek. Te ulgi podatkowe można było sprzedać za gotówkę np. bankom, które oczywiście też na tym zarabiały. Pomysłodawcom najwyraźniej umknęło, że pieniądze nie rosną na drzewach.

Księgowi Contego wyliczyli, że superbonus będzie kosztował skarb państwa góra 35 mld euro. Wprowadzili go w życie, by natychmiast stracić nad nim wszelką kontrolę. Jak to w budownictwie, wszystko wymaga czasu i lubi się opóźniać. Nikt sobie nie zdawał sprawy z ogromu remontowego boomu. Poza tym wszystko skonstruowano tak sprytnie, że skutki finansowe superbonusu państwo odczuje dopiero dwa, trzy lata później, czyli teraz. Efekt jest taki, że za szaleństwo rządu Contego musi teraz płacić obecny rząd. Jak się szacuje, nawet i 170 mld euro. To niemal 10 proc. włoskiego PKB.

Na takiej właśnie tykającej bombie siedzi premier Giorgia Meloni. Na razie bardzo trudno jest skonstruować budżet na przyszły rok. Kasa jest pusta, a do tego trzeba spłacać cudze długi. A sprawcy tej katastrofy, wskazując na fatalny stan finansów państwa, do którego sami doprowadzili, bez cienia zażenowania obwiniają za to obecny rząd i grożą wyprowadzeniem niezadowolonych na ulicę. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

GSK

pl.gsk.com

Jesteśmy jednym z największych producentów szczepionek na świecie

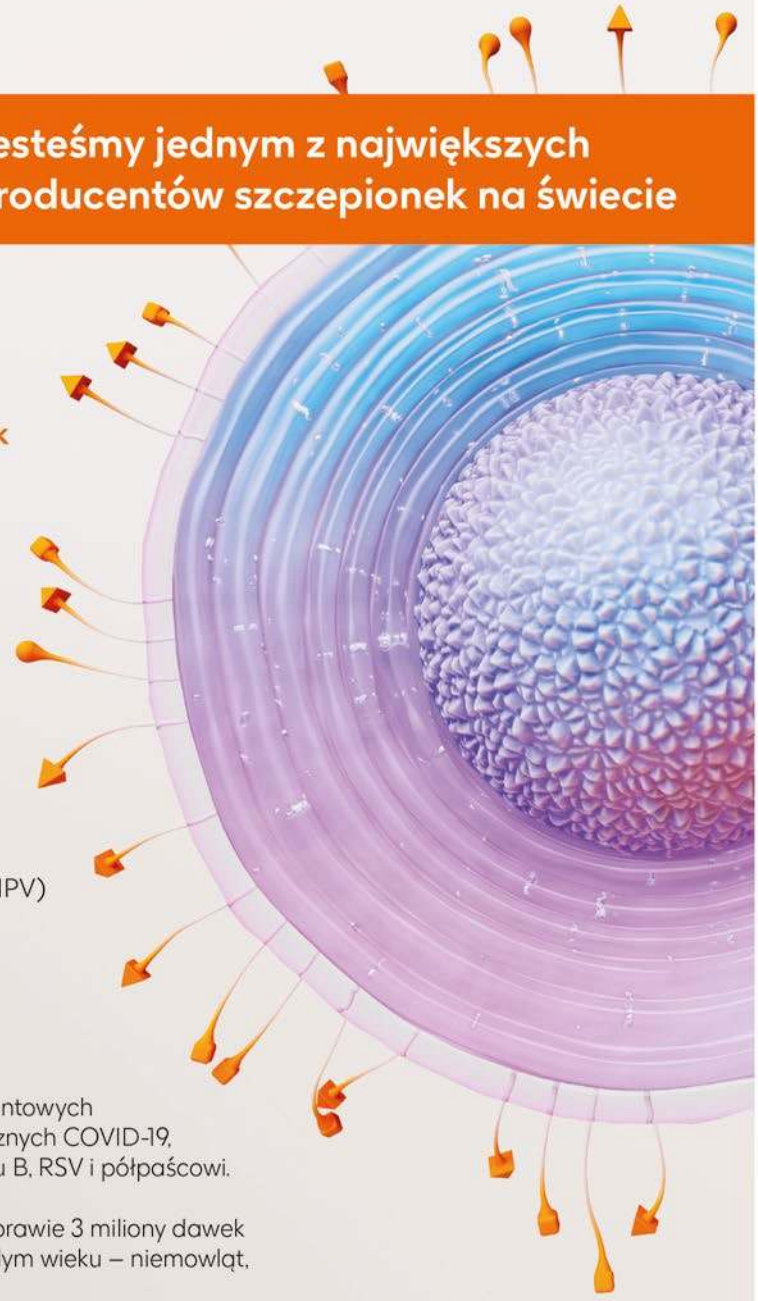

Nasze portfolio obejmuje innowacyjne szczepionki przeciw półpaścowi, RSV i meningokokom typu B, a także ponad 20 szczepionek od lat stosowanych w profilaktyce:

- krztuśca, tężca i błonicy u dzieci i dorosłych
- odry, świnki i różyczki
- WZW typu A i B
- WZW typu B u osób dializowanych
- inwazyjnej choroby meningokokowej (meningokoki typu B i ACWY)
- zakażeń pneumokokowych u dzieci
- zakażeń rotawirusowych
- zakażeń Haemophilus influenzae typu b
- zakażeń wirusem brodawczaka ludzkiego (HPV)
- ospy wietrznej
- grypy
- polio
- malarii

Jesteśmy wynalazcą platformy systemów adjuwantowych stosowanych w szczepionkach przeciwpandemicznych COVID-19, a także szczepionkach przeciwko HPV, WZW typu B, RSV i półpaścowi.

Każdego roku dostarczamy pacjentom w Polsce prawie 3 miliony dawek szczepionek zabezpieczając zdrowie osób w każdym wieku – niemowląt, dzieci i młodzieży, osób dorosłych oraz seniorów.

20+
szczepionek w portfolio

~3 mln
dawek dostarczanych każdego roku dla polskich pacjentów

4 na 10
dzieci na świecie otrzymuje każdego roku szczepionkę GSK

~2 mln
dawek dostarczanych codziennie pacjentom na całym świecie

Źródło: na podstawie raportu „GSK w Polsce. Innowacyjna firma biofarmaceutyczna. PARTNER POLSKIEJ GOSPODARKI", sierpień 2022

Sierpień 2023, SUPP-2302513

eprasa.pl 60aa5cfbaf

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ŻYCIOWE ROZKMINY

Monika Richardson dość często dzieli się filozoficznymi przemyśleniami na temat sensu życia. Jakiś czas temu opowiedziała o „rytuale smoczego oddechu", który odbyła przy wsparciu szamankojasnowidzki. Teraz z kolei poinformowała świat o swoim podejściu do religii. – Nie myślę o apostazji. Myślę, że Kościół ma wielką moc i wiara ma wielką moc. Jeżeli ktoś tę wiarę potrafi odnaleźć w Kościele katolickim, to znaczy, że ma szansę żyć bez lęku, żyć spokojnie, żyć zgodnie ze sobą. Jeśli tak się stanie, to chwała mu za to i można mu tylko zazdrościć – stwierdziła Richardson. Nie, nie, niech nikt sobie nie pomyśli, że stał się cud i w końcu jakiś celebryta postanowił powiedzieć kilka dobrych słów o katolicyzmie. – Fajnie by było, żebyśmy zdawali sobie sprawę, i chyba coraz częściej zdajemy sobie sprawę z tego, że rozwój duchowy i bycie człowiekiem duchowym nie muszą mieć czegokolwiek wspólnego z jakąkolwiek religią. Ani z katolicką, ani muzułmańską, ani nawet buddyjską – stwierdziła dalej Richardson. – Dopóki zdajemy sobie z tego sprawę i dajemy przyzwolenie na to, żeby duchowość znaleźć gdziekolwiek w życiu i dzięki temu pozbyć się tego lęku, który nam na co dzień towarzyszy, dopóty ja jestem za. Już dawno chyba stało się jasne, że Kościół katolicki nie ma monopolu ani na wiarę, ani na moralność, ani na bycie dobrym człowiekiem – przekonuje prezenterka. Wszystko dobrze, Moniko, ale nikt nie pytał.

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

SŁODKA BEZTROSKA

„Proszę Was nie piszcie mi wiadomości, że nowa partnerka mojego ex jest w ciąży. Ja to wiem od dawna" – napisała w mediach społecznościowych Magdalena Stępień, czyli była dziewczyna i matka dziecka Jakuba Rzeźniczaka. Pan Jakub, będący jednym z dwóch naczelnych amantów RP (tytuł ten dzieli z Antonim Królikowskim), pochwalił się niedawno, że jego poślubiona niecały rok temu żona jest w ciąży (żona nr 2, dodajmy; pierwszą była modelka Edyta Zając). Stępień w rozmowie z Kozaczkiem tłumaczyła, dlaczego zdecydowała się uprzedzić przyszłych rodziców i potwierdzić na Instagramie, że jej były zostanie kolejny raz ojcem. – Pewne sprawy i momenty w twoim życiu mają granice. Jeśli ktoś je przekracza, to musisz czasem je złamać i powiedzieć coś, czego być może normalnie byś nie powiedział. Jeśli ktoś, nie wiem, „pluje na ciebie", to ty nie możesz mówić, że deszcz pada, i siedzieć cicho. Ja długo siedziałam cicho i będę siedziała cicho, bo ja się na ich temat nie wypowiadam nigdy publicznie, do mediów nic nie mówię i podtrzymuję to. A tutaj po prostu została przekroczona granica przez pewne osoby i ja nie wytrzymałam i napisałam, co myślę i tyle – nie kryje oburzenia. Do sprawy odniosła się sama Paulina Rzeźniczak, czyli obecna żona piłkarza. – Dzięki Bogu czuję się dobrze i zdrowie dopisuje, choć ostatni okres nie był dla nas łatwy. Chcieliśmy wiadomość o ciąży zachować jak najdłużej dla siebie, gdyż pierwsze kilka miesięcy jest zawsze pod znakiem zapytania, nie wiadomo, co może się wydarzyć, i często nie ujawnia się tego faktu nawet rodzinie. Cieszę się, że w końcu mogliśmy się podzielić ze wszystkimi radosną nowiną, choć nie byliśmy pierwsi, co nie jest miłym doświadczeniem, zwłaszcza w tak ważnej dla nas sprawie – stwierdziła, nie kryjąc rozżalenia, czego trudno nie rozumieć. A Jakub, jak to Jakub. Beztroski, nie ma sobie nic do zarzucenia. Jak widać, dojrzałość nie zawsze przychodzi wraz z wiekiem.

JEST BARDZO ŹLE

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa". Dziś odmęty wersja light, czyli aktorka Grażyna Zielińska załamuje ręce nad „smolistym okresem" w dziejach Polski. Wielu kojarzy Zielińską m.in. z seriali „Na dobre i na złe" oraz „Ranczo". Aktorka, jak sama przyznaje, występowała też w innych programach TVP. – Kiedyś chętnie przychodziłam do „Pytania na śniadanie", brałam też udział w Wielkich Testach organizowanych przez TVP. Bardzo to lubiłam, ale odkąd zmieniła się władza, nie mam już na to ochoty – stwierdziła. – I mówię o tym wprost tym paniom, które dzwonią do mnie z podobnymi propozycjami. Wiem, że każdy jakoś musi zarabiać na życie i w TVP też ktoś musi pracować. Ale ja nie chcę i nie muszę. Mogłabym udawać, że boli mnie z lewej strony albo że nie mam czasu przyjechać na Woronicza, ale nie widzę takiej potrzeby. Po prostu grzecznie dziękuję za wszystkie propozycje z Telewizji Polskiej. Dopóki coś się tam nie zmieni, dopóty nie zamierzam z nią współpracować – deklaruje Zielińska. Jej zdaniem „to już nie jest telewizja publiczna, tylko partyjna". – Jestem zdruzgotana tym, co dzieje się w Polsce. Niestety, boję się, że wybory nic nie zmienią i czeka nas powtórka z rozrywki – emocjonuje się aktorka. – Ja żyłam za komuny, potem doświadczyłam kolorowych czasów, a teraz znowu nastał czarny, smolisty okres w dziejach naszego kraju. Jestem w tym wieku, że czegoś lepszego mogę już nie dożyć – dodaje „babka zielarka" z „Rancza". W Polsce jest tak źle i mrocznie, że każdy może mówić, jak jest źle i mrocznie. Bez jakichkolwiek politycznych reperkusji. Straszna ta dyktatura. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Twoja Domena, Twoja Tożsamość Online!

Odkryj idealną domenę internetową w naszej ofercie!

Unikalne i zapadające w pamięć adresy online na sprzedaż.

Zdobądź swoją przestrzeń w sieci już teraz!

Atrakcyjne ceny – wejdź na domenę aby sprawdzić cenę, złożyć ofertę lub skontaktować się z nami.

Lista atrakcyjnych domen na sprzedaż:

pilka24.pl
korba.pl
kulisy.tv
pitbul.pl
bloxpert.pl
wik24.pl
jakitaki.pl
ocen.pl
cgmk.pl
ituba.pl
blogzone.pl
ototrend.pl
ototred.pl
otostyl.pl
infotuba.pl
infotuba.eu
bokserek.pl
newspr.eu
capital-point.pl
capital-point.eu
newspr.pl
wik.com.pl
ototredy.pl
trafnie.pl
gretix.eu
ituba.com.pl
czytajozdrowiu.pl
poczytajozdrowiu.pl
gardenoffood.de
garden-of-food.com
ototrendy.pl
rytmzdrowia.pl
swiatkorzysci.com
swiatkorzysci.pl
swiatkorzysci.com.pl
adfreezer.pl
gardenoffoods.com

eprasa.pl 60aa5cfbaf

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak to jest, że gdy tylko do tego kraju przyjedzie przedstawiciel zachodniej Europy, iżby próbować nauczyć tubylców grać w piłkę, za chwilę albo musi uciekać jak Paulo Sousa, albo go zwalniają jak Fernanda Santosa.

Najwidoczniej ten kraj nie jest gotowy na zachodnią myśl szkoleniową, ale to doskonale wiemy. Mentalność tego kraju przecież jest wschodnia i nic dziwnego, że piłkarze nie potrafią lub nie chcą zaimplementować tego, co widzą na treningach. W konfrontacji z postępem są bezbronni niemal tak jak w konfrontacji z Albanią.

Zresztą środowisko piłkarskie w Polsce to niby jakie ma być, jak sam prezes pochodzi z branży disco polo i to on jest odpowiedzialny po części za to, czego słuchają mieszkańcy tego kraju.

Na Zachodzie wiadomo – prezes federacji to pewnie chodzi regularnie do opery, filharmonii albo słucha niszowych zespołów nowofalowych, o których nie pamiętają teraz nawet ich członkowie. A u nas co? Disco polo, kiełbasy na stadionach i rozczarowani zagraniczni szkoleniowcy. Wstyd.

Media w tym kraju bardzo się ekscytują i prowadzą w związku z tym narrację propagandy sukcesu, iż najmłodszy polski profesor dokonał ważnego odkrycia w medycynie. Of kors doceniamy. Ale czy naprawdę nie możemy się przez chwilę zastanowić, czy nie możemy odnosić też sukcesów w innych dziedzinach?

Zauważmy też, że w przypadku tej osoby wiek nie był przeszkodą w otrzymaniu tytułu profesorskiego. Czyli teoretycznie można założyć, iż wymagania co do tego są elastyczne i tak naprawdę profesorem przy odrobinie dobrej woli osób decyzyjnych może zostać odpowiednio wcześnie każdy?

Ileż to wtedy sukcesów mogłaby odnosić polska nauka w obszarach zainteresowań współczesnej młodzieży przechodzącej z wieku licealnego w studencki: w teorii zaimków, astrologii, gender studies czy social mediach.

Naprawdę nie blokujmy młodemu pokoleniu szans na karierę naukową, i to jeszcze w tych dziedzinach, na które jest obecnie popyt. Of kors szanujemy medycynę, ktoś nam musi wystawiać L4, jak przesadzimy z piwerkiem kraftowym bez sprajta, ale wymogi współczesności się trochę zmieniają, dlatego apelujemy: idźmy naprzód!!!

Widzieliśmy pewne smutne wyniki globalnego badania, iż młodzi ludzie na całym świecie, także w tym kraju, przestają wierzyć w demokrację.

Akurat młodym osobom z tego kraju się nie dziwimy, dla wielu z nich znaczna część świadomego obywatelsko życia to rządy sami wiecie kogo. Można więc stracić zaufanie do demokracji, jeśli ona tak wygląda, nie?

Jaka na to może być recepta w naszym kraju? Otósh naszym zdaniem zdecydowanie należy zwiększyć poziom obrażania wyborców prawicy, iżby wskazać, że demokracja demokracją, ale to nie jest tak, że można sobie głosować, na kogo się chce. Można też częściej organizować kampusy przyszłości, jakieś marsze pierdyliona serc, może czasem powstydzić się przed Zachodem. Ewentualnie jakieś akcje z zabieraniem dowodów babci, wnuczkowi czy sąsiadowi informatykowi, bo wiadomo, na kogo głosują kuce z IT.

To na pewno sprawi, iż młodzież tłumnie uda się na wybory, iżby celebrować demokrację, ale of kors w granicach ustanowionych przez odpowiednie autorytety. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Basen na każdym bloku!

Panie ministrze, na ostatni tydzień kampanii mieliśmy mieć jakiś wystrzałowy dodatek do tego programu dla blokowisk. Co pan wymyślił?
Panie prezesie, mam świetną propozycję. O, mam taką makietkę. Tu proszę spojrzeć. No i jak?

No... Makietka ładna. Blok jest. Trawka jakaś. Samochodów nie widzę dookoła.
No tak, bo to już jest po tym, jak zbudowaliśmy te garaże podziemne. Ale nie o to chodzi.

Plac zabaw jest.
Też nie to. Podpowiem panu prezesowi: o, tutaj. Tutaj, gdzie palcem pokazuję.

Aaa... A co to jest?
Basen!

Na dachu?
Tak jest! Program budowy basenów na dachach. „Basen Plus". Basen na każdym bloku!

A to nie będzie przeciekać jakoś?
No wie pan... Nie mówił pan, żeby coś tam liczyć czy sprawdzać, tylko żeby efekt był. No to chyba jest? ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Kobiety w Polsce znowu muszą czuć się bezpiecznie".

BORYS BUDKA, *poseł KO, o propozycji legalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży, na Twitterze*

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FIBA
EX3
2023

LUBLIN 2023
EUROPEJSKA STOLICA MŁODZIEŻY

U23 WORLD CUP
POLAND – LUBLIN

MISTRZOSTWA ŚWIATA U23

LUBLIN PLAC ZAMKOWY
27.09-1.10.2023

WSTĘP WOLNY

KONCERT CLEO
01 PAŹDZIERNIKA
GODZ. 15:00

ORGANIZATOR: PZKosz
PARTNER INSTYTUCJONALNY: Ministerstwo Sportu i Turystyki
MIASTO GOSPODARZ: Lublin
PARTNER GŁÓWNY: Lubelskie
PARTNER KOSZYKÓWKI 3X3: LOTTO
SPONSOR STRATEGICZNY REPREZENTACJI: ORLEN
SPONSOR GŁÓWNY REPREZENTACJI: Bank Pekao
SPONSOR: Krajowa Grupa Spożywcza
PARTNERZY: RMF, 4F, ALCALIA, HID NATION, SOLANO, enel-med, enel-sport, AEROWATCH

eprasa.pl 60aa5cfbaf

dwaj panowie g

Mamy złą wiadomość dla Złego Donalda z Sopotu i jego zwolenników. Otóż nie jest pierwszym, który wpadł na pomysł „100 konkretów". Dawno, dawno temu, podczas kampanii wyborczej 2007, niejaki Wojciech Olejniczak, ówczesny lider Lewicy i Demokratów (takie chwilowe przebranie SLD), ogłosił „100 konkretów Lewicy". Komentatorzy wtedy rżeli ze śmiechu, szydząc, że nikt tego nie spamięta. Zapraszamy do rżenia i teraz.

Głupia sprawa – mówiło się przez lata, że Tusk jest uczniem Angeli Merkel. Wychodzi na to, że jest uczniem Wojciecha Olejniczaka. Ba, jest jeszcze gorzej. W roku 2007 w imieniu Lewicy i Demokratów „100 konkretów" ogłaszał publicznie niejaki Marek Borowski, ówczesny szef Socjaldemokracji Polskiej. Być uczniem Olejniczaka to obciach. Ale być uczniem Borowskiego? To już koszmar.

Mamy też inne złe wiadomości dla Donalda. Otóż PiS zrobił pogłębione badania, ale nie takie sondażowo-partyjne, tylko żeby sprawdzić, jakie tematy ludzi grzeją. No i wyszło, że temat tego, jak to było za Tuska, nadal jest gorący. A oceny Donalda mocno się pogarszają. Co ciekawe, także w elektoratach Trzeciej Drogi i Konfederacji.

Z innych ciekawostek – z powyższych badań wynika też, że utrzymuje się wśród Polaków mocne wsparcie członkostwa w UE – coś ok. 80 proc. – ale mocno spada zaufanie do biurokracji unijnej. A teraz wisienka na torcie – Unia ma gorsze oceny niż Niemcy. Sami nie wiemy, czy nas to martwi czy cieszy.

Tymczasem Donald Tusk oświadczył na Twitterze (znanym teraz jako X), że chce mu się rzygać. Wkrótce o odruchach wymiotnych poinformował tą samą drogą także Michał Kołodziejczak, lider AgroUnii, który został teraz przystawkiem PeŁo. Wiele wskazuje na to, że jesteśmy na tropie 101. konkretu z programu PeŁo: „Niedobry posiłek".

Z tymi posiłkami zresztą sprawa jest ciekawa. PiS ogłasza, że będzie karmił ludzi w szpitalach. Lewica – że będzie karmić dzieci w szkołach. Na tym tle tylko PeŁo chce rzygać. Wyraźnie pozycjonuje się więc jako partia reprezentująca przejedzonych.

Pan Przystawek, znaczy Michał Kołodziejczak, wybrał się z polecenia Donalda z wiekopomną misją do Strasburga, by walczyć o dobro polskich rolników. Finał misji był dość żenujący. Otóż Pan Przystawek Michał zainstalował się na miejscach dla publiczności i podczas sesji europarlamentu buczał oraz coś tam sobie wykrzykiwał. Aż musiała go skarcić prowadząca obrady Austriaczka.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 60aa5cfbaf

W dodatku socjalistka. PiS, socjaliści, Austriacy – zewsząd te prześladowania patriotów.

Podczas tej samej sesji europarlamentu w Strasburgu za kulisami pojawił się niespodziewany gość. Był to znany mecenas Roman Giertusk. Przybył prywatnie, by pobiesiadować ze swoim druhem serdecznym Radkiem Sknerusem Sikorskim. Przynajmniej tak mówią wiewiórki, które widziały ich biesiadujących w restauracji dla eurodepów.

Łamanie sumienia Romana przez Peło przyniosło najwyraźniej rezultaty, gdyż wyglądał mało konserwatywnie. Ubiór jasny i czerwone skarpetki w bałwanki. Całkiem jakby siedział tam jakiś liberał albo inny zielony. Nie udało się nam ustalić, jakie Roman Giertusk miał buty, ale to nieistotne – ważniejsze są te, które szyje mu polska prokuratura.

Obecność wielkiej nadziei białych nie była jedyną sensacją w stołówce eurodepów. Druga była większa. Chodziło o objawienie się Ewy Kaili, bohaterki głośnego skandalu korupcyjnego w PE. Ewa jak gdyby nigdy nic spacerowała roześmiana, wylewnie witając się ze wszystkimi i ciepło gawędząc z obsługą. Jeśli szukacie jednej, symbolicznej sceny, która w skrócie ukazuje, czym tak naprawdę jest europarlament, to już opowiadamy. Otóż obsługa była wyraźnie skonfundowana i zażenowana zachowaniem i obecnością pani Kaili. Europosłowie – nie.

Z powodu nadmiaru informacji z Karpacza nie zdążyliśmy w ubiegłym tygodniu ustosunkować się do bardzo ważnej kwestii, to znaczy generatora memów stworzonego przez Peło. A sprawa jest dziwna, bo komentowane są jakieś drugorzędne wątki – że Peło zakazała używania różnych słów, że internauci i tak obrócili rzecz na swoje, znaczy na PiS-owskie. W tym wszystkim pominięto najważniejszy fakt. Nie jest prawdą, jakoby Peło stworzyła publiczny generator memów dopiero na kampanię wyborczą. Taki generator działa już bowiem od dawna. Nazywa się Budka z Leszczyną.

Skoro już o Eine Totalopposition – każdy dzień kampanii przynosi nowe, interesujące, a czasem zaskakujące wieści. Na przykład Lewica zainaugurowała nową akcję „Kobiety na wybory". Nie, to jeszcze nie jest zaskakujące. Ale to, że Barbara Nowacka ogłosiła, iż „Te wybory wygrają kobiety" – już tak. Wychodzi więc na to, że PiS jest kobietą.

Z zadowoleniem przyjmujemy jednocześnie propozycję, by Eine Totalopposition sformowała rząd już przed wyborami. Propozycję na łamach „GazWybu" sformułowała para profesorsko-doktorska od Sorosa. Chwalimy, ale jednocześnie ganimy, gdyż uważamy, że jest to propozycja zbyt powściągliwa. Czy Eine Totalopposition nie mogłaby po prostu powołać od razu całego Sejmu i Senatu, w dodatku wyłącznie ze swoimi posłami i senatorami?

Wracamy do sprawy wiz i kipiszu w MSZ. Opowieści o tym, jak to Unia Europejska albo USA naciskały na Polskę, by zrobić coś w tej sprawie, możecie między bajki włożyć. Operacja była prowadzona od ponad roku przez CBA z własnej inicjatywy. Zasadniczo przed wyborami miało już nie być spektakularnych akcji Abecadła, zwanego też dziewiątkami, zwanego też CBA. Ale w tym przypadku nie można było czekać.

Już tłumaczymy. Mówi się, że najciemniej pod latarnią, i tutaj to powiedzonko pasuje jak ulał. Otóż z dyżurki CBA do wejścia głównego MSZ jest może z 50 m. Tak więc agenci, którzy dokonali przeszukania w gabinecie Wawrzyka, naprawdę nie mieli daleko. Chodziło o to, by capnąć podejrzanego o łapówkarstwo na gorącym uczynku, zwłaszcza że agenci mieli świadomość, że lada moment dowiedzą się o wszystkim także inni uczestnicy procederu. Ktoś zapyta: Dlaczego nie capnięto zatem Wawrzyka? No cóż, jak mówi nasza znajoma wiewiórka, Sejm skończył swój żywot, nie bardzo miał mu kto uchylić immunitet.

Z kultury. Jeden z Panów G. był pięć lat temu w Berlinie świadkiem triumfu Agnieszki Holland z filmem „Pokot". Nie była to jednak nagroda Złotego Niedźwiedzia, tylko coś tam pośledniejszego. Postanowiliśmy potem sprawdzić, jak triumf przekłada się na zwykłe kina. Szału nie ma. Film przyniósł dochód w wysokości ok. miliona dolarów w samej Polsce. I… właściwie tylko w Polsce, bo nigdzie indziej nie wszedł nawet na ekrany, poza niszowymi pokazami. Zważywszy na to, że na film wydano prawie 13 polskich baniek, trudno mówić o sukcesie finansowym. Podobny sukces wróżymy „Zielonej granicy". To, co nas pociesza, to to, że ani na ten, ani następny film najwybitniejsza polska reżyser nie dostała nawet grosza z pieniędzy polskich podatników.

Skoro już o „Zielonej granicy". Wbrew jury w Wenecji uważamy, że dziełu Agnieszki Holland należy się jednak jakaś wielka nagroda, a nie tylko taka poślednia. Ale jaka? Międzynarodowa Stalinowska Nagroda Pokoju nie jest już przyznawana. Leninowska Nagroda Pokoju także, zwłaszcza że była to ta sama nagroda, przemianowana tylko w 1957 r. Potem władze Rosji dokonały karygodnego zaniedbania i nie ma niestety Wielkiej Nagrody Putinowskiej. Na szczęście jest Nagroda Państwowa za osiągnięcia w obronie praw człowieka przyznawana w Rosji od 2016 r. No to nominujemy!

Ze sportu. Są takie momenty w życiu Panów G., gdy czują ukłucie zazdrości w sercu. To te chwile, gdy ktoś inny wpadł na pyszny żart, a my, jako ludzie małostkowi i bez talentu, możemy tylko zazdrościć. Tak było, gdy przeczytaliśmy komunikat pewnego internauty po odwołaniu trenera reprezentacji: „Santos ubito!".

Na koniec o tym, że w tym roku święta przyszły wcześniej. Już wyjaśniamy. Otóż co roku w listopadzie i grudniu ma miejsce wysyp rozmaitych gal, imprez i koncertów. Różne resorty podsumowują mijające 12 miesięcy, wręczają nagrody, wyróżnienia i statuetki. W tym roku grudzień przyszedł we wrześniu, bo nagle okazało się, że wszyscy chcą podsumowań już teraz. Oficjalnie oczywiście wszyscy wierzą w wygraną w wyborach. Ale po co ryzykować? Poza tym nawet mimo wygranych wyborów szef tego czy innego resortu może się zmienić. Lepiej więc zorganizować galę teraz. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

NAJSILNIEJSZE TRZĘSIENIE ZIEMI W HISTORII MAROKA

Ponad 2,9 tys. osób zginęło, a co najmniej 5,5 tys. zostało rannych w trzęsieniu ziemi o sile 6,8 w skali Richtera. Jego epicentrum znajdowało się 72 km na południowy zachód od Marrakeszu.

Kataklizm obrócił w gruzy wiele wiosek i miasteczek. Szacuje się, że zniszczonych jest ponad 31 tys. budynków. W samym Marrakeszu zawaliły się niektóre budowle na wpisanym na listę UNESCO starym mieście. Uszkodzony został m.in. najbardziej znany symbol miasta, czyli Meczet Księgarzy, którego budowę sułtan Abd al-Mumin rozpoczął w 1147 r.

Podczas tragicznego w skutkach trzęsienia zdarzył się również cud: kilkuset mieszkańców wioski Ighil Ntalghoumt ocaliło życie, ponieważ brało udział w przyjęciu ślubnym na ulicach i podwórkach, więc gdy ich domy nagle się zawaliły, w środku nikogo nie było. Dzięki temu nie tylko wszyscy przeżyli, lecz także nie było nawet rannych. ***(jap)*** ©℗

FOT. MOSA'AB ELSHAMY/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 60aa5cfbaf

eprasa.pl 60aabcdbaf

Holland: kozetka dla salonu

Rafał A. Ziemkiewicz

Film Agnieszki Holland „Zielona granica", całkowicie pomijając jego ewentualną wartość jako dzieła sztuki filmowej i abstrahując od szczegółów, nieodparcie jawi się jako przejaw szaleństwa. I to na wielu poziomach – od bieżącej polityki partyjnej do psychologii indywidualnej i socjologii

FOT. PIOVANOTTO MARCO/ABACA/PAP

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Zacznijmy od bieżącej polityki: Agnieszka Holland wielokrotnie deklarowała się jako zagorzała przeciwniczka rządów Zjednoczonej Prawicy i zwolenniczka lewicowo-liberalnej opozycji. Brała udział w licznych marszach Komitetu Obrony Demokracji i Obywateli RP, przemawiała tam (media wielokrotnie cytowały jej słowa: „Chcemy, żeby znowu było, jak było"), trudno wręcz policzyć wywiady, w których krytykowała Polaków za zacofanie, zawiść i ciemnotę, niekiedy na granicy dobrego smaku: „Kiedy przyjeżdżam [do Polski], uderza mnie fala niedobrego powietrza, coś takiego jakby w zamkniętym pomieszczeniu ktoś bez przerwy puszczał bąki". Wydaje się, że taka osoba jest ostatnią, która chciałaby wysadzić w powietrze kampanię wyborczą PO i tym samym podarować znienawidzonemu Kaczyńskiemu trzecią kadencję.

A przecież każdy, kto ma blade pojęcie o nastrojach społecznych i choćby najpobieżniej zetknął się z sondażami, musi rozumieć, że miesiąc przed wyborami nie ma dla lewicowo-liberalnej opozycji bardziej niewygodnego tematu niż migranci nasyłani przez Łukaszenkę, stojącego za nim Putina i współpracującą z obydwoma mafię handlarzy ludźmi. Zdanie zdecydowanej większości Polaków jest tutaj absolutnie jednoznaczne: nie wpuszczać ich, są zagrożeniem – i wszelkie próby wzruszania polskich serc łzawymi opowieściami o kobietach i dzieciach ukrywających się rzekomo w lesie czy też zawstydzania Polaków malowaniem Świętej Rodziny za biało-czerwonymi szlabanami okazały się całkowicie nieskuteczne. Co najważniejsze – negatywny stosunek do nasyłanych ze wschodu migrantów deklaruje także większość wyborców PO i Trzeciej Drogi.

Film Agnieszki Holland oczywiście zapewne nie przyciągnie tłumów, a już na pewno tak licznych, by liczyły się one w wyborach (przypomnijmy, że uprawnionych do głosowania jest 29 mln). Nie ma jednak znaczenia, ilu ludzi go zobaczy i czy ktokolwiek ulegnie deklarowanemu przez reżyser w promocyjnych wywiadach i widocznemu w udostępnionym przez premierą trailerze antypisowskiemu przesłaniu. Premiera skupiła uwagę mediów, awantura o antypolski film podgrzała atmosferę i skierowała uwagę opinii publicznej ku wszystkiemu, od czego wrogowie rządu Zjednoczonej Prawicy powinni za wszelką cenę starać się w tej chwili odwracać uwagę.

DZIEŁO DO WALKI Z PIS

Z wypowiedzi Agnieszki Holland reklamującej swój film można odnieść wrażenie, że nie tylko zupełnie nie zdaje sobie sprawy ze skutków wyboru takiej właśnie daty na premierę, lecz także jest przekonana, iż opozycji pomaga. Nie ogranicza się do standardowych w jej środowisku argumentów humanitarnych czy etycznych, które można uznać (i większość Polaków tak uznaje) za przejaw naiwności i odklejenia od realiów, a także, jednak, idealizmu, który sam w sobie nie budzi potępienia. Holland sama zaprzęga swoje nieznane jeszcze widzom dzieło do walki z PiS. Wygłasza tezy (trudno z samego trailera orzec, czy zawarte także w filmie), że „reżim" Kaczyńskiego celowo utworzył na wschodniej granicy strefę bezprawia, by na „uchodźcach" przyuczać tam swoich funkcjonariuszy do bezwzględności i okrucieństwa, odczłowieczać ich i tresować w gotowości do popełniania zbrodni; wszystko to z myślą o użyciu ich potem do masowych i krwawych prześladowań opozycji.

Powiedzmy – pani Holland „odleciała", to się przecież artystom zdarza. Ale już pierwsze informacje o filmie i o jego przewidywanej wymowie pokazały, że w tym „odlocie" nie jest sama. Protuskowi intelektualiści jeden przez drugiego zaczęli wszystkimi dostępnymi sobie kanałami upowszechniać przekaz, że „Agnieszka Holland ratuje honor Polski", że trzeba stać za nią murem, wspierać ją, okazywać jej solidarność i chłostać jeszcze bardziej bezlitośnie niż dotąd polską hołotę, której wybitna artystka rzuca w oczy trudną prawdę o jej zdziczeniu. To ważny wątek: u początków operacji „Śluza", gdy jeszcze lewicowo-liberalne salony miały nadzieję, że „okrucieństwo" Straży Granicznej, którym rzekomo są „push-backi", spotka się ze społecznym potępieniem i obniży notowania rządzących, w lewicowo-liberalnej propagandzie rysowano obraz: zła, pisowska Straż Graniczna i policja prześladują uchodźców, ale dobra miejscowa ludność im pomaga, mimo grożących za to represji władzy. W reportażach „Newsweeka" pojawiały się postaci miejscowych, z narażeniem własnego bezpieczeństwa starających się „ratować kobiety i dzieci" z lasu. Ta wajcha została teraz diametralnie przełożona: Holland – a za nią całe jej środowisko – oskarża już nie tylko „reżim". Oskarżona jest cała Polska – oczywiście ta pisowska, prowincjonalna, na której tle tym większą świętością odznaczają się wielkomiejscy aktywiści, jedyni sprawiedliwi w ciemnym, dusznym i pełnym smrodliwych polskich „bąków" kraju.

Wpis dziennikarki, która kiedyś publikowała wspomniane teksty w „Newsweeku", a która teraz zestawiła „męczeństwo" aktywistów, przeprowadzających „uchodźców" przez kordony polskich prześladowców na upragniony Zachód, z męczeństwem beatyfikowanej rodziny Ulmów, nie należał wcale do odosobnionych. Męczennicą ogłoszono także samą reżyser. Wystarczyło, że minister Ziobro porównał jej dzieło do hitlerowskiego propagandowego filmu „Heimkehr", przedstawiającego rzekome prześladowania mniejszości niemieckiej w przedwrześniowej Polsce. Lewicowo-liberalne elity po raz kolejny zakipiały oburzeniem, obrzucając ministra i cały obóz rządzący obelgami i deklarując zachwyt nad odwagą prześladowanej artystki. A przy tej okazji umocniły obecność w mediach zabójczej dla opozycji narracji, tak że całkowicie przykryła ona takie wydarzenia, jak miażdżący dla rządu raport NIK o błędach i nadużyciach w czasie pandemii COVID-19. Trudno w tej sytuacji nie podejrzewać, że Ziobro swoim oświadczeniem z pełną premedytacją „przejechał prętem po klatce". Jeśli w istocie była to celowa prowokacja, mająca pobudzić antypisowskich intelektualistów i celebrytów do jeszcze głośniejszego „gęgu" (jak nazywałby to śp. Janusz Szpotański), to zapewne można się spodziewać następnych podobnych działań, ilekroć sprawa „Zielonej granicy" zacznie dołować w medialnych „trendach".

Donald Tusk jak mało kto ma dziś prawo powtarzać stare: „Strzeż mnie, Panie, od przyjaciół". Jeśli nawet on sam i jego partia zdają sobie sprawę, w jak złym kierunku poszły za sprawą Holland i jej krzykliwych akolitów sprawy, to nic nie mogą już zrobić. W światku dziennikarskim

eprasa.pl 60aa5cfbaf

mówi się, że politycy PO prosili Holland na wszelkie sposoby, aby opóźniła premierę swego dzieła o miesiąc, ale i ona, i wspierające ją salony były nieugięte. Czy naprawdę dlatego, żeby Holland wierzyła, jak to publicznie wyjaśniała, że musi pokazać film jeszcze przed wyborami, bo po nich, jeśli PiS wygra, to fizycznie jej dzieło zniszczy? Trudno ten argument traktować poważnie.

Wszystko tu wydaje się niepojęte. Jak można, wiedząc, co to jest operacja „Śluza", jakie służby i w jaki sposób ją prowadzą, widząc niezliczone filmy dokumentujące brutalne ataki intruzów na obrońców polskiej granicy, wmawiać sobie i innym, że w nadgranicznych lasach ukrywają się przed polskimi oprawcami jakieś kobiety z dziećmi, które uciekają przed wojną i w cudowny sposób znalazły się nagle tysiąc kilometrów od niej, w Polsce? Jak można nie przyjmować do wiadomości, że powtarza się tezy putinowskiej propagandy (która, oczywiście, podchwyciła dzieło Holland z nieskrywaną radością)?

POLITYCZNY BŁĄD

Wyjaśnienia szukać trzeba w mentalu lewicowo-liberalnej elity, której Agnieszka Holland jest tylko jednym z wielu charakterystycznych przedstawicieli. Donald Tusk, jak się wydaje, popełnił fatalny w skutkach błąd, nietrafnie oceniając motywacje tych środowisk. Uznał, że głęboka nienawiść elit do PiS ma przyczyny racjonalne: nowa władza odebrała im uprzywilejowana pozycję, oni chcą ją odzyskać – są przez to naturalnym sojusznikiem PO, sojusznikiem cennym, ponieważ wciąż posiadającym narzędzia „dystrybucji szacunku". Sądząc, że artystom i celebrytom chodzi tylko o odzyskanie pozycji, pieniędzy, władzy nad instytucjami kultury i nauki, założył Tusk, że będą oni w swych działaniach racjonalni.

Tymczasem elity – nazywajmy je tak z braku lepszego słowa – nie kierowały się i nie kierują interesami materialnymi – deklarowana w nich inteligencka pogarda dla spraw materialnych nie jest udawana, lecz szczera. Tym, co je w istocie napędza, jest coś, co psychologia nazywa „urojeniem wyższościowym". Wychowane w duchu polskiego romantyzmu chcą być zbiorowym Mickiewiczowskim „czterdzieści i cztery", zbiorowym wieszczem i mesjaszem, który prowadzi lud, poucza go i odbiera od niego hołdy. Pozwalam sobie przypomnieć tu swój tekst „Upadek rodu Stuhrów" („Do Rzeczy" nr 48/2022) i to, co pisałem w nim o filmie „Obywatel", nieudolnej, ale przeprowadzonej z wielkim zadęciem próbie odegrania przez Jerzego i Macieja Stuhrów roli „sumienia narodu". Tęsknota za taką rolą czy raczej przekonanie, że takim sumieniem – w języku pojęciowym elit pomagdalenkowych – może nie narodu, ale społeczeństwa się jest, stanowi podstawę tożsamości lewicowo-liberalnego salonu.

Tusk popełnił błąd, uznając, że nienawiść elit do PiS jest racjonalna. Ona bierze się z „urojenia wyższościowego"

Jak kania dżdżu intelektualiści i artyści „wysadzonej z siodła" elity potrzebują nieustającego potwierdzania swojej moralnej, etycznej wyższości: „odi profanum vulgus" powtarzające się jako farsa. Właśnie dlatego tak podpasował im temat popierania „uchodźców". Wszyscy dookoła – czy raczej wszyscy poniżej – kierując się niskimi instynktami, strachem, podłością, zamknęli serca dla tych nieszczęsnych ludzi. A my – my właśnie z sercem. My wszystko dla nich. Jedyni prawdziwi strażnicy cnót i ucieleśnienie prawdziwych wartości. Cóż za wspaniały pretekst, by upajać się własną szlachetnością i moralną wyższością – jednocześnie zbierając „piętnastominutowe owacje na stojąco" na międzynarodowych festiwalach!

W tej „rajskiej krainie ułudy", którą sobie w tej sposób salony zbudowały (nieustająco przypominam nieprzekraczalną w tym pajacowaniu galę rozdania nagrody Nike 2021) jest tylko jeden zgrzyt: zachowanie „ludu", który nie chce zupełnie uznać moralnej wyższości swych „wieszczów". Z jednej strony najwyższe moralne diapazony, obrona istoty człowieczeństwa i świętość humanizmu – a z drugiej „pospolitość skrzeczy". Można oczywiście ten lud poddać chłoście – i nic innego nie robią elity od wielu lat, a już odkąd „hołota kupiona pińćset" wyniosła do władzy „populistów", wręcz do utraty tchu.

Na tym właśnie, jak sądzę, oparł Tusk (który sam zresztą próbował się bzdyczyć na intelektualistę, stąd tyle razy mu wypominane „polskość to nienormalność") swe przekonanie, że z salonem warto trzymać. Niech intelektualiści chłoszczą Polaków, niech ich zawstydzają – skorzystam na tym.

No nie. Bo kiedy lud nie chce zaświadczyć wyższości „wieszcza" pokorą i posłuchem, kiedy w związku z tym „wieszczenie" wieszcza idzie w próżnię i staje się groteską – wieszcz ma tylko jeden sposób, by ocalić fundamentalne dla niego poczucie moralnej przewagi i wyższości nad „ciemną masą": męczeństwo.

NA PLUSZOWYM KRZYŻU

Jeśli pod tym kątem przyjrzymy się przekazom wydawanym przez lewicowo-liberalne elity, to nie sposób nie zauważyć narastającej tęsknoty za ukrzyżowaniem. Oczywiście na „pluszowym krzyżu", by raz jeszcze przywołać Szpotańskiego – bo „pisowską nienawiść" ze strony polskiej ciemnoty z nawiązką zrekompensują hołdy wyrobionej, światłej, europejskiej publiczności festiwalowej w Wenecji.

Skoro nie możemy być przewodnikami – to będziemy celebrować swą wyjątkowość w odrzuceniu. „A ludzie mych wierszy słuchając, powstają, i wilki wychodzą żerującą zgrają – powołał mnie Pan na bunt!". Czyż poza owym „Panem", religianckim reliktem przeszłości, te słowa poety nie mogłyby być mottem dla upajającej się swym kaznodziejskim natchnieniem i męczeńskim odrzuceniem Agnieszki Holland oraz jej licznych akolitów?

Farsa? Oczywiście. Ale mająca poważne konsekwencje. Przez osiem lat politycy lewicowo-liberalni dowartościowywali na wszystkie możliwe sposoby „autorytety" salonu, w przekonaniu, że ich poparcie rozstrzygnie o wyniku walki z „obciachowym", „siermiężnym" PiS. Tymczasem na ostatniej prostej sytuacja całkowicie wymknęła się Tuskowi spod kontroli, celebrycko-artystowski ogon zakręcił psem i cisnął nim o ścianę. I jest już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

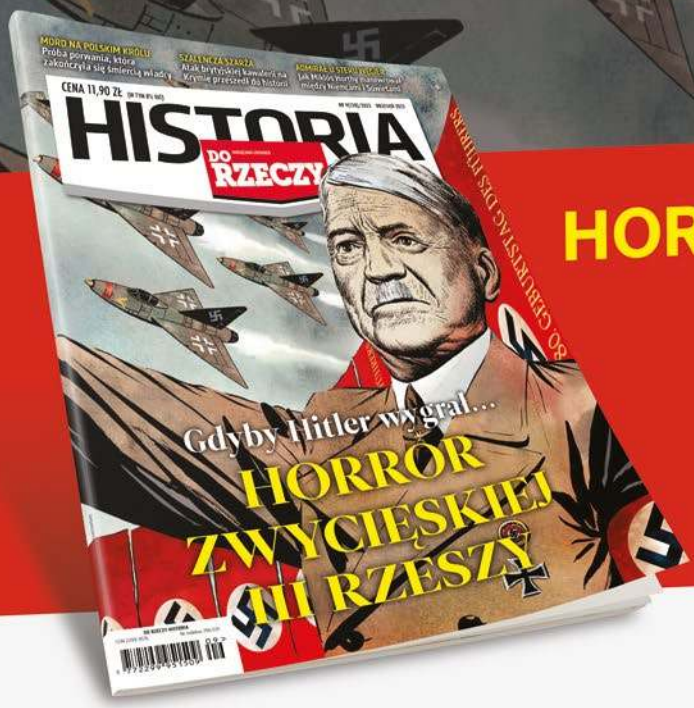

HORROR ZWYCIĘSKIEJ III RZESZY

Niemieckie plany wobec Europy po wygranej wojnie

Największy błąd Hitlera – Dlaczego Niemcy zdecydowali się na krok, który doprowadził do ich upadku?

Plan Germania – W 1950 r. przebudowana stolica Niemiec miała stać się tak wspaniała jak starożytny Rzym

Mord na królu Polski – Próba porwania Przemysła II zakończyła się zabójstwem monarchy

Zbrodnia 00486 – Ten rozkaz oznaczał koszmar dla żon i dzieci mężczyzn skazanych w wielkim terrorze

Szaleńcza szarża Brytyjczyków – Absurdalny atak kawalerii pod Bałakławą przeszedł do historii

Admirał u steru Węgier – Jak Miklós Horthy manewrował między Niemcami i Sowietami

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Dzieło Angieszki Holland to film „zaangażowany" w najwyższym stopniu FOT. AGATA KUBIS

Dzieło pełne kłamstw

Dariusz Wieromiejczyk

Film „Zielona granica" przypomina dziś polskim widzom, czym przed laty było tzw. kino zaangażowane. Jak na manifest polityczny przystało, film rzuca oskarżenia i nawołuje widza do „przebudzonego" aktywizmu

Na podobieństwo granej przez Maję Ostaszewską głównej bohaterki filmu widz powinien porzucić wygodne życie wielkomiejskiego „libka" i na dźwięk dochodzącego z lasu krzyku skoczyć nocą, na ślepo, w nadgraniczne bagna. Skoro toną w nich prześladowane przez władze kobiety i dzieci, bezczynność, a nawet zbyt długi namysł są postawą niedopuszczalną. Jedyne zbawienie daje zaangażowanie po słusznej stronie, najszlachetniejsze zaś postaci filmu to po prostu działaczki lewicowego stowarzyszenia Granica.

Towarzyszący im mężczyźni są już mniej godni podziwu – angażują się jakby słabiej, do antysystemowego działania przechodzą powoli, etapami. Dręczą ich typowe mieszczańskie słabostki, aktywizm usiłują zastąpić farmaceutykami lub terapią. Na akcję wyruszenie do lasu albo ukrywanie czarnoskórych uchodźców zdobyć się mogą dopiero w końcówce opowieści, pod wpływem „przebudzonych" wcześniej kobiet. Biegnąca do lasu pani psycholog (w filmie – „psycholożka") takiego właśnie przebudzenia do aktywizmu i buntu doznaje, ratując tonącą w podlaskim bagnie Afgankę z dzieckiem. Niestety, sama przy tym o mało się nie topi, kompletnie nieprzygotowana nie tylko do pomagania komukolwiek, lecz także nawet do zwykłego poruszania się po grząskim podłożu. Biegnie za emocjami i nie zwraca uwagi na resztę. To samo można powiedzieć o najnowszym filmie Agnieszki Holland.

„KRUCJATA DZIECIĘCA"?

Pani reżyser nie boi się wielkich słów i najcięższych oskarżeń. W Polsce rządzą faszyści. Straż Graniczna szczuje uchodźców psami i z satysfakcją obserwuje męki i umieranie bezbronnych. Prawo ma za nic – do czego namawiają funkcjonariuszy umundurowani przełożeni. Z ekranu słyszymy nazwiska znienawidzonych przez bohaterów filmu polityków – Duda, Ziobro, Kamiński, Wąsik. Powiedzieć, że pani Holland obecnej władzy nie lubi, to nic nie powiedzieć. Władza ta jest przestępcza, bije, poniża i aresztuje, kogo chce. Odpowiedzią obywateli powinno być co najmniej obywatelskie nieposłuszeństwo – a najlepiej jawne łamanie jej poleceń. Nieliczni funkcjonariusze – u których zachowały się jakieś resztki sumienia – mogą uniknąć zezwierzęcenia, unikając swoich obowiązków i nie wykonując poleceń przełożonych, a najlepiej występując ze służby.

Żeby przedstawić współczesną Polskę w ten sposób, trzeba się jednak solidnie nagimnastykować. Film „Zielona granica" jest filmem czarno-białym, nakręconym w manierze dokumentu, kamerą „z ręki", z brudnym, pozornie niestarannym sposobem montażu i kadrowania. Służy to uwiarygodnieniu opowiedzianych historii, nadaniu im pozoru dokumentalnego zapisu. W tej konwencji opowiadania manipulacja – jeśli do niej dochodzi – jest dla widza szczególnie bolesna.

Czy polską granicę z Białorusią szturmowały rzeczywiście głównie

eprasa.pl 60aa5cfbaf

kobiety (z których połowa była w ciąży) i dzieci? Czy nieliczni, nieporadni lub starsi wiekiem mężczyźni rzeczywiście nosili w rękach głównie wózki dziecięce i niemowlęta? Tak wygląda kryzys na polskiej granicy w filmie Agnieszki Holland. Wśród uchodźców dominują kobiety – bezbronne, zagubione starsze panie z grubymi szkłami staromodnych okularów lub młode matki obarczone dziećmi. Dzieci budzą współczucie – i filmowane są w taki sposób, by budzić go jak najwięcej. Nieliczni wśród uchodźców mężczyźni są albo okaleczonymi nastolatkami, albo posiwiałymi starcami. Łagodni, nieporadni i poranieni traumami wojen. O żadnych agresywnych atakach migrantów na polskich strażników granicznych mowy być nawet nie może. Czy tak naprawdę wyglądał szturm migrantów z Białorusi na polską granicę? Czy rzeczywiście była to „krucjata dziecięca"?

Ponadto widzimy polskich strażników granicznych i policjantów. Klną, piją na służbie, opowiadają przemocowe dowcipy, a nad uchodźcami się znęcają. W wolnych chwilach upijają się w sztok przy dźwiękach żwawych bałkańskich rytmów – wypisz wymaluj zdziczałe bałkańskie bojówki z filmów Emira Kusturicy. Nie lepsi są od nich policjanci, a nawet zwykli chłopi. Wzrok ich dziki, odzież niechlujna, mowa wulgarna i kłamliwa – wodą wprawdzie napoją i jabłkiem poczęstują – ale to tylko dla uśpienia czujności umęczonych uchodźców. W tym samym czasie chłop zadzwoni przecież po Straż Graniczną, która ukrywających się w lesie złapie i dokona na nich okrutnego push-backu.

PASKUDNE ZABIEGI

Najbardziej odrzucającym mnie elementem filmu są rozsiane w nim sceny rymujące się z doświadczeniem Holokaustu – i obsadzające w roli czarnych charakterów właśnie Polaków. Niektóre są oczywiste – bezbronni ludzie w zgiełku wrzasków siłą wyrzucani z ciężarówki, noc, ściana drutu kolczastego i ludzie w polskich mundurach szczujący wilczurem staruszka. Czyżby Agnieszka Holland przenosiła w czasy współczesne „Ostatni etap" swojej utalentowanej poprzedniczki – Wandy Jakubowskiej? Opisany już polski chłop, żwawo denuncjujący błąkających się po lesie obcych, także wydaje się postacią skądś już w dorobku reżyserki znajomą. Z czym zaś rymuje się scena, w której w zatrzymanym do kontroli samochodzie policjant zauważa postać graną przez Maję Ostaszewską? „Co ona taka ciemna? – pyta. – Mówi po polsku?". W odpowiedzi Ostaszewska, niczym żydowska dziewczynka z „Polskich dróg", recytować zaczyna „Ojcze nasz". Możecie jechać – macha ręką łowiący „ciemnych" policjant. W kraju tak dotkniętym niemieckimi zbrodniami jak Polska podobne „filmowe cytaty", grające na bardzo trudnych emocjach, wydają mi się zabiegiem wyjątkowo niejednoznacznym.

Innym, mniejszej rangi zarzutem wobec „Zielonej granicy" jest jej nachalne zideologizowanie. Mniejsza o padające w dialogach „psycholożki" i „osoby uchodźcze". Wybaczyć można lewacką „freakowatość" pozytywnych postaci – ni chłopcy to, ni kobiety, ekscentrycznie ubrani i zachowujący się niczym karykatura „patrialchalnych" wzorców filmowych. Klną wulgarnie – idą pod tym względem w zawody z funkcjonariuszami Straży Granicznej. Większość zdaje się cierpieć na wytrzeszcz – jest to zapewne modny wśród aktywistek sposób podkreślania przeżywanych emocji. Widz zaczyna już czekać, kiedy grana przez Ostaszewską „psycholożka" dokona przed kolektywem jeszcze jednego coming outu (samokrytykę już odbyła) i wyląduje w wyrku z rzucającym w każdym zdaniu „kurwami" aktywiszczem. Nacechowany pogardliwym lekceważeniem stosunek „aktywistów" do „libków" (tradycyjnych, praworządnych liberałów) wydaje mi się intrygującym wątkiem „Zielonej granicy" – i zasługującym na chwilę osobnego namysłu.

W rosyjskim ruchu rewolucyjnym nadzwyczaj aktywne były dobrze urodzone panienki. W czasie rewolucji lutowej (która zaczęła się od demonstracji w Dniu Kobiet) widziano na ulicach wiele gimnazistek i studentek – antycarsko nastawionych panienek z dobrych, zamożnych domów – agitujących do buntu zrewolucjonizowanych żołnierzy i matrosów. Wiele takich idealistek wstąpiło później do powołanego przez liberalny rząd Kiereńskiego batalionu kobiecego – mającego „zawstydzać" mężczyzn odwagą. Broniły one później Pałacu Zimowego – i zostały przez bolszewicką tłuszczę brutalnie zgwałcone. Patrząc na sportretowane przez Holland „libki" – żyjące w dostatku kobiety przyjmujące marokańskich nastolatków do kipiącej bogactwem podmiejskiej willi – przyszedł mi do głowy los rosyjskich idealistek. Być może sięgam tą analogią zbyt daleko – sylwester w Kolonii wydarzył się przecież stosunkowo niedawno.

Najbardziej wyrafinowanym przekłamaniem „Zielonej granicy" jest dla mnie epilog filmu. Pokazuje masową, spontaniczną akcję pomocy uchodźcom ukraińskim po wybuchu wojny z Rosją. Reżyserka przypomina nam postać strażnika granicznego, dawniej biernie przyglądającego się dręczeniu „kolorowych" uchodźców na granicy z Białorusią. Tym razem z troskliwą czułością niesie on małą ukraińską dziewczynkę, wśród tłumu chętnych do pomocy ludzi. „Na granicy z Białorusią nie byłeś taki dobry" – złośliwie komentuje rozpoznająca go aktywistka. „Mnie tam nie było" – kłamliwie, o czym widzowie wiedzą, odpowiada strażnik.

Masowa pomoc udzielona przez Polaków ukraińskim uchodźcom była jednym z piękniejszych, najszlachetniejszych doświadczeń naszego stulecia. Jest to jedna z rzeczy, z których jako całe społeczeństwo możemy być słusznie dumni. Użycie tego wydarzenia jako argumentu podbudowującego narrację o polskim bestialstwie na granicy z Białorusią (reżyserka sprawiedliwa – widzi podłość – za zło oskarża, ale za dobro pochwali) to zabieg budzący sprzeciw. W filmie pojawia się nawet napis o 2 mln ukraińskich uchodźców, którym Polacy pomogli. Można to jednak interpretować jako przewrotny dowód rasizmu – białym pomagają, nad czarnymi się znęcali.

Choć film Agnieszki Holland uważam za dzieło pełne szkodzących wizerunkowi Polski manipulacji, to jedno muszę o nim powiedzieć – to film nakręcony z publicystyczną pasją, wykrzyczany w emocjach, a przy pozorach improwizowanego dokumentalizmu kunsztownie skomponowany. To kino polityczne – społecznie zaangażowane. Nie jest to jednak „produkcyjniak" – te powstają dziś licznie, lecz w radykalnie innej stylistyce. Warto też mieć w pamięci, że najlepszym i najchętniej oglądanym na świecie polskim filmem historycznym ostatniego ośmiolecia był zapewne i tak „Obywatel Jones". Na tle dominujących w naszym kinie rozleniwionych pieczeniarzy Holland jest z pewnością postacią, w której głos warto się wsłuchać, zwłaszcza gdy nie podziela się jej diagnoz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Co Polacy myślą o migracji?

FOT. ADOBE STOCK

Kacper Kita

Polacy nie chcą być zmuszeni do przyjmowania migrantów spoza Europy. Zdecydowanie sprzeciwiają się temu bez względu na to, czy sympatyzują z Konfederacją, PiS, Trzecią Drogą czy Koalicją Obywatelską

Po 1945 r. przyzwyczailiśmy się do życia w jednolitym narodowościowo kraju, który nie był atrakcyjny dla migrantów. Zmieniło się to poważnie w ostatniej dekadzie, gdy zaczęli napływać imigranci – najpierw z Ukrainy, a potem także z bardziej egzotycznych kierunków, w tym państw muzułmańskich.

Dotąd nie przeprowadzano badań opinii publicznej na temat tego problemu. To miejsce wypełnił sondaż zamówiony przez Fundację Niezależny Zespół Badawczy i portal Nowy Ład – Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna. Wyniki tego badania są jasne: Polacy są niechętni imigracji, a pozaeuropejską zdecydowanie odrzucają.

Na pytanie „Czy popiera Pan(i) imigrację z Pakistanu i Bangladeszu?" twierdząco odpowiedziało tylko 11 proc. ankietowanych, a 89 proc. przecząco. Pozytywnie ustosunkowanych do przyjazdu osób z „innych krajów muzułmańskich" jest 10 proc., a przeciw 90 proc. Zdanie Polaków jest więc jasne bez względu na płeć, wiek, wykształcenie i wielkość miejscowości zamieszkania – tu wśród badanych nie ma wielkich różnic i co najmniej 85 proc. jest przeciwnikami muzułmańskiej imigracji do Polski. Odrzucają ją wyborcy wszystkich partii parlamentarnych – 99 proc. wyborców PiS, 96 proc. Konfederacji, 92 proc. Trzeciej Drogi, 77 proc. KO i 68 proc. Lewicy.

Niewiele mniej sceptyczni są Polacy wobec migracji z innych kierunków. 88 proc. jest przeciw przyjmowaniu migrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, z Indii – 86 proc., Kaukazu (Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu) – 84 proc., Ameryki Południowej – 82 proc. Nawet chrześcijan z Azji nie chce nad Wisłą aż 79 proc. badanych.

Jedyny kierunek, który cieszy się większym poparciem, to Ukraina. Przeciw przyjmowaniu mieszkańców tego kraju jest 60 proc., a za – 40 proc. Migrację z Ukrainy popiera więcej mężczyzn (46 proc.) niż kobiet (34 proc.). Poparcie dla tego kierunku migracji rośnie z wiekiem badanych – 45 proc. zwolenników jest w grupie wiekowej 55+, ale już tylko 34 proc. wśród 18–24-latków.

Migracji z Ukrainy najbardziej niechętny jest elektorat Konfederacji – 76 proc. przeciw. Negatywne odpowiedzi przeważają także wśród wyborców PiS (58 proc.) i Trzeciej Drogi (55 proc.). „Za" są zwolennicy KO – 52 proc. poparcia dla migrantów z Ukrainy – oraz wyborcy Lewicy – 64 proc.

Ze zdaniem: „W Polsce powinna istnieć możliwość budowy meczetów finansowanych całkowicie lub częściowo z zagranicy" zgodziło się 8 proc., a przeciw jest 92 proc. (co najmniej 86 proc. wśród zwolenników każdej partii). 69 proc. badanych jest przeciw hipotetycznemu wprowadzeniu ułatwień w zdobyciu obywatelstwa dla obcokrajowców. Stwierdzenie: „Obcokrajowcy powinni mieć możliwość uzyskania obywatelstwa najszybciej, jak to możliwe, bez spełniania wysokich wymagań" popiera tylko 4 proc. Większość uważa za zbyt liberalne również obowiązujące prawo (zapewne mało kto ma świadomość jego brzmienia). Ze zdaniem przekazującym treść ustawy: „Obcokrajowcy powinni mieć możliwość uzyskania obywatelstwa po trzech latach przebywania w Polsce na podstawie zezwolenia na pobyt stały, jeśli mają stabilne i regularne źródło

eprasa.pl 60aa5cfbaf

dochodu oraz tytuł prawny do zajmowania lokalu mieszkalnego" zgodziło się 29 proc. badanych (71 proc. było przeciw). Zdanie to odrzuca nawet większość wyborców Lewicy – 58 proc.

Jednoznaczna jest postawa Polaków w sprawie osłon socjalnych dla migrantów. Zdanie: „Imigranci powinni mieć taki sam dostęp do świadczeń publicznych (np. »500+«, kredyt 2 proc.) jak Polacy" odrzuciło aż 89 proc. badanych. W każdej grupie pod względem płci, wieku, wykształcenia i zamieszkania nie zgadzało się z takim stwierdzeniem co najmniej 85 proc. Przyznawanie takich samych świadczeń imigrantom jak Polakom odrzuca 98 proc. wyborców Konfederacji, 96 proc. wyborców PiS, 88 proc. wyborców Trzeciej Drogi, 82 proc. wyborców KO i 71 proc. zwolenników Lewicy.

GROZI NAM ZACHODNI PROBLEM

To oczywiście tylko jedno badanie opinii społecznej, ale sugeruje ono potężny rozdźwięk między obywatelami a elitami politycznymi, medialnymi i biznesowymi. Dlatego polska polityka migracyjna powinna być przedmiotem najpoważniejszego i niepodważalnego sondażu – referendum dotyczącego konkretnych kierunków legalnej imigracji zarobkowej, nabywania obywatelstwa oraz praw socjalnych imigrantów.

Wraz z podnoszeniem się poziomu życia grozi bowiem Polsce to, co przydarzyło się krajom Europy Zachodniej. We Francji, Wielkiej Brytanii czy Niemczech nigdy nie było referendum w sprawie polityki migracyjnej – dopiero teraz pomysł taki ma szansę przebić się nad Sekwaną, gdzie za wstrzymaniem imigracji pozaeuropejskiej opowiada się aż 64 proc. badanych (zapewne ok. 70–80 proc. Francuzów pochodzenia europejskiego).

Decyzje o osiedleniu dziesiątek milionów ludzi nie zyskały nigdy w tych krajach mandatu społecznego. Politycy podejmowali je w nieprzejrzysty sposób pod naciskiem lobby chcących sprowadzać tanią siłę roboczą i szantażu moralnego antynarodowej lewicy.

Podczas kampanii wyborczych wielu obiecywało zmianę – Chirac mówił nawet o „hałasie i zapachu" muzułmańskich imigrantów, który „doprowadza do szału francuskich robotników". Merkel wspólnie z Sarkozym i Cameronem deklarowała, że „multi-kulti nie działa". W praktyce wszyscy ci politycy tylko osiedlali kolejne setki tysięcy obcokrajowców. Doprowadziło to nie tylko do wzrostu przestępczości, lecz także do wytworzenia się alternatywnych społeczeństw i utraty kontroli przez państwa nad częściami terytorium krajów.

Niestety, nawet na prawicy w Polsce nie brakuje zwolenników powtarzania migracyjnej polityki zachodniej. Wielu wierzy, że kłopoty dotyczą tylko imigracji nielegalnej lub są redukowalne do „socjalu". Podstawowym problemem jest jednak legalna imigracja prowadzona na skalę wykluczającą integrację (nie mówiąc o asymilacji) z kierunków obcych nam kulturowo.

Najgłośniejsze zamachy terrorystyczne we Francji („Charlie Ebdo", Bataclan) przeprowadzali urodzeni w Europie obywatele francuscy, potomkowie legalnych imigrantów. Separatyzm społeczny to fakt potwierdzany przez badania. 80–90 proc. muzułmanów wiąże się z muzułmanami. Mają więcej dzieci niż Francuzi pochodzenia europejskiego, a najwięcej potomstwa mają ci deklarujący silne przywiązanie do islamu. W 1950 r. muzułmańskie imiona miało mniej niż 1 proc. nowo narodzonych dzieci we Francji, w 1997 r. – 8 proc., a dziś – 22 proc. Obserwowana jest desekularyzacja – młodsze pokolenia żyjących we Francji muzułmanów są bardziej religijne (np. częściej poszczą w ramadanie czy noszą hidżab) niż starsi.

Wielu imigrantów nielegalnych to ci, którzy przyjechali legalnie, np. wjeżdżający na wizach studenckich, lecz nigdy nie pojawili się na uniwersytecie. Iluzją jest wiara, że „złych" i niepracujących można łatwo deportować. Prościej jest wpuścić człowieka niż go znaleźć i wydalić. We Francji w 2022 r. odsetek osób z oficjalnym nakazem deportacji, które skutecznie usunięto, to ledwie 6,9 proc.

Kolejnym problemem jest to, że imigranci masowo głosują na lewicę, przez co na Zachodzie trudniej dojść do władzy siłom prawicowym czy narodowym.

Sceptycyzm wobec imigracji nie wynika z poczucia wyższości wobec innych kultur. Przeciwnie – jest konsekwencją świadomości, że żaden człowiek nie jest tabula rasa, tylko uformowano go w konkretnej kulturze, a perspektywa „stania się Polakiem" nie jest na tyle atrakcyjna, by ludzie z innego kręgu cywilizacyjnego milionami porzucali własne korzenie (z którymi mogą dziś łatwo podtrzymywać łączność na odległość dzięki nowoczesnym technologiom). Groteskowy jest argument o Tatarach, muzułmanach od lat zasymilowanych w Polsce, którzy stanowią… 0,0047 proc. ludności kraju.

Należy odróżnić asymilację, w ramach której Niemcy, Ormianie czy Żydzi przyjmowali polskość, od multikulturowej integracji. W ramach tej drugiej imigranci i tubylcy mają być równolegle poddawani inżynierii społecznej, a produkt końcowy to ludzie zdolni do pokojowej koegzystencji, bo pozbawieni tożsamości religijnych i narodowych. Asymilować można jednostki i rodziny dowolnego pochodzenia, a nie miliony przerzucone z jednego końca świata na drugi.

GOSPODARKA BEZ TEGO ZGAŚNIE?

W publicznym dyskursie przedstawia się też argument, że przyjmowanie migrantów to w obliczu demografii konieczność, która ma ratować gospodarkę. W ankiecie przytaczanego wcześniej badania zapytano: „Jaki kierunek w rozwoju demograficznym powinien być przyjęty przez Polskę?". Do wyboru dano trzy odpowiedzi. „Zaspokajanie braków na rynku pracy poprzez imigrację" wybrało 13,5 proc. Z kolei 38,8 proc. badanych wskazało na „przeznaczanie dużych środków na zachęcanie Polaków do posiadania dzieci i wspieranie polskich rodzin wielodzietnych". Najwięcej – 47,7 proc. – zaznaczyło „inwestycje w innowacje i automatyzację pracy".

Czy imigracja w tym kontekście jest bezalternatywna? Jeśli jej brak ma naprawdę tak fatalne konsekwencje, to poczekajmy i zobaczmy, czy po kilku latach braku imigracji Polacy zaczną masowo domagać się Banglijczyków.

Chętnych do osiedlenia się w Polsce jest dziś wielokrotnie więcej niż Polaków, a biznes i lewica będą stale naciskać. Dlatego imigracja to kluczowe zagadnienie w nadchodzących latach. Żadni „eksperci" i konwencje międzynarodowe nie są ważniejsze niż wola zdecydowanej większości społeczeństwa. Albo traktujemy demokrację na poważnie, albo nie. Polacy zasługują na własne państwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Sto, czyli ile?

Łukasz Warzecha

W historii wyborów parlamentarnych w Polsce nie było jeszcze kampanii z tak olbrzymią liczbą tak kosztownych obietnic. Kiedyś można było mieć nadzieję, że większość z nich nie zostanie zrealizowana. Dzisiaj jednak nie ma już takiej pewności

Kiedy prezentuje się sto propozycji programowych, to na ogół tak, jakby nie prezentowało się żadnej. Nie wiadomo, co jest priorytetem, co jest ważne, co mniej ważne ani też co ma faktycznie szansę na realizację. W pamięci zostaje tylko okrągła, elegancka liczba 100.

Konwencja Koalicji Obywatelskiej w Tarnowie pod względem przekazu wydawała się zatem błędem, aczkolwiek było to w gruncie rzeczy starcie dwóch odmiennych koncepcji nie tyle nawet prowadzenia kampanii czy konstruowania programu, ile mamienia wyborców. Radykalnie odmienną stara się stosować Zjednoczona Prawica, która na swojej także sobotniej konwencji w Końskich nie przedstawiła nic nowego w stosunku do zapowiedzi prezentowanych w poprzednich dniach – poza projektem emerytur stażowych. Pozostałe obietnice albo zostały już zrealizowane („bezpłatne" autostrady), albo wcześniej ogłoszone (cztery „konkrety", które PiS ogłaszał w tygodniu poprzedzającym konwencję, po jednym na dzień).

RYZYKOWNA GRA TUSKA

Z punktu widzenia dotarcia do świadomości odbiorców wydaje się, że partia Jarosława Kaczyńskiego wypadła lepiej – obietnica emerytalna przebiła się znacznie bardziej niż którakolwiek z obietnic Donalda Tuska. Jednak samo przebicie się nie gwarantuje, że zostanie osiągnięty jakiś efekt sondażowy czy potem wyborczy. W niedawnym sondażu Ipsos dla Tok FM i OKO.press (w którym, nawiasem mówiąc, Trzecia Droga nie

Kiedy prezentuje się 100 propozycji programowych, to na ogół tak, jakby nie prezentowało się żadnej. Na zdjęciu: Donald Tusk na konwencji KO

FOT. PAWEŁ TOPOLSKI/PAP

eprasa.pl 60aa5cfbaf

przekraczała progu wyborczego dla koalicji, otrzymując zaledwie 6 proc. głosów) osobno pokazano niezdecydowanych. Było ich aż 14 proc. Większość sondaży grupę niezdecydowanych rozdziela proporcjonalnie pomiędzy startujące ugrupowania, co jednak może być mylące. Można założyć, że ta grupa, licząca sobie ok. 12–15 proc., okaże się decydująca. Zatem działania poszczególnych graczy trzeba widzieć jako próby wyciągnięcia z tego grona przynajmniej paru procent.

Problem w tym, że liderzy największych partii wydają się przekonani, że jedyną metodą na zdobycie kolejnych głosów jest mnożenie kosztownych w większości obietnic. Czy to trafne przekonanie? Po stronie PiS można mieć wątpliwości. Jeśli celem jest przejmowanie jakiejś części elektoratu Konfederacji, to socjalne atrakcje raczej nie zadziałają. Jeśli jest nim natomiast mobilizowanie tej części własnego elektoratu, która waha się, czy w ogóle pójść głosować, ewentualnie rozważa wsparcie Konfederacji zamiast partii Jarosława Kaczyńskiego – to tu jakieś efekty mogą być. Warto jednak przypomnieć, że triumfalne ogłoszenie w maju podwyższenia wysokości świadczenia „500+" o 300 zł nie przyniosło praktycznie żadnego efektu sondażowego. Czy więc następne socjalne obietnice to faktycznie dobry sposób na zmobilizowanie wahających się wyborców do głosowania na PiS?

Strategia Koalicji Obywatelskiej wydaje się natomiast o tyle sensowna, że lider PO już jakiś czas temu postanowił przestać się przejmować spójnością programową. Symboliczna z tego punktu widzenia jest obecność na listach KO z jednej strony Romana Giertycha, z drugiej Michała Kołodziejczaka, z trzeciej zaś osób takich jak Klaudia Jachira. Tusk jednocześnie chce dociskać i Trzecią Drogę, która przecież poszła w ostatnim czasie w kierunku wyraźnie wolnorynkowym, z drugiej zaś Nową Lewicę, która na swoje listy przyjęła nawet skandalistkę i aborcjonistkę Janę Szostak. To ryzykowna gra, przed którą w przeszłości przestrzegało wielu socjologów polityki, tłumacząc, że namiot rozciągnięty zbyt szeroko może się zawalić. Twierdzili oni, że nawet w epoce bardzo powierzchownego pojmowania kwestii programowych jakaś podstawowa spójność jest jednak konieczna. Być może dzisiaj wygląda to inaczej, jeżeli głównym spoiwem wyborców KO jest niechęć wobec Zjednoczonej Prawicy, a poza tym obóz chcących głosować na ugrupowanie Donalda Tuska jest już tak szeroki, że z jednego końca nie widać drugiego. Można by też złośliwie stwierdzić, że lider zadbał przecież o programową jednolitość, jako warunek obecności na sejmowych listach wprowadzając zgodę na aborcję do trzeciego miesiąca życia dziecka w łonie matki.

WYCENA OBIETNIC

To są wszystko aspekty taktyczne lub strategiczne kampanii. Można jednak – jakkolwiek jest to zadanie ze sfery donkiszoterii – spróbować podejść do propozycji programowych i jednego, i drugiego ugrupowania rzeczowo. Wtedy trzeba by zwrócić uwagę przede wszystkim na dwie kwestie. Po pierwsze – ile to wszystko może kosztować i jak finanse publiczne polskiego państwa mają to wytrzymać, zakładając oczywiście, że te propozycje zostałyby zrealizowane. Po drugie – o czym się wyborcom w tej kampanii mówi, a o czym nie.

Wśród tematów próżno szukać tych, które są dla dużych partii kłopotliwe. A tak się składa, że dla obu bardzo kłopotliwe są kwestie finansowe, w szczególności związane z realizacją składanych obietnic.

Tu istotne zastrzeżenie. Wiele mediów, oceniając koszt obietnic wyborczych, uwzględnia w nich element, który w istocie kosztem nie jest. Tak zrobiła np. Wirtualna Polska (serwis Money.pl), opierając się na ocenach Forum Obywatelskiego Rozwoju, gdzie na drugim miejscu pod względem kosztów obietnic znalazła się Konfederacja (182 mld zł). Tyle że na tę sumę składają się pomysły takie jak 12-procentowy liniowy PIT (ok. 60 mld zł) czy podniesienie kwoty wolnej od podatku (33 mld zł). To jednak manipulacja: pozostawienie obywatelom w kieszeniach większej ilości pieniędzy nie jest kosztem! Państwo to nie firma, która ma na podatnikach zarabiać. Kosztem dla budżetu nie jest ograniczenie wpływów do niego, ale to, na co wydaje publiczne pieniądze. Do kosztów obietnic wyborczych należy zatem zaliczyć obiecane wydatki różnego rodzaju, ale już nie obiecane cięcia podatkowe. Jeśli spojrzeć w ten sposób, to szacunki prezentowane m.in. przez Money.pl wyglądają inaczej.

Zjednoczona Prawica nie przedstawiła propozycji żadnych znaczących ulg w daninach, zatem wszystko, co proponuje, trzeba zakwalifikować jako koszt. Tutaj szacunki – jeszcze bez uwzględnienia emerytur stażowych – mówią o 157 mld zł, choć rozbudowę armii oceniono bardzo optymistycznie na zaledwie 45 mld zł. To zdecydowanie zaniżone szacunki. Inne mówią o sumie bliskiej 500 mld zł, a więc stawiałoby to PiS zdecydowanie na pierwszym miejscu, jeśli idzie o wartość obietnic, o ile wliczyć do nich modernizację wojska.

Liderzy największych partii wydają się przekonani, że jedyną metodą na zdobycie kolejnych głosów jest mnożenie kosztownych w większości obietnic

Od 120 mld szacowanych kosztów obietnic Koalicji Obywatelskiej należałoby natomiast odjąć 43 mld zł, które mają wynikać z powiększenia kwoty wolnej od podatku. Lewica w zestawieniu Money.pl bije rekord: 216 mld, w czym nie zawierają się żadne planowane obniżki danin. Od kosztów obietnic Konfederacji trzeba natomiast odjąć wspomniany liniowy PIT (60 mld zł), podniesienie kwoty wolnej (33 mld zł) i nowe stawki VAT (47 mld zł), a więc łącznie aż 140 mld zł. Zostaje raptem 40 mld, z czego część to inne obiecywane obniżki danin. Oczywiście obiecywane ograniczenie wpływów budżetowych powinno iść w parze z odpowiednim ograniczeniem wydatków, żeby zrównoważyć w miarę możliwości sytuację finansową państwa.

Ani PiS, ani PO nie proponują żadnego programu ich naprawy. PiS w ogóle nie zajął się tym w swoich sztandarowych

eprasa.pl 60aa5cfbaf

deklaracjach i propozycjach. Rozbudowany program tej partii nie zawiera w ogóle rozdziału poświęconego przedsiębiorcom, a o sytuacji gospodarczej mówi jedynie w aneksie zatytułowanym „Silna gospodarka, stabilny budżet, bezpieczna Polska". Tyle że w owym aneksie nie znajdujemy żadnych planów dotyczących walki z inflacją, ograniczenia zadłużenia czy deficytu budżetowego, który w przyszłym roku ma sięgnąć rekordowych ponad 160 mld zł. Jest to wybór statystyk, które są dla rządu korzystne, z pominięciem tych, które korzystne nie są. Mamy zatem przywołanie zadłużenia, lecz wyłącznie w postaci jego relacji do PKB (obecnie 48,1 proc.), bez podania liczb bezwzględnych czy wskazania radykalnie wysokiego tempa wzrostu tegoż. Relacja długu publicznego do PKB stawia nas faktycznie w środku unijnej stawki (przodują Grecja, Włochy i Portugalia), ale liczby bezwzględne – ponad 1,6 biliona zł według metodologii unijnej, uwzględniającej dług wypychany do funduszy celowych – są zatrważające. Na jednego mieszkańca Polski przypada już ponad 44 tys. zł do spłaty. Program PiS nie mówi również oczywiście nic na temat tego, że relację zadłużenia do PKB poprawia wysoka inflacja, która niszczy oszczędności obywateli, a która w następstwie decyzji Rady Polityki Pieniężnej raczej zbyt szybko spadać nie będzie.

Platforma swoje „konkrety" podzieliła na rozdziały. Żaden z nich nie nosi jednak tytułu „Naprawa finansów publicznych" i próżno wśród nich szukać czegokolwiek na ten temat. Fani partii pana Tuska mówią co prawda, że owe „100 konkretów" to program tylko na pierwsze 100 dni rządów. Trudno jednak uznać taką argumentację za poważną, bo wziąwszy pod uwagę, jak wiele spraw obiecywanych przez Koalicję Obywatelską musiałoby być załatwianych na poziomie ustawowym, Sejm musiałby obradować w permanencji, i to przez 24 godziny na dobę, żeby wyrobić się w trzy miesiące. Nie mówiąc o tym, że wśród owych stu spraw do załatwienia wiele jest takich, które z powodu swojego skomplikowania musiałyby zająć przynajmniej kilka lat.

POBOŻNE ŻYCZENIA

Donald Tusk obiecuje np., że w ciągu 100 dni „na obszarach pozbawionych odpowiedniej diagnostyki stworzymy Powiatowe Centra Zdrowia zapewniające powszechny i równy dostęp do diagnostyki, leczenia ambulatoryjnego i świadczeń specjalistycznych". W 100 dni?! Oto inna obietnica na „100 dni", równie nierealna: „Wprowadzimy łatwy w obsłudze i czytelny system rezerwacji wizyt (SMS-y, e-maile) na kształt funkcjonującego w systemie prywatnym. W ten sposób ograniczymy liczbę nieodbytych wizyt, a tym samym skrócimy kolejki".

Mnóstwo „konkretów" to dokładne przeciwieństwo znaczenia tego słowa. Na przykład: „natychmiast przystąpimy do realizacji polityki antyprzemocowej", „wrócimy do grupy decyzyjnej w instytucjach UE"

Owszem, w spisie pobożnych życzeń KO nie wszystko jest absurdalne. Jest tam kilka rodzynków, przede wszystkim w rozdziale poświęconym przedsiębiorcom. Koalicja Obywatelska obiecuje m.in. wprowadzenie obowiązku zapłaty podatku dochodowego przez przedsiębiorców dopiero po otrzymaniu przez nich pieniędzy za wystawione faktury, czyli tzw. kasowy PIT. To rozwiązanie, którego biznes oczekuje jak kania dżdżu. Jest też obietnica powrotu do ryczałtowego obliczania składki zdrowotnej, czyli odwrócenia fatalnej dla przedsiębiorców zmiany, wprowadzonej Polskim Ładem. I to faktycznie można by zrobić w ciągu 100 dni, zakładając oczywiście, że takich ustawowych zmian nie zakwestionowałby pan prezydent. To jednak wyjątki.

Mnóstwo „konkretów" to dokładne przeciwieństwo znaczenia tego słowa. Na przykład: „natychmiast przystąpimy do realizacji polityki antyprzemocowej", „wrócimy do grupy decyzyjnej w instytucjach UE" czy „zniesiemy cenzurę nałożoną na polską kulturę: cenzurę ekonomiczną, czyli cofanie środków finansowych dla instytucji kultury niewygodnych dla władzy; cenzurę personalną, czyli obsadzanie instytucji kultury osobami podległymi władzy". Ani słowa o tym, co te i inne podobne punkty miałyby oznaczać w praktyce.

Próżno natomiast w zestawieniu „100 konkretów", a także w programie PiS, szukać np. deklaracji dotyczących relacji polsko-ukraińskich oraz dalszego postępowania z ukraińskimi uchodźcami w Polsce, podobnie jak nie sposób znaleźć informacji o polityce migracyjnej. Koalicja Obywatelska zapowiada rozliczenie afery wizowej – i tyle. Co jednak dalej z przyjmowaniem migrantów ekonomicznych – z jakich kierunków, w jakiej liczbie oraz jak zapewnić, żeby Polska uniknęła losu państw, gdzie taka właśnie migracja spowodowała następnie gigantyczne problemy społeczne? O tym ani słowa.

Przede wszystkim zaś ani jedna, ani druga partia nie odnoszą się do tego, co będzie bez wątpliwości największym wyzwaniem dla Polski w nadchodzących latach: do dramatycznych dla polskiej gospodarki i obywateli skutków unijnej polityki klimatycznej. W programach ugrupowań panów Kaczyńskiego i Tuska nie istnieją ani „Fit for 55", ani dyrektywa metanowa, ani dyrektywa EPBD o charakterystyce energetycznej budynków, ani system ETS2, ani wreszcie zobowiązania, które zostały zawarte w polskim aneksie do KPO, takie jak choćby dodatkowa opłata dla posiadaczy pojazdów spalinowych. Tego po prostu nie ma. A mówimy o regulacjach, z których część zacznie obowiązywać już w najbliższej kadencji parlamentu (np. niektóre punkty KPO czy część dyrektywy EPBD – w 2026 r.), a część – podczas kolejnej.

W historii wyborów parlamentarnych w Polsce nie było jeszcze kampanii z tak olbrzymią liczbą tak kosztownych obietnic. Kiedyś można było mieć nadzieję, że większość z nich nie zostanie zrealizowana. Dzisiaj jednak nie ma już takiej pewności, skoro pod tym względem próg wysoko ustawił PiS. Jak to zatem kiedyś powiedział klasyk, dziś autor „100 konkretów" – trzeba się trzymać za portfele, bo do roboty biorą się poważne ekipy. Tym razem z obu stron.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

KONFERENCJA

„Prawna obrona przed polonofobią”

już w październiku!

KŁAMCY PRZED SĄDEM
Jak Polacy bronią dobrego imienia swojego narodu

SKUTECZNA POLITYKA HISTORYCZNA
Czego Polska może się nauczyć m.in. od Izraela

MANIPULACJE, KŁAMSTWA I POMÓWIENIA
Jak działają środowiska wrogie Polsce

EDUKACJA I WALKA O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ NA TEMAT II WOJNY ŚWIATOWEJ

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. FACEBOOK.COM/DRUGAKAWA

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Widmo chaosu

RYSZARD GROMADZKI: Seria ostatnich sondaży wskazuje na stabilizację notowań PiS na poziomie ok. 37 proc. Wydaje się, że to pułap, który daje szansę na osiągnięcie samodzielnej większości. Jakie warunki musiałyby zaistnieć, żeby trzecia z rzędu kadencja PiS stała się faktem? Czy to realny scenariusz?

MARCIN PALADE: Niespełna miesiąc przed wyborami notowania PiS wśród zdecydowanych wyborców mieszczą się w przedziale 37–39 proc. To przekłada się na ok. 200–205 mandatów. To jeszcze lepiej niż jeden czy dwa miesiące temu, ale do większości brakuje obozowi rządowemu na dziś ok. 30 mandatów. To, czy ją zdobędzie, zależy od dwóch czynników. Po pierwsze, musiałaby nastąpić wyraźna poprawa notowań PiS, i to powyżej 39–40 proc. Czyli powrót pod skrzydła partii Jarosława Kaczyńskiego sporej części tych, którzy odeszli od niej po 2020 r., a dziś są m.in. w Konfederacji czy wśród niezdecydowanych. Drugim czynnikiem, mniej zależnym od PiS, musiałoby być znaczące osłabienie Trzeciej Drogi na skutek polaryzacji (w kierunku KO) oraz oferty wpisującej się w oczekiwania centrowego elektoratu PL2050 (w kierunku Bezpartyjnych Samorządowców). Co prowadziłoby do zejścia Trzeciej Drogi pod ośmioprocentowy próg wyborczy i w efekcie spory, bo liczący 33–40 mandatów tort do podziału, w którego konsumpcji PiS miałby swój znaczący udział. To z kolei zbliżałoby PiS do poziomu sejmowej reprezentacji, której poszerzenie już nie o 30, a o kilkanaście mandatów otwierałoby ewentualną perspektywę rządów co prawda nie samego PiS, a wokół PiS, w kadencji 2023–2027.

Czy w tej sytuacji jedynym wariantem, który pozwalałby na kontynuację rządów Zjednoczonej Prawicy, jest koalicja z Konfederacją? Koalicja, od której obydwie strony – przede wszystkim Konfederacja – odżegnują się w bardzo zdecydowany sposób.

To jest jeden z kilku wariantów, które mogą nas czekać po 15 października. Dziś taka prawicowa koalicja miałaby w Sejmie solidną większość między 245 a 250 mandatami. Tyle tylko, że to teoria. Nie wierzę bowiem w wariant, żeby Konfederacja jako całość pokusiła się o budowanie większości z PiS. Druga widoczna na horyzoncie byłaby – i to też czysto teoretycznie – centroprawicowa koalicja PiS i Trzeciej Drogi. To na dziś przekładałoby się na ponad 231 mandatów. Tu też, podobnie jak w przypadku Konfederacji, nie daję szans na scenariusz wejścia Trzeciej Drogi, jako całości, w alians z PiS. Trzeci wariant, który dawał do tej pory szansę na większość, to centrowa koalicja KO, Trzeciej Drogi i Konfederacji. Jednak od mniej więcej tygodnia suma mandatów dla takiego, przynajmniej w teorii, trójbloku zeszła poniżej połowy składu Sejmu. No i wreszcie czwarty wariant. Najbardziej oczekiwana przez dużą część tzw. demokratycznej opinii publicznej w Polsce, no i oczywiście na europejskich salonach, centrolewicowa koalicja KO, Trzeciej Drogi i Lewicy. Jeszcze do lutego tego roku suma mandatów dla takiego właśnie rozdania dawała szansę na większość. Wzrost Konfederacji, co przewidywałem w wywiadzie dla „Do Rzeczy" na przełomie lat 2022 i 2023, w ostatnich miesiącach uczynił ten scenariusz niemożliwym do realizacji. Czyli cztery razy pat. A skoro tak, to konsekwentnie od kilkunastu tygodni twierdzę, że scenariuszem bazowym pozostają przedterminowe wybory w I kwartale 2024 r.

A w tym czasie tzw. rząd techniczny.

Raczej szarpanina i chaos, bo w polskich warunkach, przy głębokim podziale wynikającym z ostrego starcia dwóch największych formacji, czyli PiS i PO, rząd mniejszościowy na dłuższą metę byłby nie do utrzymania. Skoro jedna i druga strona nie dysponowałaby większością po 15 października, a była zależna od sejmowych szabel Konfederacji – a ta ustami liderów idzie na Wiejską, by wywrócić stolik Kaczyńskiego i Tuska – to bez pęknięć w dwóch formacjach, czyli Konfederacji i Trzeciej Drodze, nie ma mowy o stabilizacji politycznej liczonej w latach. Ale… ani jedni, ani drudzy nie są wewnętrznie jednorodni, zwłaszcza kiedy narodowej części Konfederacji i chadecko-ludowej części Trzeciej Drogi przyszłoby rozstrzy-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

gać o kierunku zmian w Polsce, w tym w obszarze wartości, mając do wyboru PiS z jednej oraz coraz bardziej progresywną KO, nie wspominając o Lewicy z Razem Zandberga z drugiej strony.

Ten wariant oznaczałby rozpad Konfederacji lub Trzeciej Drogi.

W jednej i drugiej formacji są zwolennicy – nazwijmy to – „cichego wsparcia" dla PiS, z perspektywą rozszerzenia na bardziej trwały układ. Ale to wymagałoby czasu, a cezurę stanowiłyby wybory samorządowe, a zaraz po nich europejskie. Szczególnie rozstrzygnięcie w tych pierwszych mogłoby stać się impulsem do nowego rozdania na Wiejskiej. Nazwijmy – kompleksowego. Bardziej perspektywiczne dla zwycięzcy, czyli PiS, z prezydentem, TK czy mediami publicznymi, wydawałyby się w tej sytuacji aktywa nieliberalnej części Trzeciej Drogi. Mam tu na myśli przede wszystkim komponent samorządowy. A mówiąc jeszcze bardziej precyzyjnie – sejmiki, w których bez Trzeciej Drogi, głównie z jej częścią ludową, Koalicja Obywatelska zostałaby bardzo mocno zredukowana „w terenie", mając co najwyżej kontrolę nad rozdaniem w wielkich aglomeracjach. Czyli w dziewiątym roku rządzenia Polską przez PiS, z najmniejszymi od lat zasobami i perspektywą znaczącej politycznej marginalizacji. To czarny scenariusz dla KO. Stąd ta, jakże widoczna, obserwowana szorstka przyjaźń w ramach „obozu demokratycznego" między KO a Trzecią Drogą i chęć liderów tej pierwszej formacji do zrzucenia pod próg koalicji Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Żeby nie stracić niemal wszystkiego przed prezydencką batalią w 2025 r.

Czy stan, który mamy obecnie w sondażach, utrzyma się do wyborów? Czy też na skutek uruchomienia jakiejś dynamiki zdarzeń nagłych, w rodzaju gwałtownego wzrostu zagrożenia bezpieczeństwa państwa czy eskalacji kryzysu z migrantami na granicy z Białorusią, może dojść w ostatnich tygodniach kampanii do zasadniczych zmian poparcia społecznego, przede wszystkim w układzie PiS versus Platforma?

Stoimy przed rozstrzygnięciem, czy wzorem wyborów z ostatnich dwóch dekad dojdzie w końcówce kampanii do polaryzacji, co spowoduje osłabienie innych ofert niż dwóch gigantów. W praktyce oznaczałoby to problem z progiem dla Trzeciej Drogi, słaby wynik dla Lewicy, jednocyfrowy rezultat Konfederacji czy szczątkowe poparcie dla Bezpartyjnych Samorządowców. Ale co, jeśli skutkiem narastającego zmęczenia wojną polsko-polską mleko się nagle intensywnie rozleje? A za chwilę będziemy świadkami, wbrew staraniom PiS i PO, gwałtownej depolaryzacji? Co z kolei dałoby prawdopodobne dwucyfrowe wyniki dla Trzeciej Drogi, Lewicy i Konfederacji oraz mocniejsze zaistnienie Bezpartyjnych Samorządowców. To są czynniki wewnętrzne. Ale są też i zewnętrzne, z możliwym wpływem na decyzję suwerena 15 października. Mam tu na myśli przede wszystkim to, co dzieje się i mogłoby się rozwinąć w bardziej ekstremalnym kierunku, za naszą wschodnią granicą. Napaść Rosji na Ukrainę, wydarzenia na granicy polsko-białoruskiej spowodowały, że bezpieczeństwo, w rozumieniu rodziny, wspólnoty lokalnej, a szerzej kraju, zawsze wysoko w hierarchii spraw ważnych, stało się jeszcze ważniejsze. Nie jest przypadkiem, że PiS właśnie kwestie bezpieczeństwa eksploatuje na potęgę w kampanii, co jest sporym problemem dla partii opozycyjnych. Zwłaszcza liberalnego centrum, które kierując się od ośmiu lat zasadą „nie, bo PiS", choćby w kwestii budowy muru na granicy z Białorusią czy obostrzeń administracyjnych, jest mało wiarygodne, co naturalne dla wyborców PiS, ale co ważne dla wyniku nadchodzącej elekcji – wyborców środka.

Porozmawiajmy o kwestii przywództwa. Czy w kolejnej odsłonie starcia Kaczyński-Tusk, liderów dwóch największych obozów, dostrzegł pan w tej kampanii jakiś nowy rys?

Mamy do czynienia z jeszcze większym niż dotychczas zakleszczeniem. W dużym skrócie wygląda to tak: Tusk mówi: „Nie głosujcie na Kaczyńskiego, bo on prowadzi was na Wschód". Kaczyński odpowiada: „Popieranie Tuska to powrót niemieckich porządków nad Wisłą". W obu przypadkach taki przekaz gwarantuje mobilizację twardej bazy wyborczej. Z Tuskiem przeciwko Kaczyńskiemu, z Kaczyńskim przeciw Tuskowi. Tyle że w przedwyborczej układance, o czym zdają się zapominać sztabowcy dwóch wielkich formacji, są jeszcze dwa elementy. Wyborcy inni niż PO-PiS oraz niezdecydowani. Ci pierwsi, jeśli nie ulegną polaryzacyjnej presji, dokonają wyboru z wyłączeniem partii Tuska i Kaczyńskiego. Drudzy w 2019 r. chętniej popierali portfelowo PiS, mając jako alternatywę walkę o praworządność i demokrację. Teraz, głównie za sprawą obserwowanego odklejenia od rzeczywistości rządzących, pozostają w politycznym przedpokoju. Jedni i drudzy, bez zasilenia PO-PiS, w końcówce kampanii tym bardziej przybliżą nas do scenariusza, który z wyjątkiem lat 1991–1993 nie miał jeszcze miejsca w III RP. Czyli braku większości i niewiadomej.

A tym samym perspektywy głębokiego kryzysu politycznego z niejasnymi szansami na jego rozwiązanie.

A to wszystko w zupełnie innym położeniu geostrategicznym niż jeszcze dwa lata temu czy pięć. Wojna za południowowschodnią granicą, gorąco na granicy z Białorusią, a także dalej od nas, choć ważne dla nas: kryzys UE z zapędami federalistycznymi eurokratów, narastający spór USA – Chiny, a szerzej USA – BRICS. Wygląda na to, że spokojnie już było, przez mniej więcej ćwierćwiecze. I to czas przeszły dokonany. Po ośmiu latach stabilnych rządów PO-PSL, kolejnych ośmiu Zjednoczonej Prawicy prognozowanie politycznej przyszłości, tej najbliższej, nad Wisłą pozostaje niezwykle trudnym zadaniem. Być może nie będzie u nas żadnego Berlina czy Budapesztu w Warszawie. Będzie za to Sofia, bo przypomnę, że od kilku lat Bułgarzy mają polityczny pat. Chodzą co kilka miesięcy do wyborów, których rezultaty nie prowadzą do wyłonienia trwałej większości.

Utrzymanie stabilizacji państwa jest więc rzeczywistą stawką tych wyborów.

Zdecydowanie tak. Stąd bacznie przyglądające się rozwojowi sytuacji w Polsce Waszyngton i Berlin via Bruksela. Niestabilność nad Wisłą to problem dla NATO i UE. A jesteśmy w pierwszym przypadku państwem frontowym, hubem dla Ukrainy, w ramach środkowoeuropejskiej układanki supermocarstwa zza Atlantyku. W drugim zaś, z racji potencjału demograficznego i gospodarczego – graczem, którego nie można tak po prostu unijnie wykluczyć. Z chaosu zawsze coś się wyłania. Tyle tylko, że ten chaos jest dopiero przed nami. Nie pozostaje nam nic innego, jak mocno zapiąć pasy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Jeden z transparentów Ruchu Autonomii Śląska FOT. TOMASZ WIKTOR/PAP

Rewizjonizm historyczny na Śląsku

Andrzej Krzystyniak

Czemu służy oskarżanie Polski i Polaków o represjonowanie, wręcz eksterminowanie mniejszości narodowych po drugiej wojnie światowej? Nazywanie komunistycznych obozów pracy „polskimi obozami koncentracyjnymi" jest krzywdzącym Polskę rewizjonizmem historycznym. Nie służy on z całą pewnością pamięci ofiar, a jest jedynie grą obliczoną na zrównanie ofiary z katem

Wkroczenie na ziemie polskie Armii Czerwonej, walczącej jednocześnie z Niemcami, poza końcem okupacji niemieckiej i ratunkiem przed unicestwieniem narodu przez Niemców nie wróżyło dla Polaków niczego dobrego. Zresztą Sowieci już wcześniej pokazali Polsce swoje prawdziwe oblicze, we wrześniu 1939 r., wbijając walczącej z Niemcami armii polskiej nóż w plecy, co przyspieszyło polską klęskę. Armia Czerwona, ściągając przegrywających wojnę Niemców, nie znała litości dla nikogo, jednakowo traktowała, a może czasem gorzej, żołnierzy polskiego podziemia, polską ludność i jeńców niemieckich, niemieckich cywili. Warto wspomnieć również, że kiedy Sowieci w latach 1939–1941 siali terror na polskich Kresach Wschodnich, Niemcy byli z nimi w bliskim sojuszu, dzieląc między siebie Polskę. Z kolei 8 października 1939 r. dekretem Hitlera część polskiego Śląska została włączona do III Rzeszy.

EGZAMIN Z LOJALNOŚCI

Okupowana część Górnego Śląska to zaledwie skrawek w porównaniu z zajętymi przez Sowietów Kresami Wschodnimi, lecz bardzo znaczący skrawek. Niemcy wkroczyli na Śląsk nie mniej brutalnie jak Sowieci na Kresy, mordując każdego, kto stawiał opór. Wkroczyli z gotowymi listami proskrypcyjnymi, na których umieścili osoby przeznaczone do eksterminacji. Nie od rzeczy jest dodać, że w przygotowaniu tych list pomagali niemieckiemu wywiadowi członkowie mniejszości niemieckiej zamieszkujący po polskiej stronie Górnego Śląska. Zresztą ten proceder był powszechny nie tylko na Górnym Śląsku, lecz także wszędzie tam, gdzie na obszarze Polski zamieszkiwali Niemcy. Dodajmy do tego radosne witanie Wehrmachtu przez ich niemieckich pobratymców, również powszechne zjawisko we wrześniu 1939 r.

Warto również wspomnieć, że mniejszości zamieszkujące tereny II RP nie zdały egzaminu lojalności wobec państwa, którego były obywatelami. Sowieci pobili swojego dawnego sojusznika, który napadł ich w czerwcu 1941 r., dokonując potwornych zbrodni, podobnie jak na obszarze okupowanej Polski. Związek Sowiecki, wkraczając do Polski, „wyzwalając" kolejne

eprasa.pl 60aa5cfbaf

obszary, pozbawiał Polaków złudzeń na odzyskanie niepodległości. Armia Czerwona swój szlak bojowy znaczyła nie tylko walką z Niemcami, lecz także mordami, gwałtami, rabunkami, co w połączeniu z działalnością sowieckich organów bezpieczeństwa tworzyło obraz terroru na umęczonym niemiecką okupacją narodzie polskim.

Polska na długie lata została podporządkowana Związkowi Sowieckiemu. Władzę komunistyczną zainstalowano w Polsce przemocą, bagnetami wojsk NKWD. Podobnie zresztą jak we wszystkich krajach, do których wkroczyli Sowieci. Lata 1945–1949 były naznaczone brutalnym terrorem, mającym na celu podporządkowanie „wyzwolonych" narodów. Utworzone w krajach zajętych przez Armię Czerwoną organy bezpieczeństwa, choć składające się z obywateli danego kraju, były ściśle podporządkowane Moskwie, realizując jej cele polityczne.

ABSURDALNA NARRACJA

Od kilkunastu lat Ruch Autonomii Śląska i podobne im organizacje „regionalistów" wprowadzają, przy okazji obchodów Tragedii Górnośląskiej, w dyskurs historyczny tezę o „polskich obozach koncentracyjnych" funkcjonujących po 1945 r. Jak się okazuje, robią to z powodzeniem. Ich zdaniem sztandarowym przykładem „polskiego obozu koncentracyjnego" jest obóz Zgoda utworzony przez komunistów w dzielnicy Świętochłowic. Środowiska autonomistów oskarżają Polskę i Polaków o represje, wręcz mordowanie Ślązaków w obozach koncentracyjnych. Ich zdaniem polskie komunistyczne władze niezależnie od Sowietów podjęły decyzję o budowie kraju „jednolitego narodowo", stosując do tego celu terror wobec innych narodowości. Nieodłącznym elementem tego terroru miało być zamykanie przedstawicieli mniejszości narodowych (przede wszystkim Ślązaków) w obozach koncentracyjnych.

Teza o „niezależności" od Sowietów polskich komunistycznych władz jest tak absurdalna, że już na wstępie nie powinna być traktowana poważnie. Jerzy Gorzelik, przewodniczący Ruchu Autonomii Śląska, w artykule w „Gazecie Wyborczej" stwierdził wprost: „Bez żadnych wątpliwości celem polskich władz była likwidacja Ślązaków". Jego zdaniem najpełniejszą definicję zaproponował dr hab. Adam Dziurok z katowickiego IPN na konferencji zorganizowanej w roku 2015 w Sejmie RP, włączając do Tragedii Górnośląskiej także wypędzenia i wysiedlenia.

Wypowiedziom „regionalistów" oskarżających Polskę i Polaków o czystki etniczne czy wręcz eksterminację mniejszości narodowych należałoby poświęcić osobny sporych rozmiarów tekst. Warto jednak w tym miejscu zastanowić się, czy motywami działania oskarżycieli jest faktyczna pamięć ofiar komunistycznego terroru czy też kierują nimi inne przesłanki. Nietrudno zauważyć, że mówienie o „polskich obozach koncentracyjnych", „polityce państwa jednolitego narodowo" stawia Polaków w roli już nie ofiary drugiej wojny światowej oraz sowieckiego terroru powojennego, lecz sprawców zbrodni o podłożu narodowościowym.

Jeśli Polska po 1945 r. jest odpowiedzialna za wysiedlenia i wypędzenia, to naturalną koleją rzeczy stanowić to może groźną przesłankę do żądania w przyszłości odszkodowań za przesiedlenia ludności niemieckiej po 1945 r. z obszaru ziem przyznanych Polsce decyzjami aliantów. Nie jest wykluczone, że taki jest cel głoszenia tezy o „polskich obozach koncentracyjnych" po 1945 r., czyli neutralizacja zbrodni niemieckich poprzez oskarżenie państwa polskiego o prowadzenie „szowinistycznej polityki państwa jednonarodowego". Argumenty, że Polakom komunizm został narzucony siłą i w wolnej przedwojennej Polsce, w odróżnieniu od Niemiec, nie dochodziło do represji wobec mniejszości i zakładania obozów zagłady, trafiają w próżnię.

Dodajmy, że w narracji o rzekomych polskich zbrodniach na Śląsku po 1945 r. możemy odnieść wrażenie, że wojna rozpoczęła się od wkroczenia na te obszary Armii Czerwonej, a czas brutalnych represji miał miejsce od momentu zainstalowania tam polskiej administracji. Okres niemieckiej okupacji jawi się więc jako czas względnego spokoju i stabilizacji, bez represji i mordów popełnianych przez Niemców na Ślązakach.

Co ciekawe, komunistyczne obozy po 1945 r. funkcjonowały również w innych krajach, np. w Czechosłowacji, gdzie wysiedlenia Niemców przybierały dużo brutalniejsze formy niż w Polsce oraz na obszarze Niemieckiej Republiki Demokratycznej, a wcześniej Sowieckiej Strefy Okupacyjnej. Obozy koncentracyjne tworzone przez Sowietów w strefie okupacyjnej we wschodnich Niemczech są do dziś słabo przebadanym fragmentem historii Niemiec.

Utworzone przez Sowietów – bardzo często wykorzystujących infrastrukturę obozów nazistowskich – w których władzę administracyjną stanowili Niemcy, podobnie jak większość więźniów funkcyjnych była Niemcami. Jednak obozy utworzone po 1945 r. w Niemczech Wschodnich nazywane są nie „niemieckimi obozami koncentracyjnymi" czy też „niemieckimi komunistycznymi obozami koncentracyjnymi", a „stalinowskimi obozami koncentracyjnymi". Czymże w praktyce różniło się zachowanie Sowietów w okupowanych Niemczech Wschodnich, późniejszej NRD, od tego w Polsce? Tym, że w połowie 1945 r. na ziemiach „wyzwolonej i suwerennej" Polski stacjonowało 15 pułków Wojsk Wewnętrznych NKWD liczących ok. 40 tys. żołnierzy, co stanowiło ponad 40 proc. wszystkich sił NKWD obecnych w Europie Środkowej. Z kolei na obszarze okupowanych wschodnich Niemiec przebywało „tylko" 10 pułków NKWD. Postępowanie Sowietów w Polsce bywało często brutalniejsze niż w podbitych Niemczech. Dlaczego wzorem Niemców, zgodnie z prawdą, powojennych komunistycznych obozów nie nazywamy stalinowskimi, wszak ich funkcjonowanie przypada na lata określane czasem stalinizmu?

POWÓD OSKARŻEŃ

Czemu służą oskarżenia Polski o zakładanie obozów koncentracyjnych po 1945 r., wysiedlenia mniejszości, represje i brutalny terror? Pamięci ofiar? Wszelkie argumenty sprzeciwu wobec tego typu oskarżeń spotyka odpowiedź, że „skoro Polacy stanowili kierownictwo obozów, to obozy były polskie", skoro obozy były niepolskie, to „nie możemy mówić o ciągłości państwa polskiego". Państwo polskie pod tego typu naciskami może znaleźć się w bardzo kłopotliwej sytuacji. Inna rzecz, że nie widać, by podejmowało działania mające zapobiegać tego typu oskarżeniom. Polska oskarżana o powojenne „likwidacje mniejszości narodowych" może zostać zmuszona do zadośćuczynienia za wyrządzone szkody. Dodajmy, że oskarżenia w większości pochodzą ze środowisk, dla których Polska jest okupantem, a nie gospodarzem na Śląsku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. AWS

Z dr. Michałem Sopińskim, rektorem Akademii Wymiaru Sprawiedliwości
rozmawia Karol Gac

Chcemy stać się Uniwersytetem Wymiaru Sprawiedliwości

KAROL GAC: Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości od września zmieniła nazwę na Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. To nie tylko zmiana symboliczna, lecz także – w życiu uczelni – realna i jakościowa

DR MICHAŁ SOPIŃSKI: To efekt pięciu lat wytężonej pracy administracyjnej, organizacyjnej i naukowo-dydaktycznej. To wielki sukces całej społeczności, która tworzy Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. Podniesienie rangi uczelni ze szkoły wyższej do akademii w ciągu zaledwie pięciu lat to ewenement w skali krajowej i europejskiej. Inne uczelnie służb mundurowych, jak np. Wyższa Szkoła Policji w Szczytnie czy Szkoła Główna Pożarnictwa, które również zmieniły nazwę, funkcjonują w zakresie kształcenia od kilkudziesięciu lat. AWS, która powstała jako uczelnia służb mundurowych, przede wszystkim Służby Więziennej, dokonała tego awansu naukowego w przeciągu pięciu lat. Jednocześnie zmieniliśmy swój profil, uzupełniając go o kształcenie w zakresie administracji publicznej, wymiaru sprawiedliwości i organów bezpieczeństwa państwa.

Dziś, jako AWS, jesteśmy uczelnią, która kształci przyszłych oficerów Służby Więziennej, która przechodzi okres niezwykłej modernizacji, jak również osoby na studiach cywilnych – prawników, ekspertów od bezpieczeństwa. Prowadzimy również aplikację kuratorską, tzn. wchodzimy w proces tworzenia kadr dla całego wymiaru sprawiedliwości. Chcemy, aby te procesy, które mają wpływ na usprawnienie, modernizację, cyfryzację wymiaru sprawiedliwości, rodziły się właśnie w naszej uczelni. Tak, abyśmy mogli być całym zapleczem dla rodzącej się reformy wymiaru sprawiedliwości. Wydaje się, że przez te ostatnie lata udało nam się zrobić wiele na tym polu. Uważamy, że obecny stan to nie jest nasze ostatnie słowo.

Następny krok to uniwersytet?

Akademia, czyli podmiot, który ma prawo do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego w co najmniej dwóch dyscyplinach, to tylko początek dalszej drogi. Chcemy po najbliższej ewaluacji stać się Uniwersytetem Wymiaru Sprawiedliwości. Obszarem naszego zainteresowania będzie cała kwestia związana z wymiarem sprawiedliwości, administracją państwa, bezpieczeństwem i człowiekiem. Uważamy, że to z człowieka biorą się prawo, ład społeczny i tworzenie wspólnoty. Przecież łacińskie „universitas" to właśnie wspólnota. Wokół tych pojęć i wartości budujemy naszą uczelnię.

Pół żartem, pół serio można powiedzieć, że AWS wraca do życia.

Owszem, AWS powraca na mapę Polski, ale mam nadzieję, że tylko na jedną kadencję, bo już za cztery lata chcemy być UWS. Ten powrót wydaje mi się być dobrym pomysłem, ponieważ dziś potrzebna jest nowa jakość w kształceniu na uniwersytetach. Akcja Wyborcza Solidarność była odpowiedzią na kilkuletnie rządy postkomunistów w Polsce, które przyszły bardzo szybko jak na warunki odzyskanej pełnej suwerenności po roku 1989. Pamiętamy przecież, jak duże nadzieje wiązano z AWS, który skonsolidował pewne środowiska.

Chociaż w ocenie historyków AWS odbierany jest różnie, to mam wrażenie, że z naszą Akademią wiele środowisk konserwatywnych, które nastawione są na wolność akademicką, pluralizm, swobodę prowadzenia badań naukowych, wią-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

że ogromne nadzieje. Liczą one na nową jakość, a przynajmniej na brak cenzury, która jest dziś codziennością na wielu uniwersytetach i uznanych jednostkach naukowych, gdzie np. promuje się pewne badania, które szkalują Polaków albo wspierają określony paradygmat badawczy oparty na postmarksizmie, genderyzmie, budując kolejne pokolenia naukowców. Mam nadzieję, że bilans naszych najbliższych kilku lat będzie zdecydowanie bardziej pozytywny niż bilans AWS, która ostatecznie szybko utraciła władzę i otworzyła drogę do rządów SLD.

Wspomina pan o cenzurze na polskich uniwersytetach. Jeden z pomysłodawców powstania Szkoły Wyższej Wymiaru Sprawiedliwości, wiceminister Marcin Romanowski, dwa lata temu w rozmowie z „Do Rzeczy" powiedział, że uczelnie wyższe w Polsce są przesiąknięte lewicową wizją świata, a SWWS ma być odtrutką na ów problem i tym samym oazą wolności. Udało się?

Wydaje się, że ta wizja swobodnego wybierania tematów badawczych, prowadzenia ich, opierając się na różnych paradygmatach, jest obecna na naszej uczelni. Jako kierownictwo AWS staramy się, aby był pluralizm światopoglądowy wśród pracowników, a także by były zachowane proporcje pomiędzy tym, co jest badane. Uważamy, że ostatecznym celem uniwersytetu jest poszukiwanie prawdy. Chodzi o to, by odpowiedzieć sobie na trzy pytania: Jak jest? Dlaczego tak jest? Jak powinno być? Te trzy pytania są fundamentalne. Kiedy tak sformułuje się zadania naszym naukowcom, to od razu znika ideologia, a zostaje merytoryka. Odpowiadając więc na pytanie, czy jesteśmy oazą wolności, mogę powiedzieć, że z całą pewnością tak. Jesteśmy na mapie polskich uniwersytetów miejscem, w którym każdy – student i badacz – może swobodnie poszukiwać prawdy zgodnie ze swoimi zainteresowaniami badawczymi.

Ten lewicowy marsz przez instytucje w ostatnich latach nabrał w Polsce rozpędu, a wraz z nim indoktrynacja młodych ludzi. Jeżeli spojrzymy, co dzieje się na polskich uniwersytetach, to bardzo często można przecierać oczy ze zdumienia.

To prawda. Mamy do czynienia z wykluczaniem osób o poglądach konserwatywnych, które prezentują tradycyjny światopogląd. Próbuje się je rugować ze społeczności studenckiej oraz grona wykładowców. To tendencja, która zmierza do wprowadzenia orwellowskiej jednomyślności u kadry akademickiej. A przecież to z wątpienia i z samego myślenia rodzi się wiedza. Dopiero kiedy podamy coś w wątpliwość, możemy zrozumieć tego sens. Warto więc myśleć krytycznie. Dlatego oceniam bardzo negatywnie nagonkę na studentów o tradycyjnych poglądach czy zaangażowanych politycznie, bo nie jest ona umotywowana żadnymi względami merytorycznymi. Dziś przybiera ona cechy nagonki w typie stalinowskim.

Niestety, nigdy nie nastąpiła prawdziwa dekomunizacja polskich uczelni. Jeśli prześledzimy kariery zawodowe wielu profesorów czy doktorów habilitowanych oraz ich mentorów, to zobaczymy swoistą sztafetę pokoleń. Przywiezieni z ZSRS marksiści w latach 50. i 60. wychowali swoich uczniów, a oni kształcą kolejne pokolenia. Nic dziwnego, że dziś prezentują takie, a nie inne poglądy. Mentalni spadkobiercy stalinistów i marcowych docentów mają dziś usta pełne frazesów o tolerancji, równości i pluralizmie, jednak w głębi duszy wciąż są stalinistami, którzy nienawidzą prawdy o człowieku i boją się jej. Wydaje się, że remedium na ich dotychczasowy monopol akademicki jest budowanie nowych uczelni opartych na zdrowych fundamentach.

Absolwenci AWS pozwolą uzdrowić polski wymiar sprawiedliwości?

Kształcenie akademickie to zawsze praca u podstaw. Skupiamy się na osobach, które dopiero za kilka lub kilkanaście lat wpłyną na polski wymiar sprawiedliwości. Wydaje się jednak, że to jedyna słuszna droga, ponieważ inwestycja w budowę przyszłych elit, które mają wziąć odpowiedzialność za Polskę, zawsze się zwraca. Tak uczyniono np. zarówno podczas zaborów, gdy wychowano przyszłe elity, które wzięły później tę odpowiedzialność i ukształtowały nasz kraj, jak i w okresie międzywojennym. Wierzę, że wychowankowie AWS wezmą odpowiedzialność za wymiar sprawiedliwości i Polskę lat 2030 czy 2040. Moim marzeniem jako rektora jest to, by w przyszłości w sądach apelacyjnych, okręgowych, prokuraturach czy nawet w Trybunale Konstytucyjnym lub Sądzie Najwyższym byli absolwenci Akademii Wymiaru Sprawiedliwości.

Był pan wcześniej jednym z najmłodszych prorektorów w Polsce. Teraz jest pan najmłodszym rektorem w kraju. Wielu to dziwiło. Jak pan to odbiera? Ciężko kieruje się uczelnią wyższą?

Wydaje mi się, że młoda, dynamicznie rozwijająca się uczelnia, która działa na różnych płaszczyznach i musi to robić niekonwencjonalnie, potrzebuje też osoby działającej nieszablonowo i kreatywnej. Tak jak młodego wina nie wlewa się do starych bukłaków, tak młodej uczelni nie powinno się oddawać w ręce rektora starszego pokolenia. Wtedy jako uczelnia stracilibyśmy ten dynamizm i chęć ciągłego rozwoju. Jako osobie młodej wydaje mi się, że widzę lepiej problemy współczesnego świata, które być może dla starszego pokolenia są już niezauważalne. Dzięki temu mogę myśleć prospektywnie, bo nie ogranicza mnie przeszłość, a jedynie wizje przyszłości i możliwości realizacji. Patrzę na naukę oczami przyszłości i wymogów tego, co przed nami, a nie na podstawie tego, jak nauka wyglądała 20–30 lat temu. Świat przyśpiesza, dlatego nie można stać w miejscu. Przed 30. rokiem życia ukończyłem trzy kierunki studiów w dwóch różnych krajach, prowadziłem badania naukowe na trzech kontynentach, obroniłem doktorat z wyróżnieniem na najlepszej polskiej uczelni, a także napisałem kilka książek i kilkadziesiąt opracowań naukowych. Bycie najmłodszym rektorem w Polsce traktuję jako kolejne wyzwanie, a także wielką odpowiedzialność.

Wierzę, że wychowankowie AWS wezmą odpowiedzialność za wymiar sprawiedliwości i Polskę lat 2030 czy 2040

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Zważyć ucznia

Łukasz Zboralski

Uczniowie szkół podstawowych i średnich będą od tego roku mierzeni, ważeni i sprawdzani podczas testów sprawnościowych. Czy to źle?

FOT. ADOBE STOCK

Ten rok szkolny będzie nowatorski pod jednym względem. Zmienione Prawo oświatowe nałożyło na uczniów i ich rodziców obowiązek przekazywania raz w roku informacji o masie ciała i wzroście. Te dane trafiać będą do rządowej bazy „Sportowe Talenty".

W bazie znajdą się także wyniki sprawnościowe każdego ucznia. Nauczyciele wychowania fizycznego zostali bowiem zobowiązani do przeprowadzania raz w roku obowiązkowych testów sprawnościowych wśród uczniów szkół podstawowych (klasy IV–VIII) oraz w szkołach średnich.

SKACZ, BIEGAJ, WYTRZYMAJ

Obowiązkowe testy będą cztery. Uczeń będzie musiał: skoczyć w dal z miejsca (to pozwoli oszacować jego skoczność i siłę); przejść „Beep test", czyli przebieganie 20-metrowych odcinków w coraz szybszym tempie, które kończy się, gdy poddawany próbie nie zdąży w określonym sygnałem czasie przebiec dwóch kolejnych odcinków (to test wytrzymałości tlenowej); zaliczyć bieg wahadłowy po kopercie 10 x 5 m (sprawdza wytrzymałość i koordynację), wykonać plank, czyli wytrzymać w pozycji pompki, z podparciem na przedramionach, jak najdłużej (sprawdza siłę i wytrzymałość).

Testy nie będą miały wpływu na ocenę z przedmiotu. To znaczy, że u najlepszych nie poprawi to wyniku z WF, a u najgorszych nie pogorszy. Dlaczego więc w ogóle przeprowadzane będą takie testy?

Po pierwsze, państwo będzie dokładnie kontrolować poziom rozwoju fizycznego uczniów. To ważne w kontekście prawdziwej epidemii otyłości, która polskie dzieci dotyka już bardzo mocno. Sprawa jest poważna. Już w 2018 r. Instytut Żywienia i Żywności wskazywał, że nadwagę ma ponad 30 proc. dzieci w wieku szkolnym. W latach 70. nadwagę notowano u mniej niż 10 proc. uczniów szkolnych.

Tymczasem – jak wskazała Najwyższa Izba Kontroli w 2021 r. – w państwie właściwie zaniknął system kontroli w szkołach, który pozwalał takie kłopoty u dzieci wychwytywać. Obowiązkowymi badaniami bilansowymi, które były głównym źródłem informacji o zdrowiu, w latach 2018–2019 objęto niewiele ponad 60 proc. uczniów. Dekadę wcześniej dane z obowiązkowego bilansu pozyskiwano od 90 proc. dzieci.

Jest zresztą jeszcze gorzej. Inspektorzy NIK wskazali, że dane – obejmujące już niewiele ponad połowę dzieci – które placówki POZ przekazywały resortowi zdrowia, były nierzetelne. NIK przebadała losową próbę dokumentacji pacjentów w wieku od 2 do 18 lat i – wyliczając indeks BMI – stwierdziła otyłość lub nadwagę u 22 proc. (z tej puli 65 proc. miało nadwagę, a 49 proc. otyłość). Tymczasem ze 140 pacjentów z nadmierną masą ciała lekarze zaznaczyli ten problem (kierując do poradni specjalistycznej lub wdrażając leczenie) tylko w 94 przypadkach. W pozostałych nie podjęli żadnych działań. Nieprawidłowe diagnozy tłumaczyli m.in. przeciążeniem w pracy.

Notowanie wagi, wzrostu i przeprowadzanie testów sprawnościowych w szkołach przyniesie więc monitoring zdrowia dzieci, którego obecnie w Polsce brakuje.

Część mediów i ekspertów zaczęła utyskiwać, że takie dane zbierane o uczniach nie zmienią ich nastawienia do sportu. Że od tego nie staną się chudsi, że koledzy w szkole zobaczą, jak fatalną ktoś ma kondycję fizyczną. Stowarzyszenie Umarłych Statutów (niosące pomoc uczniom w zakresie ich praw) apelowało nawet do prezydenta, by zawetował te przepisy, i argumentowało, że testy sprawnościowe często przyczyniają się „do poczucia upokorzenia w przypadku porażki przed rówieśnikami". Żale to chybione – trudno uznać, że dzieci w szkole nie widzą dziś, kto z kolegów słabo biega, jest otyły itd.

Poza dyskusją pozostaje to, że by móc coś zaplanować, trzeba mieć dane. „Sportowe Talenty" tych danych dostarczą przecież także rodzicom dzieci. Dla wielu z nich wyniki z testów powinny być sygnałem alarmującym i stworzyć podstawę do mądrej rozmowy między

eprasa.pl 60aa5cfbaf

wuefistą, lekarzem a opiekunem ucznia.

Oczywiście można nadal próbować dowodzić, że WF „traumatyzuje" dzieci. Dokąd taka postawa prowadzi, to chyba właśnie obserwujemy – coraz mniej ćwiczących dzieci na zajęciach, coraz mniej dzieci sprawnych i zdrowych.

DO KLUBU I DO WOJSKA

Monitoring ogólnej sprawności, wzrostu i wagi notowany w rządowej bazie ma być także pomocą w wyławianiu tych uczniów, którzy przejawiają wysokie zdolności sportowe.

„Zanonimizowane wyniki testów będą udostępniane związkom i klubom sportowym, które – za pośrednictwem szkoły – będą mogły kontaktować się z rodzicami, aby zaproponować im dalszy sportowy rozwój ich dziecka. Dzięki takiemu rozwiązaniu wyrównane zostaną szanse uczniów z mniejszych ośrodków, którym jest ciężej pojechać na testy lub nabory do klubów sportowych" – informowało Ministerstwo Sportu.

Do klubów trafiać będą dane o wynikach ucznia z testów, jego wadze, wzroście oraz informacja o gminie, na której terenie jest taki uczeń. Klub sportowy za pomocą systemu „Sportowe Talenty" będzie mógł wyrazić zainteresowanie takim dzieckiem, a wówczas zgłoszenie od klubu przekazywane będzie przez szkołę rodzicom. I to rodzice – albo sami uczniowie – decydować będą, czy chcą spróbować kariery sportowej w danym klubie.

Dodajmy, że nauczyciele, którzy sami już zauważą najlepszych sportowców wśród uczniów, będą mogli skorzystać z dodatkowo opisanych 67 testów wydolnościowych, sprawnościowych, lekkoatletycznych i pływackich (dostępnych na platformie sportowetalenty.gov.pl).

Jest wreszcie trzeci powód wprowadzenia bazy „Sportowe Talenty". W nowelizacji dotyczącej bazy znalazł się bowiem art. 36g, mówiący o tym, że „dane z ewidencji minister sportu udostępnia na wniosek podmiotowi publicznemu albo podmiotowi niebędącego podmiotem publicznym, realizującemu zadania publiczne – w celu niezbędnym do realizacji zadań publicznych".

Media od razu zaczęły spekulować, że wgląd w sprawność fizyczną polskiej młodzieży będzie miało wojsko. Poseł Lewicy Marek Rutka wskazywał w „Rzeczpospolitej", że „zapis ten ma służyć wojskowym komendom uzupełnień do analizy kondycji potencjalnych kandydatów na żołnierzy. Dzięki temu jeszcze przed wezwaniem na komisję będą mieli pełne informacje o kondycji fizycznej młodych ludzi".

Ostatecznie spekulacje przeciął sam minister sportu Kamil Bortniczuk, który jest pomysłodawcą programu. W rozmowie z portalem Forasal.pl argumentował: „Im więcej sprawnych młodych ludzi, tym łatwiej zbudować silną, sprawną armię albo, w razie wielkiego zagrożenia, zrobić skuteczny pobór spośród ludzi, którzy będą w stanie nosić karabin".

I znów – jak w przypadku rzekomego traumatyzowania uczniów na WF – należy zapytać: Cóż będzie złego w tym, że państwo będzie miało szybciej wiedzę o sprawności ludzi, którzy i tak będą objęci obowiązkiem służby wojskowej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. ADOBE STOCK

Nie ma jak u mamy?

Zuzanna Dąbrowska

Choć do rekordzistów, którymi są Chorwaci, Polakom wciąż sporo brakuje, to – jak pokazują dane – nad Wisłą pogłębia się zjawisko opóźniania decyzji o opuszczeniu domu rodzinnego. Kim są „gniazdownicy” i jakie pobudki decydują o ich stylu życiu?

Eurostat przedstawił na początku września dane dotyczące wieku, w którym w poszczególnych krajach ludzie zaczynają życie na własną rękę. Wbrew powszechnemu przekonaniu na czele zestawienia nie są Włosi, ale właśnie Chorwaci. Średni wiek opuszczenia rodzinnego domu wyniósł w tym kraju w 2022 r. aż 33,4 roku. Drugie miejsce, z wynikiem 30,8 roku, zajęła Słowacja. Na podium plasują się też Grecy, którzy średnio przenoszą się „na swoje” w wieku 30,7 roku. Na samodzielność po przekroczeniu 30. roku życia decydują się również Bułgarzy i Hiszpanie (30,3), Maltańczycy (30,1) oraz Włosi (30,0). Dalej są Portugalia (29,7) oraz Słowenia (29,4). Według Eurostatu średni wiek rozpoczęcia życia na własną rękę w Polsce to 28,9 roku (mężczyźni – 29,9; kobiety – 27,8). To sporo powyżej średniej, która dla całej UE wynosi 26,4. Co ciekawe, granica przesuwa się – w 2019 r. średnia ta wynosiła 26,2. Dla kontrastu najniższy wiek „wyfrunięcia z gniazda” w 2022 r. odnotowano w Finlandii (21,3 roku), Szwecji (21,4), Danii (21,7) i Estonii (22,7). Uwagę zwraca jeden aspekt – w każdym z krajów kobiety decydują się na samodzielne życie szybciej niż mężczyźni.

DLACZEGO ZOSTAJĄ?

„Nie ma jak u mamy, ciepły piec, cichy kąt / Nie ma jak u mamy, kto nie wierzy robi błąd” – śpiewał Wojciech Młynarski. Choć utwór ten liczy sobie już ponad pół wieku, to zawarta w nim tęsknota za „maminą spódnicą” wydaje się zaskakująco aktualna. Co więcej, jest nie tylko tęsknotą, lecz także rzeczywistością coraz większej grupy młodych Polaków. Jeszcze w 2019 r. szli oni na swoje, mając średnio 27,4 roku, co i tak, w porównaniu ze Skandynawią, było wiekiem późnym. Minęły trzy lata i średnia ta wzrosła o półtora roku. Obecnie nasz kraj jest w pierwszej dziesiątce.

Inne, równie ciekawe dane dotyczące tego zjawiska udostępnił Główny Urząd Statystyczny. W roku 2013 z rodzicami mieszkało 43,5 proc. Polaków w wieku 25–34 lata. W roku 2022 była to już połowa tej grupy wiekowej, a dokładniej 51 proc. Za „gniazdownika” GUS uznaje osobę „w wieku 25–34 lata mieszkającą z rodzicami, nieposiadającą współmałżonka i niebędącą samą rodzicem. Populacja gniazdowników nie obejmuje osób rozwiedzionych oraz wdowców”.

W opracowaniu „Pokolenie gniazdowników w Polsce” (z roku 2021, w którym analizowano dane za rok 2018) urząd wskazał powody, dla których wydłuża się czas odkładania decyzji o życiu na własny rachunek. Jako najistotniejszy

eprasa.pl 60aa5cfbaf

powód wskazano trudności finansowe. Aż 60 proc. osób z tej grupy nie posiadało żadnego dochodu lub był on niższy niż stawka płacy minimalnej (w 2018 r. wynosiła ona 2,1 tys. zł; od lipca tego roku to 3,6 tys. zł.). Kolejnym czynnikiem była konieczność zajmowania się rodzicami. „Gniazdownicy często nie mają możliwości podzielenia się bieżącą opieką nad rodzicami z rodzeństwem, ponieważ gros z nich (42 proc.) nie posiada rodzeństwa lub już z nim nie mieszka” – zaznaczono w raporcie. Można wysnuć wniosek, że szybszemu usamodzielnieniu sprzyjają żyjące w bliskich relacjach rodziny wielodzietne, w których można dzielić się opieką nad starzejącymi się rodzicami.

Jako inne powody wskazano kwestie psychologiczne (to m.in. niedojrzałość emocjonalna do zawierania małżeństwa, a także strach przed wzięciem odpowiedzialności za swoje życie) oraz przekazywane w rodzinach wzorce aktywności ekonomicznej. „Jak wykazało badanie, prawie co szósty gniazdownik nie pracuje i mieszka jednocześnie przynajmniej z jednym niepracującym rodzicem. Podobny odsetek występuje w przypadku nieaktywnych zawodowo gniazdowników, których rodzic (w sytuacji zamieszkiwania tylko z jednym rodzicem) lub rodzice są bezrobotni, bierni zawodowo lub w wieku poprodukcyjnym. Dziedziczenie braku aktywności ekonomicznej w rodzinach gniazdowników nie wykazuje przy tym zróżnicowania względem płci” – czytamy w analizie GUS. Na jeszcze inną przyczynę zwraca uwagę Bartosz Turek, analityk HREIT Investments. „Winna była oczywiście epidemia, a raczej jej konsekwencje. Spowodowały one negatywne zmiany w życiu większości obywateli. W konsekwencji jednak szczególnie wiele osób będących na początku dorosłego życia albo postanowiło wrócić do domu rodzinnego, albo przynajmniej nie zdecydowało się na wyprowadzkę” – powiedział w rozmowie z tvn24.pl.

SŁODKA BEZTROSKA

O ile nikogo nie trzeba przekonywać, że rosnące inflacja i ceny na rynku mieszkaniowym z pewnością nie zachęcają do wyprowadzki „na swoje”, o tyle ciekawszy wydaje się aspekt psychologiczny. Niedawno lifestyle’owy serwis Noizz przeprowadził wśród swoich czytelników, będących „gniazdownikami”, ankietę sprawdzającą ich motywacje. Dwudziestoczteroletnia Małgorzata, która przez całe życie mieszka z rodzicami w Warszawie, mówi, że „wybór studiów w tym samym mieście sprawił, że się nigdy nie wyprowadziła”. „Pracuję za minimalną krajową i za tę stawkę wynajmując pokój oraz opłacając całe swoje życie w stolicy, byłabym finansowo na zero. Dzięki mieszkaniu z rodzicami to, co zarabiam, idzie na podróże i moje zachcianki. Mogę odłożyć też trochę na przyszłość” – wskazuje. Kobieta podkreśla też, że ważny jest dla niej komfort. „Mam zapewnioną swoją przestrzeń, pełną lodówkę, leki przeciwbólowe, podpaski, środki czystości itp. To może i drobiazgi, ale gdybym mieszkała sama, musiałabym i na to wydawać pieniądze” – wyjaśnia. Dwudziestoczterolatka zaznacza, że raczej w dalszych planach ma wyprowadzkę, ale teraz korzysta z wygody, którą daje wspólne życie.

O tym, że mieszkanie pod dachem rodziców oznacza mniej codziennych trosk, mówi także 26-letnia Julia. Do domu wróciła ze studiów na początku pandemii COVID-19 (uczelnie przeszły wtedy na zdalny tryb nauczania). Kobieta wprost przyznaje, że to rodzice martwią się codziennymi obowiązkami. „Duże zmiany w życiu osobistym skutkowały tym, że zostałam u rodziców znacznie dłużej, niż na początku planowałam. Bardzo doceniam w mieszkaniu z nimi to, że mam się do kogo odezwać, nie muszę się martwić tym, czy rachunki będą zapłacone na czas, ani ogólnymi sprawami, nazwijmy to logistycznymi” – zaznacza. Twierdzi, że znajomi, którzy są w pełni odpowiedzialni za siebie, zazdroszczą jej tej wygody.

Na sytuację 28-letniego Marcina inaczej patrzą jego koledzy. „Wiem, że kumple z pracy nabijają się ze mnie za moimi plecami – że jestem synkiem mamusi, który nie potrafi się usamodzielnić. Ja patrzę na to inaczej. Rodzice to najbliższe mi osoby, więc dlaczego mam się od nich odsuwać, gdy mamy dobre warunki do wspólnego mieszkania? Wolę spędzić wieczór z rodzicami przed telewizorem niż zamulać sam w ciasnej kawalerce” – przekonuje mężczyzna. O rok młodszy Filip nie zgadza się z poglądem, że wyfrunięcie z gniazda to dowód na dojrzałość. „Dawniej pod jednym dachem żyły trzy pokolenia i raczej nikt nie patrzył na nich jak na nieudaczników. Po prostu tak było łatwiej i taniej” – argumentuje.

Postawę cytowanych „gniazdowników” można podsumować krótko: wygoda ponad wszystko. Niezależność i brak konieczności tłumaczenia się z każdej decyzji (nawet tak prozaicznej, jak nocny powrót do domu) nie są postrzegane jako atrakcyjne, ponieważ przeważa strach przed odpowiedzialnością i konsekwencjami własnych błędów.

ZOOMERSI I BUMERANGI

„Gniazdownikami” są w dużej mierze tzw. zetki, czyli przedstawiciele pokolenia Z. Za generację Z uważa się osoby urodzone między 1995 a 2012 r. (za datę określającą początek generacji niektórzy przyjmują rok 1997). Wydaje się, że istnieje związek między niechęcią do szybkiego usamodzielniania się a generalnymi cechami „zetek” (nazwa pochodzi od popularnej platformy Zoom, umożliwiającej spotkania on-line; od czasu COVID-19 jest powszechnie używana w firmach). Z badania Zespołu Instytutu Nauk o Zarządzaniu i Jakości Wyższej Szkoły Humanitas wynika, że dla przedstawicieli tego pokolenia wartościami najważniejszymi są: szczęście (62 proc.), rodzina (60 proc.), możliwość realizowania pasji (56 proc.) oraz ekologia. (51 proc.). Dopiero na piątym miejscu jest niezależność/wolność (51 proc.). Generalnie wolność nie jest dla „zoomersów” priorytetem.

Z tego samego badania wynika, że wartościami mającymi dla nich największe znaczenie w miejscu pracy są: sprawiedliwość (62 proc.), szacunek (59 proc.), tolerancja (55 proc.), równouprawnienie (49 proc.) oraz uczciwość (44 proc.). Wolność to 37 proc. wskazań. Znamienne, że wyraźnie mniejszą estymą cieszą się pryncypia, które wymagają wysiłku i samozaparcia – sumienność oraz rzetelność.

Swoistym gatunkiem „gniazdownika” jest „bumerang”, czyli osoba, która wyprowadziła się z domu rodzinnego, jednak na pewnym etapie do niego wróciła. To często osoby powyżej 34. roku życia, po trudnych, życiowych przejściach – rozwodzie, utracie pracy, walczące z chorobą. Stąd, opisując zjawisko „gniazdownictwa” – choć to kuszące – nie należy wrzucać wszystkich do jednego worka. A raczej do jednego gniazda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Wolontariat 2.0.

Jak profesjonalizm i innowacje napędzają zmiany społeczne

Współczesny wolontariat to aktywność społeczna ludzi w każdym wieku, którzy wspierają swoją pomocą np. organizację wydarzeń kulturalnych lub sportowych. To także codzienna, płynąca z potrzeby serca pomoc w placówkach organizujących zajęcia edukacyjne dla dzieci lub aktywność sportową dla seniorów, promujących zdrowy styl życia oraz wiele innych. Jednak to jednostka oraz jej osobiste zaangażowanie w konkretną sprawę odgrywają kluczową rolę w działaniach i powodzeniu wolontariatu. Co więcej, aktywność wolontariuszy przyczynia się także do rozwoju ekonomicznego państwa, co pokazuje, że wolontariat to nie tylko moralny, lecz także praktyczny element dobra wspólnego

Za wyjątkowy przykład służy historia Karoliny Wilk-Korab – prezes oraz koordynatorki wolontariatu w Fundacji Lucky-Ski. Karolinę wyróżnia przede wszystkim profesjonalizm, którym inspiruje kolejne rzesze wolontariuszy oraz udowadnia, że każdy może przyczynić się do pozytywnych zmian w naszym społeczeństwie. Dzięki swojemu nastawieniu skutecznie zarządza ona czasem, funduszami i ludźmi, co pozwala na efektywne działanie jej fundacji na wielu płaszczyznach.

Według Karoliny profesjonalizacja wolontariatu oznacza nie tylko świetną organizację, lecz także wysoką jakość usług i ciągłe szkolenia, które zapewniają ochotnikom niezbędne umiejętności. Fundacja Lucky-Ski, zajmująca się m.in. hipoterapią, odnosi sukcesy dzięki wspólnocie, którą udało się stworzyć koordynatorce, angażując w wolontariat całą rodzinę oraz lokalną społeczność. Poprzez swoje działania kontynuuje ona rodzinną tradycję pomocy innym. Podążając za przykładem swojej zmarłej matki, wspiera potrzebujących oraz edukuje wolontariuszy, którzy w przyszłości będą przekazywać dalej wyznawane przez nią wartości.

Działalność pani prezes Lucky-Ski wspiera finansowo Korpus Solidarności – Rządowy Program Wspierania i Rozwoju Wolontariatu Systematycznego na lata 2018–2030, którym zarządza Narodowy Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego. Dzięki Korpusowi Karolina i wszystkie osoby, które podążają za jej przykładem mogą angażować się w pomoc innym. Niedawno wprowadzone zmiany w Korpusie Solidarności, w tym uruchomienie nowej ścieżki wsparcia finansowego „WOW w NGO", mają na celu podniesienie jakości i skuteczności pracy wolontariuszy poprzez ich profesjonalizację. Jest to przełomowy krok dla tych, którzy aspirują do pełnienia ról kierowniczych w organizacjach pozarządowych, chcą zakładać własne fundacje czy też pragną zaangażować w pomoc społeczną swoje otoczenie. Dzięki tej ścieżce wolontariat nie tylko jest formą altruistycznego działania, lecz także staje się narzędziem dla profesjonalistów, którzy chcą zarządzać wolontariatem w sposób efektywny i zorganizowany.

Za sprawą Korpusu Solidarności oraz jego nowej ścieżki „WOW w NGO" coraz

REKLAMA

eprasa.pl 60aa5cfbaf

więcej przedsięwzięć może liczyć na nowe możliwości. Ich rozwój przyczynia się do realizacji misji NIW-CRSO, która polega na służbie obywatelom oraz budowaniu społeczeństwa opartego o ideę solidarności. Jak mówi prof. Piotr Gliński: „Korpus Solidarności to coś więcej niż program, to ruch społeczny, który angażuje wszystkie osoby – niezależnie od wieku, wykształcenia czy doświadczenia – do działania na rzecz wspólnoty, którą tworzymy wszyscy jako obywatele". Jakość i skuteczność Programu jest odzwierciedleniem wizji Komitetu ds. Pożytku Publicznego, dzięki któremu Korpus Solidarności stał się narzędziem społecznej zmiany, dostępnym dla każdego, kto chce się zaangażować w rozwój wspólnoty – zarówno tej lokalnej, jak i globalnej.

„Badania GUS z 2011 r. pokazują, że praca wolontariuszy ma rzeczywisty wpływ na gospodarkę. Równowartość aż 3 proc. PKB, co przekłada się na 40 mld zł, zostało wygenerowane dzięki ich zaangażowaniu. To jasny dowód na to, że ochotnicza praca nie tylko wpływa na społeczność w sposób pozytywny, lecz także generuje oszczędności dla państwa i samorządów, które w przeciwnym wypadku musiałyby inwestować znaczne środki w realizację tych samych celów" – mówi prof. Gliński. Wizja rozwoju wolontariatu zaproponowana przez Komitet ds. Pożytku Publicznego oparta jest więc na głębokim zrozumieniu istoty i wartości pracy wolontariuszek i wolontariuszy, co znalazło wyraz w Programie. Takie podejście, nie tylko uwypuklające aspekty altruistyczne, lecz także podkreślające profesjonalizm i współpracę z instytucjami państwowymi, dało narzędzie realnej społecznej i ekonomicznej zmiany.

„Od 2018 r. NIW przekazał polskim NGO ok. 6 tys. dotacji. Ponad 54 mln zł (na cztery lata realizacji pierwszej edycji „WOW w NGO") trafi do organizacji wolontariackich. Według statystyk Korpus Solidarności, od początku swojego istnienia, zgromadził już ponad 7 tys. wolontariuszy. Do tej pory otrzymali oni szansę uczestniczenia w 4,3 tys. różnorodnych działań edukacyjnych, takich jak szkolenia, debaty oraz spotkania branżowe. Przeprowadzenie wspomnianych aktywności umożliwiło powstanie ponad 200 Miejsc Przyjaznych Wolontariuszom, przy współpracy z 37 regionalnymi i lokalnymi partnerami Korpusu Solidarności. Ochotnicy otrzymali ponad 500 minigrantów oraz bonów edukacyjnych oraz mieli szansę rozwijać swoje kompetencje wraz z ponad 170 edukatorami Korpusu Solidarności" – podkreśla Wojciech Kaczmarczyk, dyrektor NIW.

Jak widać, Korpus Solidarności to zarówno inwestycja w jednostki, jak i społeczeństwo. Przy wsparciu dobrze zaplanowanych i zarządzanych struktur otwierają się nowe możliwości dla wolontariuszy, którzy podążają za przykładem osób takich jak Karolina Wilk-Korab. Ostatecznie Program stanowi też dowód na to, że wolontariat może być katalizatorem długotrwałych, pozytywnych zmian. Przyczynił się nie tylko do powstania i owocnego funkcjonowania różnorodnych działalności, lecz także, za sprawą profesjonalizacji pracy wolontariuszy, zapewni jednostkom dostęp do bogatych zasobów oraz edukacji na najwyższym poziomie.

REKLAMA

Prof. Piotr Gliński, Przewodniczący Komitetu ds. Pożytku Publicznego
Marianna Otmianowska, p.o. Dyrektor Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie
Wojciech Kaczmarczyk, Dyrektor Narodowego Instytutu Wolności

zapraszają na wystawę

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE DLA RZECZYPOSPOLITEJ

WYSTAWA CZASOWA

Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie, Stajnie Kubickiego

14.09 – 22.10.2023

Scenariusz wystawy i tekst: prof. Ewa Leś
Wykonawcy: Dr Marcin Szymański, Tomasz Kochelski, Magdalena Makówka

„To wystawa, która przedstawia niezwykłe historie polskich społeczników i podsumowuje sześcioletnią działalność NIW-CRSO na rzecz polskiego trzeciego sektora"
prof. Piotr Gliński

Organizatorzy

KOMITET DO SPRAW POŻYTKU PUBLICZNEGO

Sfinansowano ze środków Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach Rządowego Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO na lata 2021-2030

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Alfabet Krzysztofa Masłonia

Krzysztof Masłoń

W ubiegłym tygodniu ukazała się trzecia część mojego alfabetu. Dziś część czwarta i – przynajmniej na razie – ostatnia

AGNIESZKA OSIECKA Strach czytać jej „Dzienniki", tak są opasłe i tak beznadziejnie o niczym. Po co w ogóle je wydawano? Aby umocnić pozycję literacką Agnieszki Osieckiej (zm. 1997), uzasadnić patronowanie szkołom, bibliotekom, studiom radiowym, stawianie pomników i ławeczek? No nie. Więc po co? O jej wyjątkowości świadczą teksty piosenek, których popełniła ok. 2 tys. Wiele wybitnych, może i genialnych, a na pewno pięknych. I za nie kochaliśmy Osiecką i kochamy dalej.

Przyglądam się dedykacjom i zabawnym rysuneczkom na pierwszych stronach kilku jej kompletnie dziś zapomnianych książek, które mam w swojej bibliotece. Najgłośniejszą z nich zatytułowała przekornie „Szpetni czterdziestoletni". A przecież nie zdążyła nawet się zestarzeć, siwizna dodawała jej tylko uroku. Dlaczego jednak ta jej rzekoma wieczna młodość była tak piekielnie smutna? Popularny serial nie wyjaśnił ani tego, ani czegokolwiek innego. Za to prawdziwym wydarzeniem mogłoby być opublikowanie korespondencji Jerzego Giedroycia z „hożą dziewoją o pięknych włosach", jak określił ją Mieczysław F. Rakowski. Rzuciłoby to światło na „pokajanie" delikwentki objętej w 1958 r. operacyjnym rozpracowaniem o kryptonimie Osa, o czym pisała Joanna Siedlecka w książce „Kryptonim: »Liryka«. Bezpieka wobec literatów". W każdym razie Departament I MSW był zainteresowany wyjazdem poetki do Jugosławii, gdzie miałaby się spotkać z redaktorem „Kultury". Esbecja wystawiła jej nawet na tę okoliczność wcześniej blokowany paszport, Giedroyc jednak uświadomił widać sobie, czym taka randka pod czułym okiem bezpieki mogłaby grozić, i do spotkania nie doszło. Paszport, co oczywiste, natychmiast Osieckiej odebrano.

Na świat, który zbudowała w swoich piosenkach, składały się szkiełka i muszelki, okruchy, zajączki z waty i zasuszone bukieciki – i to ten świat zaakceptowali i pokochali słuchacze. Przechodząc do porządku dziennego nad tym, że pisała i o czterech pancernych, i o odwetowcach z Bonn, a nawet użaliła się nad Grekami cierpiącymi pod butem junty pułkowników. A niezależnie od jej wynurzeń z „Listu do Adama" (Michnika) ciałem i duszą należała do środowiska „Polityki". Środowiska, a nie pokolenia, choć to swojej generacji zadedykowała w 1990 r. wiersz „Nasza młodość", fragmentarycznie prawdziwy:

Nasza młodość – bez Pana Boga,
nasza młodość – na czterech nogach,
nasza młodość – wciąż niby blisko,
nasza młodość – jak lotnisko
przywołuje, obiecuje, jeszcze nie...
Nasza młodość – półoszukana
nasza młodość – jak świeża piana –
miała wrócić, miała zostać
jeszcze noc, jeszcze dwie...
[...]
Lecz nikt już jej słuchać nie chce –
z czym do gości
tej naszej młodości!

FOT. ERAZM CIOLEK/PAP

JOANNA SIEDLECKA Utrzymuje, że „tak jak Wańkowicz najbardziej ceni najlepsze dowody żywotności pisarskiej, czyli krytyczne recenzje". Tych nie brakowało jej niemal od samego początku pracy dziennikarskiej, a już na pewno od 1987 r., odkąd pisząc o Witoldzie Gombrowiczu książkę „Jaśniepanicz", znalazła swój temat życia, specjalizację, a stało się nią portretowanie pisarzy, tworzenie ich prawdziwych

eprasa.pl 60aa5cfbaf

wizerunków, a nie podkoloryzowanych monideł. Biografistyka ma bowiem dwa wymiary: pierwszy, jakże rozpowszechniony, to niekończące się pielgrzymowanie do grobów i składanie wieńców, drugi to – znów cytuję Joannę Siedlecką – „mozolne, nieefektowne, samotne dogrzebywanie się do prawdy". Nie budowała swoim bohaterom pomników, bo te, jak twierdzi – i słusznie – lubią tylko gołębie.

Nie przyjmowała do wiadomości istnienia „białych plam", bo nic jej tak nie mobilizowało – wyznawała – „jak tabliczka z napisem »zabronione«". Czasem też coś jej zazgrzytało w trakcie lektury, jak to się stało w wypadku „Malowanego ptaka" Jerzego Kosińskiego. Gdy inni powtarzali jak za panią matką brechty o prześladowaniu biednego żydowskiego chłopczyny przez nieokrzesanych i zboczonych chamów z polskiej wsi, Siedlecka wsiadła w samochód czy autobus i pojechała do Dąbrowy Rzeczyckiej, w okolice Sandomierza, by przyjrzeć się temu „chamstwu", porozmawiać z nim, udzielić mu głosu. Zdążyła – żyli jeszcze ludzie pamiętający i „malowanego chłopca", i jego ojca, i księdza, który rzekomo dręczył przyszłego pisarza, a w rzeczywistości znalazł rodzinie Kosińskich schronienie, ratując ją od zagłady. Tak narodził się „Czarny ptasior", jedna z najbardziej zhejtowanych książek, jakie pamiętam. Tyle że w 1993 r. nikt jeszcze nie używał terminu „hejt", wystarczały przaśne obmówienie, sflekowanie, nagonka. I to właśnie spotkało autorkę.

Za plecami nazywana bywa różnie, bo po co – stawiane bywa pytanie – grzebać się w przeszłości, naruszać hierarchię wartości – czyją, kiedy ustaloną, na ogół się nie precyzuje – podawać w wątpliwość to, co autorzy opowiadali tak długo, że może i sami w to uwierzyli. Że np. toczyli z bezpieką rozmowy filozoficzne, a że brali od swoich interlokutorów pieniądze – no cóż, jaka praca, taka płaca. Joanna Siedlecka powiada, całkiem spokojnie zresztą: „Oni tworzyli mity, całe mitologie, niekiedy nawet fascynujące. A ja jestem od tego, żeby to wszystko weryfikować". Dziś, po wielu takich weryfikacjach, ci, którzy serio zajmują się literaturą, powinni być autorce książki „Kryptonimu »Liryka«. Bezpieka wobec literatów" wdzięczni. Odrobiła za nich pracę domową.

FOT. POLSKA PRESS

Nikt nie każe akceptować jej sądów i opinii, wyrażanych ostatnio także na łamach „Do Rzeczy". Z wieloma z nich kompletnie się nie zgadzam. Ale co z tego? Kiedy 20 lat temu, i to z okładem, rozmawiałem z nią o jej budzącym ogromne emocje „Panu od poezji", ujawniającym – powiedzmy – niewygodne fakty z życia Zbigniewa Herberta, powiedziała, że wyznawcy pisarza chcą wykreować taki jego wizerunek, w którym życie byłoby zgodne z dziełem. A to nie tylko niemożliwe, lecz także absolutna bzdura.

A o autorze „Pana Cogito" mówiła, że „niewątpliwie wielu polskich pisarzy miało cięższe życie w PRL, lecz to on, zwłaszcza po »Raporcie z oblężonego miasta«, został nie tylko patronem opozycji, lecz także – jak sam żartował – »świętym literatury polskiej«. Literatury, która – jak trafnie i bez złudzeń mówił Krzysztof Dybciak – na ogół kolaborowała z komunistyczną władzą, była usługowa i potrzebowała świętego, który miałby ją zrehabilitować, odkupić jej winy. I został nim właśnie Herbert".

EUSTACHY RYLSKI Jego „Warunek" nazwałem zaraz po jego wydaniu arcydziełem i ocenę tę podtrzymuję. Tak w nim pisał o Rosji:

„Kraj, który się sprzysiągł w złej sprawie.

Niby bezludny, pusty, ale niechby tylko co. Niby obojętny, lecz gotów na wszystko. Niby otwarty, chciałoby się rzec, na oścież, ale jednocześnie przyczajony jak dzikie zwierzę. A gdzie ludzie, tam bezwstydny, demonstracyjny gwałt na wszystkim, co żyje i nie żyje.

Zresztą różnica między jednym a drugim niewielka. Widzi się przed sobą życie, przejeżdża się, odwraca głowę, a tam już po życiu. Jakby minęło bez skargi, w zgodzie na własną nietrwałość wobec bezmiaru.

Od czasu do czasu, jak pułapka, pozory dobroduszności. Jakiś pokłon do ziemi, jakiś uśmiech, ciepły gest, ujmująca za serce fraza, ale nie daj Bóg się na to nabrać, uwierzyć.

Kraj, który jak zechce, to zamęczy każdego na śmierć, a jak odpuści, to zdarzy się to samo z siebie…".

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Literaturę – zdaniem Eustachego Rylskiego – „mogą wykończyć rozmaite zabawy literackie: modernizm, postmodernizm, konceptualizm, całe to kręcenie się za własnym ogonem. Prozie polskiej brakuje wielkich tematów. Ona jest czasem pisana niesłychanie zręcznie, nawet po mistrzowsku, ale to mało. Tymczasem sądzę, że gdyby w tej chwili objawił się pisarz z nowym »Przedwiośniem«, odniósłby również sukces komercyjny".

Autor „Warunku" powiedział to 19 lat temu. Nowego „Przedwiośnia" jak nie było, tak nie ma, choć polskiej prozie przydarzył się nawet w tym czasie Nobel. Kierunek, w którym zmierza proza polska, wyznaczyły swego czasu Gretkowskie, Vargi i Piątki. Wydawana jest też cała masa historii pisanych w myśl – jak to ujmował Włodzimierz Odojewski – zasady: On, Ona, ten trzeci i Szczekający Pies. Ale to nie literatura, to tylko książki. Marne.

WITOLD ZALEWSKI

Prawie 30 lat temu gościłem w mieszkaniu Witolda Zalewskiego, pisarza, uczestnika Powstania Warszawskiego (zm. 2009). Spytał się wtedy, czy kiedykolwiek byłem w Buchenwaldzie. Gdy zaprzeczyłem, podzielił się ze mną wrażeniami ze swojej tam bytności:

„W 1964 r. pojechałem na wycieczkę do NRD. Byłem zachwycony Weimarem, europejskością – w najbardziej szlachetnym znaczeniu – tego miasta, domami Goethego i Schillera. Musieliśmy tam przenocować, z czym był problem, gdyż w hotelach brakowało miejsc. Postanowił nam pomóc jakiś Polak, który tam mieszkał. Powiedział, że FDJ [Związek Młodzieży – przyp. K.M.] prowadzi schronisko i to jest ostatnia szansa. Okazało się, że, owszem, są tam miejsca, ale trzeba udać się kawałek drogi za miasto. Jest już ciemno, jedziemy w górę lasem i nagle przecieram oczy – znajduję się w obozie koncentracyjnym. Widzę wieże strażnicze, druty kolczaste – to był Buchenwald. Na dole świeciły światła Weimaru, a my spędziliśmy koszmarną noc w esesmańskim baraku. O świcie obudziły nas marsze do złudzenia przypominające hitlerowskie. Do tego schroniska przyjeżdżały wycieczki z całej NRD. Pokazywano im Weimar i zaraz potem Buchenwald. Kiedy stamtąd wyjeżdżałem, myślałem o tych Niemcach, którzy po wojnie mówili, że nic nie wiedzieli o obozach".

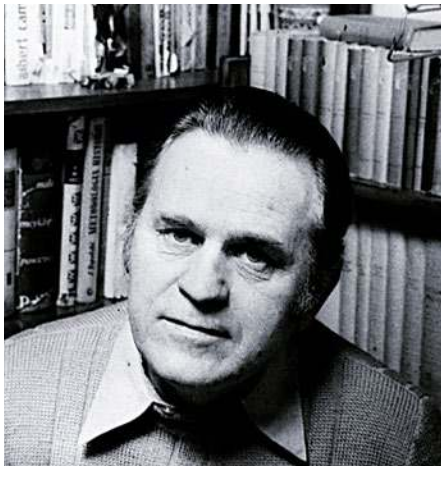

FOT. ARCHIWUM CAF/PAP

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Swoje książki wydaje w Polsce i w Ameryce, do kraju przyjeżdża możliwie często, na stałe mieszkając w Stanach Zjednoczonych, w Wilmington, w stanie Delaware. W domu jej i jej męża, Normana Boehma (zm. 2016), Amerykanina, który choć nie mówił po polsku, to stał się przy żonie polskim patriotą, wielokrotnie np. interweniując, gdy w prasie pojawiały się krzywdzące nasz kraj opinie i informacje, choćby o „polskich obozach śmierci". A w sprawie przyjęcia Polski do NATO prowadził korespondencję m.in. z senatorem Joe Bidenem.

Dla Aleksandry Polska jest zawsze na pierwszym miejscu, ale Amerykę też nosi w sercu. Przed laty, w systematycznie prowadzonej korespondencji z Szymonem Kobylińskim, odpowiadając na jego antyamerykańskie wyskoki – bo nie tylko krytykę, lecz także wręcz naigrywanie się z amerykańskiej kultury – napisała (w 1995 r.): „Owszem, na Amerykę niemal wszyscy teraz w Polsce wykrzykują. Piszą i mówią o niej z pasją, jak kiedyś np. o Rosjanach. Pojawił się ulubiony termin »tandeta amerykańska«. Tandeta jest i polska, i niemiecka, i amerykańska; brońmy się przed tandetą jako taką. Te wykrzykiwania antyamerykańskie dawno spostrzegłam, wychwyca je »Nowy Dziennik«, przedrukowując różne teksty z Polski. Rozdziera szaty Zanussi czy Duda-Gracz, może dlatego że stawiali na karierę w Ameryce i teraz są zawiedzeni.

Słusznie piszesz, że Polacy nie powinni małpować Ameryki, mając wspaniałe własne korzenie. Nie powinni małpować nikogo, ale to chyba inny temat, nie amerykański. Dlaczego Polska i wiele krajów jak za panią matką pędzą za Ameryką? To ich problem, nie Ameryki".

Broniła wtedy Ameryki przed atakującym ją przyjacielem, choć – śmiała się – pewnie obrony tej nie potrzebowała: „Amerykanie – twierdziła – mają świetne samopoczucie i doskonale sobie dają radę. To raczej Polska, kraj nowy, świeżutki w rodzinie demokratycznych państw, potrzebuje specjalnego traktowania, jakiejś taryfy ulgowej".

Teraz, po śmierci Normana, coraz częściej myśli o powrocie do Polski, ale wciąż się waha, zwłaszcza że jej syn, Tomasz, mieszka na Karaibach, gdzie na wyspie Roatan wydaje pismo, głównie o charakterze turystycznym, bo cały ten region z turystyki żyje. Założył rodzinę, do córeczek jego żona mówi po hiszpańsku, opiekunka po angielsku, a tatuś i babcia, gdy do nich przyjeżdżają – po polsku.

Do literatury weszła Aleksandra Ziółkowska jako asystentka i sekretarka Melchiora Wańkowicza, który zapisał jej w testamencie swoje archiwum. Nie mógłby sobie wymarzyć pisarz lepszej propagatorki jego twórczości i strażniczki jego dobrego imienia. To ona doprowadziła do edycji dzieła pisarza, wraz z niepublikowaną po wojnie w kraju „Sztafetą" i nieznanymi tekstami o problematyce żydowskiej i zbrodni na Wołyniu. Wydała także korespondencję Wańkowicza, m.in. z żoną, a także z redaktorem paryskiej „Kultury" Jerzym Giedroyciem. „Wymieniałam z nim – opowiadała – moc listów, bardzo miłych, jeśli dotyczyły Indian (Redaktor był miłośnikiem westernów) czy zwierząt domowych, ja miałam swoją kotkę, on psa. Ale w tym, co najważniejsze, nie było między nami zgody, a właściwie wyglądało to tak, że Redaktor w listach pisał mi, jak wysoko ceni Wańkowicza, natomiast z przedmowy, jaką przygotował do wyboru korespondencji, wynikało coś zupełnie innego. Nie ukrywam, że jestem dumna, bo udało mi się go przekonać, by napisał nową przedmowę, stawiając sprawę niemal na ostrzu noża, gdyż – gdyby tak się nie stało – chciałam wycofać swoje nazwisko z planowanej publikacji. Próbował jakby zbagatelizować problem, utrzymując, że

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

podchodzę do sprawy nazbyt emocjonalnie, moim zdaniem jednak, o czym mu napisałam – nie była to kwestia emocji, lecz lojalności".

Lojalność to jedno, sentyment, pamięć, wdzięczność – wszystko to się liczy, ale może najważniejsza jest literatura i jej jakość. A zdaniem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm „nie ma piękniejszej książki o Kresach niż »Szczenięce lata«. Bohaterstwa żołnierza polskiego nic nie pokazuje lepiej od »Hubalczyków« i »Bitwy o Monte Cassino«. I nie ma bardziej wzruszającej książki o domu, o rodzinie niż »Ziele na kraterze«". Nie dziwi więc, że to właśnie ona czyni starania, by przyszły rok – 2024, w 50. rocznicę śmierci pisarza – Sejm Rzeczypospolitej mocą swoją ustanowił Rokiem Melchiora Wańkowicza.

Opiekowała się twórczością autora „Hubalczyków", a także podążała śladami jego dzieł, co dokumentują takie jej książki jak „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża" czy „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy demon". A opowiadała też o tym, jak z Hubalczykiem, Romanem Rodziewiczem, pojechała do Anielina, gdzie rozpoznała go, po latach, żona sołtysa, u którego żołnierze często zatrzymywali się w czasie patroli. Po serdecznym powitaniu pani Aleksandra spytała, czy mieszkańcy okolicznych wsi nie mają żalu o pacyfikacje przeprowadzane wtedy jako retorsje za udzielanie pomocy oddziałowi Hubala.

– Ale Niemców też ubywało – usłyszała w odpowiedzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Po Wenecji, przed Gdynią

Remigiusz Włast-Matuszak

Zarówno formuła Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, jak i Ustawa o kinematografii mająca 20 lat wymagają nowelizacji i zreformowania. System corocznego rozdziału 400 mln zł środowisku filmowców „z tego kraju" się nie sprawdził. Mamy problem

Pani prezydentka czasami odwiedza „ten kraj". Stałą rezydencję (a nawet dwie) ma w Republice Francuskiej, w tym jedną w Bretanii. Ma podwójne – polskie i francuskie – obywatelstwo. Jej córka (reżyserka filmowa?) ma obywatelstwo francuskie. Na politycznych wiecach wzywała, by w Polsce „było tak, jak było", swoje wizyty w kraju komentowała w prostacki sposób, że czuje się tu tak jak w pokoju, w którym ktoś zepsuł powietrze.

Kilka tygodni temu obraziła Radosława Śmigulskiego najmocniej w życiu (jak oświadczył dyrektor Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej) stwierdzeniem, że bliżej mu do Rudolfa Hössa niż do Franza. (Chodziło o dofinasowanie przez PISF filmu „Strefa interesów" Jonathana Glazera o komendancie KL Auschwitz Höessie, i odmowę wsparcia milionami jej projektu o Franzu Kafce – żydowskim pisarzu piszącym w języku niemieckim w Pradze czeskiej i zmarłym śmiercią naturalną w 1924 r., a więc przed epoką nazizmu).

POLITYCZNA AGITKA

W czerwcu br. biuletyn informacyjny „PISFletter" zamieścił „krzepiącą" informację o rozpoczęciu realizacji filmu Agnieszki Holland pt. „Zielona granica" o nielegalnych migrantach z Azji i Afryki przekraczających granicę białorusko-polską. Ze zwiastuna i dziesiątek omówień filmu można się dowiedzieć, że jest to opowieść o potwornościach, których dopuszczają się polskie służby graniczne, i tragedii syryjskiego intelektualisty z dziećmi, jadącego z Syrii przez Mińsk do „wujka w Szwecji". (Gdyby poleciał bezpośrednio z Damaszku do Sztokholmu, to pani Holland nie mogłaby nakręcić swojego thrillera).

Film jest frenetycznie i fanatycznie nagłaśniany przez Onet, Interię i „Gazetę Wyborczą". Na 80. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji dostał nagrodę pocieszania od międzynarodowego, lewicowego jury. Nie dostał (bo słaby filmik – agitka polityczna – nie mógł dostać) ani Złotego Lwa św. Marka, ani Srebrnego Lwa, ani nagrody za reżyserię czy innych nagród. W takim wypadku, by docenić polityczne przesłanie, daje się Nagrodę Specjalną Jury. Film został też nagrodzony sześcioma nagrodami organizacji lewicowych, co praktycznie go deprecjonuje.

Jak zastrzega się pani prezydentka, ona i jej film nie uczestniczą w kampanii wyborczej 15 października. Nic bardziej kłamliwego – ogólnopolska premiera filmu dystrybuowanego przez lewicowe platformerskie Kino Świat, na 332 ekranach, odbędzie się 22 września br. w Gdyni (i całej Polsce), trzy tygodnie przed wyborami i w piątym dniu trwania 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Jest rzeczą oczywistą, że cała publika z dyrekcją festiwalu włącznie oraz prezydentka Dulkiewicz ze świtą pobiegną na premierę, by manifestacyjnie nagrodzić film owacją na stojąco i wysłuchać politycznego przemówienia pani Holland, a pół Polski zobaczy to na kanale TVN.

Co wykrzyczy ze sceny pani Holland? Pewnie powtórzy w rozwiniętej formie tezy, które wygłosiła na Campusie Polska 2023 w Olsztynie na sesji pt. „Czy leci z nami pilot" (parafraza tytułu znanej amerykańskiej komedii filmowej z 1980 r.). Wtórowała jej na Campusie pani Ewa Puszczyńska, od lat typująca w PISF filmy do nagrody Oscara z zerowym skutkiem. Tezą główną tego filmowego spotkania na Campusie było ostrzeżenie, że to nie deszcz poda, ale zalewa nas – dosłowny cytat – „ściana g…". W innych wystąpieniach i wywiadach pani Holland stwierdzała, że „szczepionka Holokaustu przestała działać", że czuje się wieziona w wagonie do polskiego obozu itd., itp., że na naszych oczach na polskiej granicy odbywa się nowy Holokaust wobec bezbronnych lekarzy, inżynierów i intelektualistów – emigrantów politycznych uciekających z Syrii, Bangladeszu, Konga itd. do Europy, by pracować i żywić swoje dzieci. Zapewne usłyszymy zarówno o 50 zamordowanych uchodźcach, jak i o wolontariuszach – współczesnych Sprawiedliwych (działa-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

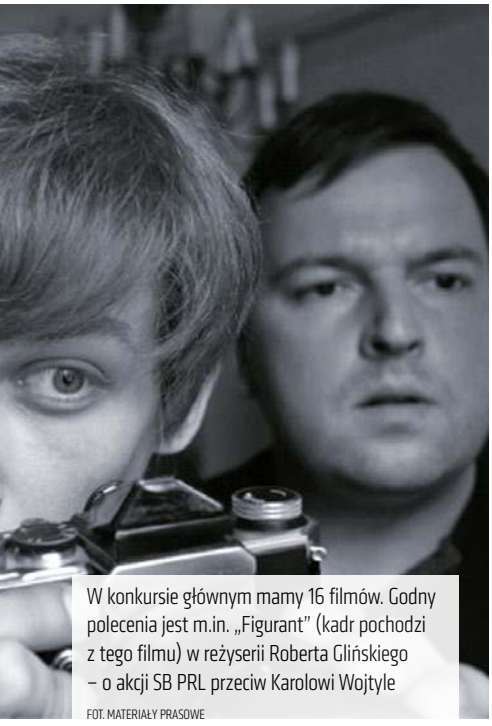

W konkursie głównym mamy 16 filmów. Godny polecenia jest m.in. „Figurant" (kadr pochodzi z tego filmu) w reżyserii Roberta Glińskiego – o akcji SB PRL przeciw Karolowi Wojtyle

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jących za pieniądze różnych Sorosowych organizacji) oraz o chłopach z Podlasia, którzy w czasie drugiej wojny światowej zgotowali żydowskim rolnikom okrutny los. Usłyszymy zwyczajową przedwyborczą agitkę, która nagłośniona przez lewicowe media, różnych funków z Onetu, odbije się szerokim echem na świecie i zostanie przyjęta do wiadomości przez „prawdziwych" Europejczyków jako prawda historyczna.

FESTIWALE IDEOLOGII

Na 80. MFF w Wenecji pojechał też drugi polski film Małgośki Szumowskiej pt. „Kobieta z…", wcześniej noszący tytuł „Lubię wracać". Ponad rok temu przeczytałem i bardzo krytycznie zrecenzowałem scenariusz „Lubię wracać" opowiadający o 48-letnim robotniku budowlanym (mającym żonę i dwoje dzieci), który postanowił zmienić płeć i zostać kobietą. Ma nawet romans z tirowcem, ale ten nie jest usatysfakcjonowany seksem z nim/nią Andrzejem/Anielą. Mimo zgodnej krytyki scenariusza z niewiadomych powodów PISF przyznał filmowi 4 mln zł. Dzieło Szumowskiej kosztowało w sumie astronomiczną sumę 20 mln zł, co jak na kameralny film dziejący się w małym miasteczku, z trzema scenami z udziałem statystów, jest rekordem Polski w nadymaniu filmowego budżetu.

Film widziałem, trwa 2 godziny i 12 minut. Pani Szumowska nie pofatygowała się na projekcję („Oni zawsze tak robią"). Oświadczyłem producentom, że ten nudny bzdet, fabularyzowany dokument, instruktaż punkt po punkcie, jak zmieniać płeć, nie ma szans bycia zauważonym w Wenecji. I tak się stało. Film podobał się tylko wysłannikowi „Gazety Wyborczej". Poprzedni film Szumowskiej pt. „Infinite Storm" z żoną Stinga w roli głównej nie znalazł nawet zachodniego dystrybutora, a w Polsce miał ledwie 11 011 widzów. Jestem pewien, że „Kobieta z…" mimo reklamy wszelkich Onetów i TVN-ów nie przekroczy 25 tys. widzów.

Osiemdziesiąty festiwal w Wenecji mamy za sobą. Równie ciekawy politycznie był Festiwal w Wenecji, który odbył się w 1942 (!) r. Jury i artyści wsparli obowiązującą wówczas ideologię w pełni i szczerze. Zupełnie tak jak aktualne jury wspierają w ostatnich latach wszelkie lewicowe wybryki. W zeszłym roku Wenecja wykreowała i nagrodziła antypolski paszkwil Damiana Kocura pt. „Chleb i sól", w którym pokazano polską dzicz, chamstwo totalne prześladujące biednych muzułmanów w Ełku. Film dostał też nagrody na festiwalach w Kairze, Izmirze, Bangalurze i wszędzie tam, gdzie muzułmanie mogli dowiedzieć się, jak to Europejczycy ich prześladują. Na pokazie „Chleba i soli" w warszawskim kinie Iluzjon przed galą Polskich Orłów 2022 r. objawiła się Agnieszka Holland z całą świtą, a przedstawicielka jej rodziny głośno pogratulowała panu Kocurowi, cytat: „Dziękujemy panu za ten haust wolności!". I tu należy szukać genezy powstania „Zielonej granicy".

Ani „Zielona granica", ani „Kobieta z…" nie biorą udziału w 48. FPFF w Gdyni – (18–23 września 2023 r.), ale „Zielona granica" i tak zdominuje cały krajowy festiwal organizowany za pieniądze podatnika.

Ku mojemu rozczarowaniu najbardziej fatalnego dyrektora artystycznego w historii FPFF w Gdańsku/Gdyni zastąpiła Joanna Łapińska, osoba bezkompromisowa, o jednoznacznie lewicowych poglądach. Postulowałem, by film Jonathana Glazera pt. „Strefa interesów" współfinansowany przez PISF otwierał festiwal galowym pokazem, gdzie można by było pogratulować reżyserowi, twórcom filmu, w tym pomysłodawcy panu Bartkowi Raińskiemu wymienionemu przez reżysera Glazera ze sceny w trakcie odbierania nagrody w Cannes. Niestety, moja koncepcja oraz inne upadły. Tak więc będziemy mieli przed wyborami 15 października polityczne wystąpienia na scenach w Gdyni, które będą mocno nieprzyjemne dla MKiDN.

Widziałam wszystkie filmy, które zakwalifikowały się do konkursu głównego 48. FPFF w Gdyni, oraz filmy niskobudżetowe za 1 mln zł! (niewiarygodne, że można zrealizować zarówno dobry film za śmieszny milion, jak i ponurego gniota za 20 mln zł) oraz filmy z Sekcji Polonica. W konkursie głównym mamy 16 filmów. Mogę polecić uwadze widzów kilka z nich: „Figurant" w reżyserii Roberta Glińskiego – o akcji SB PRL przeciw Karolowi Wojtyle. (Mam żal do reżysera, że skrócił i zmienił wymowne zakończenie). „Doppelgänger/Sobowtór", film Jana Holoubka – świetny dramat szpiegowski i polityczny. (Producentem jest TVN i dlatego zapewne reżyser uległ naciskom i stonował antyubecki wydźwięk filmu). „Kos" – dramat historyczny Pawła Maślony rozgrywający się w przededniu wybuchu powstania kościuszkowskiego, „Różyczka 2" Jana Kidawy-Błońskiego – kapitalnie zrealizowany współczesny dramat polityczny. „Fin del Mundo" Piotra Dumały – bardzo udany kameralny komediodramat. „Horror story" to współczesna tragikomedia korporacyjna Adriana Apanela. „Imago" Olgi Hajdas – poruszający dramat społeczny z lat 1983–1989 – najlepszy film reżyserki. „Lęk" Sławomira Fabickiego – pierwszy polski film fabularny o dramacie eutanazji. Każdy sam będzie sobie musiał odpowiedzieć na arcyważne pytanie o eutanazję w rodzinie. „Ukryta sieć" to również pierwszy polski film fabularny o pedofilii – obraz wstrząsający. W dodatku dotyczy elit polskiego establishmentu. „Święty" w reżyserii Sebastiana Buttnego – świetny kryminał o kradzieży sarkofagu św. Wojciecha z katedry w Gnieźnie. Film przemilczany przez ministra. Z Poloniców polecam film pt. „Wycieczka" izraelskiego reżysera Asefa Sabona. W sekcji filmów mikrobudżetowych: „Pokolenie Ikea" w reżyserii Dawida Grala.

Zarówno formuła FPFF w Gdyni, jak i Ustawa o kinematografii mająca 20 lat wymagają nowelizacji i zreformowania. System corocznego rozdziału 400 mln zł środowisku filmowców „z tego kraju" się nie sprawdził. Mamy problem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie kłam, kochanie

Piotr Gociek

Serial „Poker Face” Riana Johnsona to jeden z kryminalnych hitów roku 2023. Współczesna i sfeminizowana wariacja pomysłu znanego z klasycznej serii „Columbo”

Wszyscy kłamią niemal cały czas, kłamią tak naturalnie, jak wróbelki ćwierkają – tłumaczy Charlie Cale (wbrew imieniu – dziewczyna), którą natura obdarzyła niezwykłym talentem: umie rozpoznać kłamstwo. Żeby było jasne, to nie znaczy, że potrafi zarazem ocenić, co jest prawdą. Nie, nie jest jasnowidzem, po prostu dobrze czyta ludzi. I kiedy ktoś kłamie, Charlie odpowiada: „Bullshit!”. A dojście do prawdy to inna sprawa. Najtrudniejsza.

Ów niezwykły talent sprawia, że jest panna Cale (w tej roli Natasha Lyonne) bohaterem pokroju detektywa Columbo, granego przez wiele lat przez Petera Falka. Tyle że domyślamy się, iż Columbo szlifował swoje umiejętności przez długie lata, aż doszedł do mistrzostwa w zwracaniu uwagi na szczegóły i niekonsekwencje przez innych niedostrzegane. A Charlie Cale urodziła się z umiejętnością rozpoznawania kłamstwa i – szczerze mówiąc – niespecjalnie wiedziała, jaki z niej zrobić użytek. No bo który szef chciałby mieć u siebie kogoś, kto zawsze mówi mu prawdę?

Charlie wpadła więc na pomysł, by zarobić fortunę, grając w pokera. Ale ten nie do końca przemyślany koncept doprowadził ją do miejsca, w którym rozpoczyna się fabuła serialu „Poker Face”. Czyli do podrzędnej roboty: kelnerki od podawania drinków w kasynie Frost. Jego właściciel rozgryzł kiedyś sekret Charlie i rozpuścił po świecie pokerzystów wici, że nie gra czysto, co zakończyło jej krótką karierę w kartach. Sterling Frost senior (Ron Perlman) dał jej jednak etat u siebie, na co nasza bohaterka się zgodziła, bo gdzieś i za coś trzeba żyć. Ot, cała historia. Ale…

Gdy Frost senior przekazuje zarządzanie kasynem synowi (Sterling Frost junior – Adrien Brody), zaczyna się historia nowa. Ambitny, łatwo wpadający w kłopoty i uważany powszechnie za nieudacznika junior chce pokazać ojcu, że jest zdolny do wielkich rzeczy. Postanawia więc zastawić pokerową pułapkę na jednego z wielkich graczy – pech chce, że postać tyleż wpływową, ileż odrażającą. Charlie ma mu pomóc, ale odkrywa, że junior i jego cyngiel maczali też palce w zabójstwie jej przyjaciółki. A to wszystko to dopiero początek.

KRYMINALNE PUZZLE

Serial „Poker Face”, jesienny przebój serwisu SkyShowtime (oryginalnie wyprodukowany przez Peacock), to

eprasa.pl 60aa5cfbaf

dzieło Riana Johnsona, czyli speca od kryminałów, który może dziś wszystko. Taką pozycję dał mu światowy sukces „Na noże” („Knives Out”, 2019), czyli detektywistycznej układanki z Danielem Craigiem, oraz ciągu dalszego, czyli filmu „Glass Onion”, nakręconego już dla Netflixa. Nie od parady będzie wspomnieć, że Johnson już wcześniej chwalony był za thriller SF „Looper” oraz zarówno chwalony, jak i krytykowany za „Gwiezdne wojny: Ostatni Jedi”. Tak czy inaczej został na dobre gościem od wysokobudżetowych produkcji, gwarantującym sukces kasowy. I ze swej pozycji korzysta. Kolejne „Na noże” pojawią się w Netflixie, natomiast już teraz oglądać możemy „Poker Face”, 10-odcinkową układankę w stylu charakterystycznym dla Riana Johnsona – uwielbia on skomplikowane kryminalne puzzle oraz balansowanie na granicy pastiszu.

Opisany wcześniej splot wydarzeń to dopiero początek historii Charlie Cale, która będzie musiała przed Sterlingem seniorem uciekać. Nevada, Teksas, Colorado; wiochy, miasta, miasteczka; motele, podrzędne bary; stacje benzynowe; zdarzy jej się nawet wygrzebać z własnego grobu (dwukrotnie). Ma bowiem Charlie wielki talent do pakowania się w kłopoty, co wraz z jej pierwszym talentem – rozpoznawaniem, czy ktoś kłamie czy nie – czyni ją idealną bohaterką serii, w której kolejne odcinki zawierają osobne zagadki kryminalne, ale szerszą ramą opowieści jest ucieczka przed nieustępliwym kilerem (świetny, jak i reszta obsady, Benjamin Bratt).

Dwa słowa o samej bohaterce, bo to niezbędne dla dalszej dyskusji o „Poker Face” – Charlie jest trochę jak liść miotany wiatrem po świecie. Nie uważa samej siebie za specjalnie mądrą, w dodatku w stresie dotyka ją rodzaj afazji (zapomina właściwe słowa i rozpaczliwie próbuje je opisać okrężną drogą). Ubiera się jak white trash, z napojów najbardziej lubi piwo, nawet gdy ma do wyboru najlepsze trunki z barku milionera. Natasha Lynne czyni swoją postać wiarygodną, godną zarazem współczucia i podziwu. Mimo wszystkich przeciwności losu zawsze jakoś udaje się jej przetrwać. Charlie Cale jest miłą odmianą na tle wszystkich tych wymuskanych agentów specjalnych z przestylizowanych do bólu opowieści, którymi obficie raczy nas streaming w ostatnich latach. Mieliśmy niedawno na małych ekranach chyba tylko jedną bohaterkę do niej podobną – Peggy graną przez Patricię Arquette w serialu Apple TV+ „Pustynia wysokich lotów” („High Desert”). Peggy też nie miała nic i rozpaczliwie walczyła o przetrwanie, była jednak dużo bardziej irytująca, a sama opowieść – bardziej komediowa. Charlie jest i sympatyczna, i empatyczna, łatwo nawiązuje przyjaźnie i zrobi wszystko dla tych, którym zaufa.

Jej kłopoty z wpływową rodziną Sterlingów są, jak wspomniałem, ramą dla wielu epizodów. I jednocześnie osobną, spójną historią, która znajdzie rozstrzygnięcie w finale pierwszego sezonu (tak, już zamówiono sezon drugi). Kluczowe są dla niej odcinki pierwszy, piąty i ostatni. Co z pozostałymi, mówiącymi o zagadkach kryminalnych rozwiązywanych po drodze (właściwiej byłoby: podczas ucieczki)? Po pierwsze, jest to okazja do zaprezentowania parady ciekawych aktorów, bo Rianowi Johnsonowi się nie odmawia. Chloë Sevigny, Simon Helberg (Wolowitz z sitcomu „Teoria wielkiego wybuchu”), Ellen Barkin, Nick Nolte, Luis Guzmán, Joseph Gordon-Levitt – szczególnie ten ostatni wart jest uwagi w epizodzie dziewiątym. Same zagadki bywają różnej jakości, o dziwo – najsłabsze pojawiają się z początku, w odcinkach drugim i trzecim, żenujący jest zwłaszcza koncept sporu w rodzinie Teksańczyków zarabiających krocie na serwowaniu wołowiny. Oto jeden z jej członków, wytrawny kucharz i mistrz smażenia steków, doznaje nagle moralnego oświecenia i oświadcza, że nie chce maczać palców w zabijaniu zwierząt, oraz przechodzi na weganizm – za co zostaje zamordowany przez własnego brata. Idiotyczne, ale jakże zgodne z obecnymi modami. W tym samym odcinku zresztą Charlie unika, jak może, skarcenia niegrzecznego kundla słowami „zły pies”, wybierając „rasista, antysemita, homofob”. Rian Johnson wie doskonale, jak się podobać – dla wielkomiejskiej liberalnej widowni kpiny ze zwolenników budowy muru na granicy z Meksykiem i hasła „Make America Great Again”, dla szerokiej widowni – główna bohaterka, która jest zwykłą dziewczyną z nizin społecznych żyjącą w przyczepie. Trochę podlizywania się jednym i drugim, trochę kpienia z jednych i drugich, ale wszystko w odpowiednich granicach, bo w końcu trzeba to sprzedać.

RIAN JOHNSON
„POKER FACE”
USA 2023

DROGA DO PRAWDY

Bez wahania zdradzam szczegóły dochodzeń Charlie Cale, bo metodę narracji też Johnson pożyczył z serialu „Columbo”. Zagadki nie dotyczą tego, kto zabił – tego dowiadujemy się zawsze na początku odcinka. Fabuła zaś to opowieść o tym, jak – korzystając ze swego daru rozpoznawania kłamstw – oraz którą drogą nasza bohaterka dochodzi do prawdy. Z jednej strony takie opowiadanie to trudna sztuka, bo trzeba utrzymać napięcie tam, gdzie w sposób naturalny już go nie ma: przecież wszystko wiemy. Z drugiej strony ten zabieg przesuwa całość w kierunku czystej zabawy, umiejętnego żonglowania znanymi dobrze klockami, a z tego przecież znamy Riana Johnsona, pamiętając „Na noże” i „Glass Onion”. Czasem ta zabawa to mruganie wprost do widza, jak wtedy, gdy Charlie, rozwiązując zagadkę dzięki skojarzeniu zapachów, mówi „jakie to proustowskie”.

Serial „Poker Face” jest moim zdaniem dużo lepszy od „Glass Onion”, bo mniej przefajnowany i przede wszystkim ma w centrum bohaterkę, której bardzo łatwo kibicować. Po imponującym początku i słabszych epizodach nr 2 i 3 rzecz nabiera rozpędu i rozmachu, a finał, czyli epizody 9. i 10., to już robota wyśmienita i pełna prawdziwych zaskoczeń. Złośliwe pytanie do macherów od polskich telewizji i streamingów: Czy gdyby pojawił się u was scenarzysta z pomysłem na serial kryminalny o niesfornej kelnerce z hotelu Polonia albo niezwykle utalentowanej kasjerce z Żabki, przyjęlibyście go przychylnie? Pytanie retoryczne, przecież wszyscy wiemy, że u nas na ekranach zagadkę kryminalną rozwiązać mogą jedynie pani prokurator, pani policjant albo ewentualnie rzutka dziennikarka. Tymczasem wszystko można opowiedzieć, tylko trzeba wiedzieć jak. Bez wątpienia Rian Johnson doskonale wie, jak to się robi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★★☆☆
REŻ. D. GRAHAM „NARODZINY MISTRZA" („PRIZEFIGHTER: THE LIFE OF JEM BELCHER")
W. BRYTANIA 2022
wyst. Matt Hookings, Ray Winstone, Russell Crowe

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video CANAL+ ONLINE player

Złoto i pięść

Dawno, dawno temu, na przełomie XVIII i XIX stulecia, gdy Polacy pod zaborami zastanawiali się, czy ich kraj jeszcze kiedyś wróci na mapy, wyobraźnię mieszkańców brytyjskiego imperium rozpalała nowa moda: zawodowy boks. Rozrywka była krwawa i emocjonująca, a pięściarze zwykle pochodzili z nizin społecznych, za to ich kariery bywały oszałamiające. Jeden z nich, Jem Belcher, zwany przez współczesnych „Napoleonem ringu", jest bohaterem filmu „Narodziny mistrza".

Opowieść jest brutalna. Nie może być inaczej, skoro walczono na gołe pięści – dopiero nadchodził czas zaskakującej nowinki: bokserskich rękawic. Życie zaś czempionów raczej krótkie. James Belcher utracił wzrok w jednym oku, mając lat 22, a zmarł, gdy dobił trzydziestki. Jego wielki konkurent, Henry „Hen" Pearce (bohater filmu stawia mu czoła w finale filmu), żył ledwie dwa lata dłużej, ale z walk wycofał się dużo wcześniej, bo zżerała go gruźlica. Krótko mówiąc, reżyser Daniel Graham (dotąd niespecjalnie znany, pracuje aktualnie nad filmem o Richardzie Wagnerze) zaserwował nam opowieść raczej dla dużych chłopców.

Zdecydowanie godna uwagi jest obsada. Rolę główną powierzył sobie samemu scenarzysta, producent i spiritus movens projektu, tzn. Matt Hookings, walijski aktor i kaskader, założyciel Camelot Films. Ale ciekawsze są inne postacie dramatu: starzejący się Ray Winstone, jeden z etatowych twardzieli brytyjskiego kina, okazał się idealny jako trener i opiekun młodego Belchera; swój kawałek czasu ekranowego dostał też Russell Crowe jako dziadek Belchera, który nawet w podeszłym wieku potrafił zarobić trochę monet, trzaskając obcych po szczekach.

Reakcje krytyki były powściągliwe, ale ja jestem na tak, jest coś intrygującego w tej niewesołej w gruncie rzeczy historii. Być może lepiej sprawdziłaby się jako serial, bo prawdziwe życie Belchera było dużo bardziej skomplikowane oraz pełne gwałtowniejszych wzlotów i upadków. Demony trawiące „Napoleona ringu" znamy z wielu innych, podobnych opowieści, w tle jednak jest ciekawy kawałek dziejów Anglii, tak jak to było w serialu „Angielska gra" (2020), mówiącym z kolei o narodzinach zawodowego futbolu na Wyspach Brytyjskich. ©℗

NOWE SERIALE: „ONE PIECE"

Znak czasów: nowy przebój Netflixa to ekranizacja popularnej mangi Eiichira Ody. Przygodowa opowieść rozgrywająca się w świecie, którym włada Rząd Globalny. Przeciw tyranii występują piraci. Akcję napędza poszukiwanie skarbu ukrytego przez jednego z nich, Złotego Rogera straconego z rozkazu rządu. Bohaterowie dysponują niezwykłymi mocami (mocno absurdalnymi). Czysty eskapizm dla młodszych i niewymagających, ale błyskawicznie pobił popularnością takie hity jak „Stranger Things" czy „Wednesday". ©℗ ***Piotr Gociek***

• *sezon 1* ***„One Piece"*** *USA/Japonia 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Dewajtis"***, *Polska 2023* TVP1
• *sezon 3* ***„The Morning Show"***, *USA 2023* tv+
• *miniseria* ***„The Continental: From the World of John Wick"***, *USA 2023* prime video

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Przemoczone serca

HBO max

Prawdziwa Emily Brontë była egzaltowaną introwertyczką. Filmowa to rebeliantka, obdarzona neogotycką wyobraźnią (w przeciwieństwie do pragmatycznego ojca pastora). Jedynego szczerego sojusznika ma w bracie – „myślącym sercem" alkoholiku i narkomanie. Ucieczka przed nudną, prowincjonalną egzystencją panny bez posagu w świat wielkich namiętności była bardzo w duchu epoki. Frances O'Connor, dotąd znana jako aktorka, uznała, że wyjątkowość tytułowej bohaterki zalśni pełnym blaskiem, jeśli umieści się ją w dysfunkcyjnej rodzinie. Na plebanii w Haworth kwitną więc zawiść i hipokryzja. Pojawienie się w okolicy młodego wikarego poróżni siostry Brontë. Charlotte nazwie nawet „Wichrowe wzgórza" książką plugawą.

„Emily" nie jest filmem dokumentalnym, każdy ma prawo do własnej wizji. Gorzej, że to dzieło z gruntu anachroniczne, przypisujące ludziom żyjącym 200 lat temu całkiem współczesną wrażliwość i motywacje. Ryzykowne wydaje się założenie, że każda powieść jest mniej lub bardziej autobiograficzna. Najlepiej sprawił się muzyczny oprawca filmu Abel Korzeniowski. Emma Mackey mogłaby być dublerką Margot Robbie. O'Connor w reżyserskim debiucie zgrzeszyła zaś nadmierną uległością wobec O'Connor scenarzystki. Jeśli deszcz myli się z laniem wody, to jest to sygnał przepracowania.

Wiesław Chełminiak

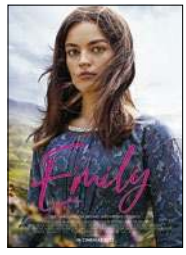

★★★☆☆☆
REŻ. FRANCES O'CONNOR
„EMILY"
WIELKA BRYTANIA/USA 2022

wyst. Emma Mackey, Alexandra Dowling, Fionn Whitehead

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

HAMLET Z PRL

NINATEKA

Janusz Zaorski miewał wzloty i upadki. Z okazji 76. urodzin reżysera wypada pisać o wzlotach, ale zamiast „Piłkarskiego pokera" polecam debiutancki komediodramat „Uciec jak najbliżej". Akcja rozgrywa się współcześnie, czyli za wczesnego Gierka. Trwają przygotowania do fety 22 lipca, co i rusz w kadrze pojawiają się flagi tudzież okolicznościowe transparenty typu „Niech żyje i zwycięża socjalizm!". Dla bohatera to chleb poprzedni: pracuje w zakładzie produkującym oprócz szyldów i znaków drogowych również utensylia propagandowe. Film reklamowano sloganem: „O młodych dla młodych". Kto miał oczy, widział jednak coś innego: szyderczy portret kraju, w którym najlepiej radzi sobie pospolity cwaniak. Nalberczak tak zdominował hamletyzującego Góralczyka, że gdy pan Jerzy znika z ekranu, luki nie może wypełnić nawet goła Halina Golanko. Pod wrażeniem sekwencji szpitalnej skreśliłem czwartą gwiazdkę. ©℗

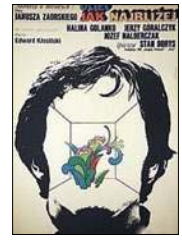

★★★☆☆☆
REŻ. JANUSZ ZAORSKI
„UCIEC JAK NAJBLIŻEJ"
POLSKA 1972

wyst. Jerzy Góralczyk, Jerzy Nalberczak, Halina Golanko

W IMIĘ OJCA

KINO

Na skraju upadłej górniczej osady natura pochłania pozostałości przemysłowej cywilizacji. Rozsądni ludzie dali drapaka, innym opadły ręce. Desperaci nadal szukają w biedaszybach drogocennych kamieni. Polskie Sudety? Nie, południowa Australia. W księżycowej scenerii gliniarz z wielkiego miasta dopełnia formalności, pytając o dziewczynę, która 20 lat wcześniej zaginęła bez wieści. Aborygeni nie ufają wytatuowanemu białasowi, jemu jest wszystko jedno, lecz niezbadane są wyroki Pana. Travis okaże się wykonawcą boskiego planu, który zamiast wyrównania rachunków krzywd pozwoli odzyskać tubylcom utraconą godność. „Limbo" to nie film. To zbrodnia z premedytacją popełniona na oczekiwaniach widzów. Nawet Simon Baker, gwiazdor serialu „Mentalista", z tej okazji obciął blond loczki, zdjął modne ciuchy, a szelmowski uśmiech zamienił na grymas ponuraka. Ryzykowne, lecz interesujące. ***Wiesław Chełminiak***

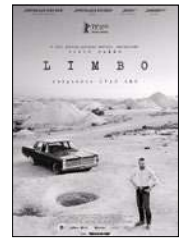

★★★★☆☆
REŻ. IVAN SEN
„LIMBO" („DARK MATTER")
AUSTRALIA 2023

wyst. Simon Baker, Rob Collins, Natasha Wanganeen

GRA TYGODNIA: „STARFIELD"

★★★★★☆

Napompowane do monstrualnych rozmiarów oczekiwania przed premierą dawały gwarancję mocno mieszanych głosów już po niej. Część graczy jest zachwycona, część podkreśla głównie wady „Starfielda". Najmłodsze dziecko Bethesdy nie jest od nich wolne, by wspomnieć tu choćby rozczarowującą eksplorację kosmosu na pokładzie statku czy wszechobecne ekrany ładowania. Ale nazywanie „Starfielda" „średniakiem" to także niesprawiedliwa ocena. To jeden z tych tytułów, których trzeba spróbować. Nie jest pomidorową, nie każdy pokocha, ale większości będzie smakował. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG, science fiction*
- ***Platforma:*** *XSX, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Bethesda Softworks, wydawca PL: Cenega*

eprasa.pl 60aa5cfbaf

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jutro zaczyna się dziś

Norwid pisał: „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej". Zapewne. Czym jednak jest jutro, jeśli nie tym samym? Ewentualne wątpliwości w tej materii rozwiewa „Ostatnia miłość", najnowsza książka Jana Polkowskiego, znakomitego poety, twórcy takich tomów jak „To nie jest poezja" (1980), „Cantus" (2009), „Gorzka godzina" (2015), a także interesującej powieści „Ślady krwi" (2013). Dziesięć lat po tej ostatniej autor wydaje kolejną powieść, a w istocie rozprawę o współczesnym, pogrążającym się w absurdach świecie, o Polsce w nim zagubionej i niepotrafiącej się odnaleźć, a nade wszystko o życiu bez wartości, bez sensu – bez Boga.

W Polsce ukazanej w „Ostatniej miłości" kościoły są już na głucho zamknięte lub sprzedane w świeckie ręce. Te, które jeszcze funkcjonują, świecą pustkami: „Nowe pokolenia babć, zamiast wielbić ojca Rydzyka, będą tatuować na całym ciele błyskawice, nosić berety w stylu Che Guevary, owijać szyje arafatkami i oklejać płaszcze tęczowymi plakietkami. Podczas gwałtownych demonstracji pod ostatnimi czynnymi kościołami będą zasłaniały twarze i wymachiwały transparentami z żądaniem, by Rzym oświadczył, że Matka Boska dokonała aborcji, a powstanie Kościoła Rzymskiego było oszustwem chciwych geszefciarzy".

Gdy bohater powieści spyta arcybiskupa o przyszłość kultu maryjnego i czy rzeczywiście zaniechane zostanie odmawianie Różańca i modlitw do Matki Boskiej Fatimskiej, usłyszy, że to margines Kościoła, który samoistnie niedługo zniknie. Wszelkie Kościoły narodowe to przeszłość, a już kult Matki Boskiej Królowej

FOT. DAMIAN KLAMKA/FAST NEWS

Polski to czyste „bałwochwalstwo i mieszanie materii zbawienia z folklorem i, co tu kryć, z narodowym polonocentryzmem".

Wołaniem na puszczy jest kazanie kapłana, który podczas mszy apeluje: „Zostańmy tym, kim jesteśmy, urodzonymi przez matki, ukształtowanymi przez kulturę, przez słowo i czyny Chrystusa. Zostańmy śmiertelnikami przechodzącymi z nadzieją przez ziemską śmierć. Zostańmy ludźmi!

Nie możemy pozwolić, by ktoś nam odebrał zbawienie i wepchnął w gardło fake news, że niczym się nie różnimy od chrząszcza, wróbla czy cielęcia".

W nowym, wspaniałym świecie, w zeuropeizowanej Polsce zgodę otrzymuje się już wyłącznie na pochówek ciał skremowanych, a i tak najlepiej widziane jest rozsypywanie prochów w ustronnym miejscu. Może „chodzi o to, żebyśmy nie mieli żadnych punktów odniesienia w naszym życiu, żadnych wskazówek, jak odróżnić zdradę od wierności […]".

Doczekamy się edukacji takiej, o której marzą dzisiejsi przeciwnicy ministra Czarnka. „Szkoły mają wreszcie nowoczesny program nauczania, godny wyzwań wielkiej epoki transhumanizmu – powiada dyrektorka wzorowej placówki oświatowej. – Zlikwidowaliśmy tematy tabu, nie ma lansowania tępego kreacjonizmu, puszczania oka do faszyzmu i religijnego kabaretu". Patronem innej szkoły, liceum niegdyś Adama Mickiewicza, zostaje niemiecki poeta Stefan George, a na ścianach pracowni obok jego portretu wiszą wizerunki Grassa, Szymborskiej i Tokarczuk, a nawet Puszkina. Po Mickiewiczu ni śladu.

Obowiązuje zakaz hodowli wszelkich zwierząt, poza psami i kotami, bo te mają zbyt wielu miłośników, by zrobić z nimi to, co z krowami, owcami, kozami, końmi. Wędkarze smętnie moczą kije w wodzie, zabronione jest bowiem używanie haczyków. W sklepach niespecjalną popularnością cieszą się wegańskie serki, głównie składające się z „mleka kokosowego, zmodyfikowanej skrobi i sztucznych dodatków smakowych". Stoisk wędliniarskich, oczywiście, nie ma. Do czasu świetnie się miały nielegalna hodowla, ubój i czarnorynkowa dystrybucja, ale i te niepokojące zjawiska zostały opanowane. Co z nabiałem? Fermy skasowano, a odnośnie do sprzedaży piekielnie drogich, limitowanych jaj ekologicznych, to władze zastanawiają się właśnie, czy nie przenieść ich sprzedaży do sklepów jubilerskich…

Od dawna mamy już euro, zalegalizowane miękkie narkotyki, w szpitalach personel z Indii, Libii i Sudanu, a pod siedzibami Ukraińskiego Związku Inwalidów Wojennych weterani puszczają wiązanki przekleństw. I w takiej rzeczywistości przebywający od niedawna na wcześniejszej emeryturze prokurator Piotr Chmielewski usiłuje zbadać zagadkę zaginięcia brata kobiety, w której – czego można się spodziewać, sądząc po tytule powieści – się zakocha. Jak ktoś się uprze, to odczyta „Ostatnią miłość" jako romans, do tego sensacyjny. Bo i cóż to szkodzi, skoro w rezultacie zaznajomi się z tą świetną książką, opowiadającą o tym, jak będzie wyglądało nasze życie. Już jutro. ©℗

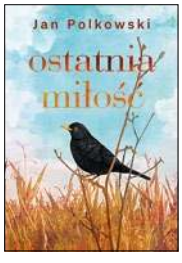

★★★★★★

JAN POLKOWSKI „OSTATNIA MIŁOŚĆ"
WYDAWNICTWO M, KRAKÓW 2023

eprasa.pl 60aa5cfbaf

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Kaci i dusze

A gdyby istnienie duszy było faktem naukowym – jak atomów czy mikrobów? I nie byłoby przedmiotem sporów między wierzącymi i niewierzącymi – bo jak tu negować fakty? Gdyby duszę można było w związku z tym całkiem naukowym sposobem po śmierci człowieka ocalić i jakoś przechować? Ukraiński pisarz Wołodymyr Areniew bawi się tą ideą w powieści „Dom dusz", jeszcze na polski nieprzełożonej. Ale swoje alternatywne uniwersum rozszerza na Polskę powieścią „Pan małodobry".

Akcja rozgrywa się w XVII w.: Tarnowskie Góry i okolice. Naszym przewodnikiem po świecie, w którym oprócz dusz realne są także koboldy, skarbki i inne stwory ze śląskich podań i legend, jest syn kata, przysposabiający się do odziedziczenia fachu po ojcu. Tata nie mówi wszystkiego, jego milkliwość i skłonność do sekretów ma swoje uzasadnienie, a mimo to relacja syn – ojciec jest piękną sprężyną tej opowieści. Druga zaś to sprawa kryminalna, bezpośrednio wiążąca się także ze sprawą losów pośmiertnych naszych dusz. Miejscowy bogacz zakłuty na oczach świadków, rzecz niby nie budzi wątpliwości... Ale dlaczego więzień czekający na egzekucję chce koniecznie zobaczyć się z córką swej ofiary? Czego pragnie z kolei panna Ewa Gottschlich i co z tym wszystkim wspólnego może mieć pewna wiedźma?

Czyta się to znakomicie, jak skrzyżowanie prozy historycznej Marka Krajewskiego z mitologizującą opowieścią Andrusa Kivirähka „Listopadowe porzeczki", którą kiedyś rekomendowałem jako wspaniały przykład płynnego łączenia tego, co realne, z nadnaturalnym. A jednocześnie Areniew pozostaje twórcą osobnym i oryginalnym, który z wielką starannością i precyzją oddaje realia historyczne, po mistrzowsku wplatając w nie opowieść, która służyć ma nie tylko rozrywce. Jest bowiem „Pan małodobry" książką niegłupią. Na koniec wielkie brawa dla Aleksandra Kusza, właściciela oficyny Almaz, który od lat swym wysiłkiem sprawia, że Tarnowskie Góry stają się fascynującym miejscem na literackiej mapie Polski. Dzięki jego staraniom ukazała się już seria antologii opowiadań o tym mieście, a teraz intrygująca powieść, do której stworzenia zaprosił cenionego autora z Ukrainy. ©℗

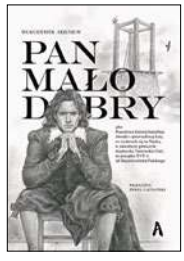

★★★★★☆
WOŁODYMYR ARENIEW „PAN MAŁODOBRY" WYDAWNICTWO ALMAZ 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsze pełne polskie wydanie fundamentalnej pracy polskiego prawnika, który ukuł w niej nowy termin z dziedziny prawa międzynarodowego: „ludobójstwo". Wstęp: Piotr Madajczyk.

RAFAŁ LEMKIN „RZĄDY PAŃSTW OSI W OKUPOWANEJ EUROPIE" INSTYTUT PILECKIEGO

Bohater numeru: brytyjski pisarz J.G. Ballard. A w środku m.in. wywiad, który przeprowadzili w 1975 r. David Pringle i James Goddard, oraz słynny zbiór opowiadań „Wystawa okropności" w tłumaczeniu Macieja Płazy.

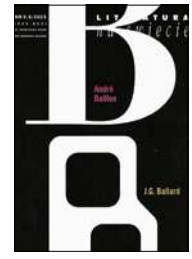

AUTORZY RÓŻNI „LITERATURA NA ŚWIECIE" NR 5–6/2023

Dwadzieścia pięć krótkich opowiadań autora „Tanga", temat wspólny: ontologia w wydaniu absurdalnym i błyskotliwym. Plus rysunki autora. Edycja z okazji 10. rocznicy śmierci pisarza.

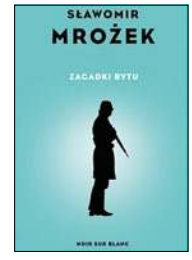

SŁAWOMIR MROŻEK „ZAGADKI BYTU" NOIR SUR BLANC

Dzieje rodziny z Wołynia, wywiezionej w 1940 r. na Syberię. Rodzice zostali w Sowietach, dzieci trafiły pod opiekę maharadży Digvijaysinhji. Opowieść córki Ziuty Nowickiej, jednej z bohaterek wydarzeń.

recenzuje Piotr Gociek

IMOGENE SALVA „WYPATRUJ NASZEJ GWIAZDY" MUZA

KOMIKS TYGODNIA: „JANKO PISTOLET"

Raz jeszcze fenomenalny duet Goscinny & Uderzo w serii komiksowej, mniej znanej polskiemu czytelnikowi. Jeden z wczesnych owoców współpracy (1952–1956) twórców Asterixa w komplecie. Tom zawiera pięć albumów serii o rezolutnym piracie w służbie króla Francji oraz arcyciekawe materiały dodatkowe, m.in. archiwalne zdjęcia i niepublikowane dotąd szkice. Wznowienie edycji z roku 2008.

Piotr Gociek

RENE GOSCINNY, ALBERT UDERZO „JANEK PISTOLET" EGMONT 2023

eprasa.pl 60aa5cfbaf

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Polska malowana

Najważniejsza wystawa obchodów stulecia Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu: „Rok polski (przyroda, kultura, praca, święta i obyczaje w malarstwie polskim 1850–1939)".

Na ekspozycji zgromadzono ok. 150 obrazów polskich mistrzów, takich jak m.in.: Józef Chełmoński, Jacek Malczewski, Vlastimil Hofman, Leon Wyczółkowski, Stanisław Kamocki, Stanisław Witkiewicz, Kazimierz Sichulski, Ferdynand Ruszczyc, Wincenty Wodzinowski, Aleksander Kotis, Stanisław Czajkowski, Aleksander Gierymski. Płótna z pejzażami polskich pól, jezior, rzek, gór; płótna, na których uchwycono polskie tradycje. „Ekspozycja jest swego rodzaju opisem charakterystycznych dla danej pory roku obyczajów, obrzędów, podań i wierzeń. Zamknięty cykl kalendarzowy »Roku polskiego« to doskonały symbol nieustannego powracania do źródeł, do rodzimych tradycji, które stanowią podłoże i osnowę wszystkich treści naszego narodowego życia" – piszą autorzy. ©℗

FOT. DOMENA PUBLICZNA

GDZIE? ***Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu***
KIEDY? ***do 31 grudnia***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BŁOGOSŁAWIENI

Prezentowane na tej wystawie przedmioty jeszcze do niedawna były artefaktami, po beatyfikacji rodziny Ulmów stały się relikwiami drugiego stopnia. Pokazano m.in. przedmioty wydobyte podczas ekshumacji grobu rodziny Ulmów przeprowadzonej przez IPN na cmentarzu w Markowej. Wśród nich m.in. guzik z bluzki Wiktorii, którą miała na sobie, gdy została rozstrzelana, ziemia, gwoździe, fragmenty trumny wydobyte w miejscu zbrodni, pocisk i łuska. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów w Markowej***
KIEDY? ***do 30 listopada***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

U progu sławy

W marcu 1967 r. mało znany zespół The Doors rezydował przez pięć dni w klubie Matrix w San Francisco. Właściciel klubu Matrix, Peter Abram, zarejestrował występy Doorsów na magnetofonie szpulowym i przez dziesięciolecia nagrania ukazywały się na bootlegach. To trzykompaktowe wydawnictwo zrealizowano na bazie oryginalnych taśm, dzięki czemu dźwięk jest znacznie lepszej jakości. Z dzisiejszej perspektywy najciekawsze wydają się niepublikowane nagrania, wśród których jest aż 12 coverów. Wśród nich są instrumentalne jamy na bazie kompozycji „All Blues" Milesa Davisa, „Bag's Groove" Miltona Jacksona czy „Summertime" braci Gershwinów. Jim Morrison śpiewa standardy bluesowe i soulowe oraz „Glorię" Vana Morrisona. Różne nagrania tych samych utworów pokazują, że zespół wciąż dopracowywał swoje brzmienie. Szczególnie interesująca jest druga, ucięta wersja słynnego „The End", która rozpoczyna się od recytacji przez wokalistę wiersza „Nakarmmy szczury lodami".

„Live at the Matrix 1967" to ekscytujący album dokumentujący Doorsów na chwilę przed zdobyciem światowej sławy. Morrisona jeszcze nie ogarnęło szaleństwo, a pozostali muzycy są skoncentrowani na grze. Słyszymy młody zespół, który jeszcze nie przeczuwa, że już za chwilę zmieni bieg historii kultury popularnej i obyczajowości. ©℗

★★★★★☆
THE DOORS
„LIVE AT THE MATRIX 1967: THE ORIGINAL MASTERS"
ELEKTRA/RHINO

★★★★★☆
SPARKLEHORSE
„BIRD MACHINE"
ANTI-

Mark Linkous popełnił samobójstwo 13 lat temu. Jego rodzina odkryła nieznane nagrania. Ten piąty album zespołu jest boleśnie osobisty. Piosenki oscylują między pastoralnym folkiem, psychodelicznym popem a hałaśliwym rockiem.

★★★★★☆
MACIEJ OBARA QUARTET
„FROZEN SILENCE"
ECM

Trzeci album polsko-norweskiego kwartetu Obary. Saksofonista napisał utwory podczas pandemicznej samotni spędzonej w rodzinnych Karkonoszach. Efektem jest „Zmarznięta cisza", płyta łącząca duchowe skupienie z rozmową z surową naturą.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Kadr ze spektaklu pt. „Peter Grimes"
FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

„Peter Grimes": Święty Paweł i zwierciadło natury

Grzegorz Kondrasiuk

Zastanawiające są losy oper Benjamina Brittena w repertuarach naszych teatrów. Brytyjczyk związany z kręgiem W.H. Audena, wyrafinowany esteta, wdarł się do światowego repertuaru zaraz po drugiej wojnie światowej, a dziś uważany jest (moim zdaniem słusznie!) za jednego z geniuszy XX-wiecznej opery. Tymczasem w Polsce przez dekady był prawie niezauważony, a za to dziś jest jednym z najczęściej wystawianych kompozytorów spoza żelaznego i bezpiecznego kanonu, gwarantującego frekwencję dużym scenom. Grają Brittena Szczecin, Gdańsk, Poznań i Warszawa. Polska Opera Królewska ma w repertuarze dwa tytuły, „The Rape of Lucretia" oraz „The Turn of the Screw", a Mariusz Treliński w Teatrze Wielkim Operze Narodowej na zakończenie ubiegłego sezonu zrealizował „Petera Grimesa". Spektakl nie pojawia się, niestety, w ogłoszonym właśnie repertuarze na cały sezon, ale na pocieszenie jego doskonała realizacja wideo jest dostępna za darmo na serwisie streamingowym TW ON.

Wracając do mody repertuarowej, najprostszym jej wyjaśnieniem jest „argument z życiorysu". Britten, jako homoseksualista, outsider, pacyfista, autor operowej wersji „Śmierci w Wenecji", świetnie nadaje się na patrona poprawnościowego i słusznościowego i tak bywa prezentowany. Ale nie dlatego, moim zdaniem, wraca na sceny i fascynuje czy też nie tylko dlatego. Odczytywanie jego dorobku wyłącznie przez pryzmat pewnego wątku z biografii jest dziecinnym uproszczeniem. Może to zabrzmi patetycznie, ale jest to też wielka literatura operowa, ciągle nieunieważniona. To piękno i niepowtarzalny styl muzyki, niezwykle złożonej, i stale obecny w librettach (nad którymi kompozytor sprawował pełną kontrolę) temat instynktu moralnego tkwiącego w każdym człowieku.

Rzecz rozgrywa się w wiosce rybackiej. Tytułowa postać, Grimes, to chorobliwie ambitny, zdziwaczały samotnik, odszczepieniec. Główną osią fabuły jest zagadka podwójnego morderstwa, o które jest oskarżany. Mariusz Treliński przeczytał ją, wydobywając z libretta znany ze struktury greckiej tragedii nierozstrzygalny konflikt. Wszyscy tu mają rację i zarazem nikt jej nie ma. Grimes dla sieroty, chłopca, którego przysposabia do rybackiego rzemiosła, jest surowy i bezwzględny, tak jak dla siebie. Wioska sprawiedliwie zatem potępia metody Grimesa, ale to w wyrzuceniu rybaka poza nawias społeczności można doszukać się źródła tragedii. Koncepcja inscenizacji Trelińskiego nie przesądza o winie Grimesa, myli tropy, dezorientuje przyzwyczajenia szybkiego i łatwego wydawania wyroku. Piotr Kamiński w swoim nieocenionym przewodniku operowym pisze o dwóch zwyczajowych kierunkach interpretacji tej zagadkowej fabuły; o tropie freudowskim (przyczyną zbrodni jest tłumione pożądanie) i społecznym, socjologicznym (przyczyną jest presja społeczna). Tłum, który chce zlinczować Grimesa na wieść o drugiej już śmierci na jego łodzi, reżyser perwersyjnie ubiera w szpiczaste nakrycia głowy kojarzące się jednoznacznie z Ku Klux Klanem i wtedy już wiemy, że dla Trelińskiego tytułowy bohater jest jednocześnie i sprawcą zła, i jego ofiarą. To zakłócenie idealnie przez Brittena wyważonych proporcji, dramatu sądowego bez wyjaśnienia „kto zabił", jest najsłabszym miejscem tego przedstawienia, tak jak pozornie najbardziej ryzykowna scena inspirowana „Kozłem ofiarnym" René Girarda, gdzie zbyt dosłowne zwizualizowanie tej teorii, z odwołaniami do liturgii, ciąży w kierunku antropologicznego kiczu. Ale to zaledwie mgnienie wśród ogromu gwałtownej, wściekłej muzyki Brittena w porażającym mocą wykonaniu, pomiędzy ogromnymi na całe okno sceny wizualizacjami smagających wybrzeże fal (Bartek Macias). Zaglądamy w zwierciadło natury, w tajemnicze lustro, w którym odbija się złożona natura ludzka, i nie widać tam łatwych pocieszeń ani prostych odpowiedzi. Ten wysublimowany kompozytor poeta, wczuwający się nawet i w zranioną duszę domniemanego mordercy, napisał muzykę porażającą radykalizmem, odsłaniającą kwestię tak trafnie ujętą przez Świętego Pawła: „Nie czynię dobra, którego chcę, ale czynię zło, którego nie chcę". ©℗

BENJAMIN BRITTEN, „PETER GRIMES"
TEATR WIELKI OPERA NARODOWA W WARSZAWIE W KOPRODUKCJI Z THE ISRAELI OPERA Z TEL AWIWU
REŻYSERIA: MARIUSZ TRELIŃSKI
DYRYGENT: MICHAŁ KLAUZA
SCENOGRAFIA: BORIS KUDLIČKA
PREMIERA: 23 CZERWCA 2023 R.
REJESTRACJA DOSTĘPNA W INTERNECIE DO 28 STYCZNIA 2024 R.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Z Jeffreyem Sachsem, profesorem na Uniwersytecie Columbia
rozmawia Wojciech Golonka

Potrzebujemy negocjacji, nie eskalacji

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

WOJCIECH GOLONKA: Panie profesorze, jest pan przede wszystkim znany w Polsce jako autor ekonomicznej transformacji przeprowadzonej w naszym kraju przez Leszka Balcerowicza po upadku komunizmu, co do oceny której polskie społeczeństwo wciąż jest podzielone. Pewne badanie opublikowane w „Lancecie" w 2009 r. głosiło nawet, że zachodzi związek między masową prywatyzacją z lat 1989–2002 w byłych krajach komunistycznych bloku wschodniego a wyższą śmiertelnością mężczyzn w tym okresie. W dodatku temat ten wciąż ma polityczne znaczenie: Prawo i Sprawiedliwość doszło do władzy w 2015 r. z programem skoncentrowanym na ekonomicznej spójności społecznej w ramach korekty skutków transformacji, a w obecnych wyborach ogłosiło właśnie ośmioletni program rewitalizacji infrastruktury mieszkalnej, z której ma skorzystać najuboższa część społeczeństwa. Zanim porozmawiamy o bieżącej kwestii ukraińskiej, chciałem zapytać: Czy nie żywi pan żalów względem polskiej transformacji?

JEFFREY SACHS: Polska nie zaznała kryzysu śmiertelności w konsekwencji reform, wręcz przeciwnie. Między 1974 a 1989 r. średnia długość życia w Polsce ugrzęzła w okolicy 70. roku życia. W konsekwencji reform średnia ta zaczęła wzrastać w latach 90., osiągając 73 lata w 1999 r. Dekadę później była na poziomie 75,7 roku (dane Banku Światowego). W dodatku Polska nie zaznała tego rodzaju masowej prywatyzacji, którą brał szczególnie pod uwagę wspomniany artykuł „Lanceta". Cały ten wątek nie dotyczy Polski.

Co więcej, jak powszechnie wiadomo i co zostało dogłębnie przestudiowane, w wyniku reform Polska osiągnęła historyczny przełom w szybkim wzroście ekonomicznym. W 1980 r. PKB Polski per capita (liczone w międzynarodowych dolarach) wynosiło 43,2 proc. niemieckiego PKB per capita. Po katastroficznej dekadzie PKB Polski per capita wynosiło jedynie 36,7 proc. niemieckiego. Transformacja uwolniła ekonomiczny wzrost w latach 90., tak że w 1999 r. PKB Polski per capita wzrosło do 39,1 proc. względem Niemiec. Wzrost trwał po roku 2000, tak że w 2009 r. PKB Polski per capita wynosiło 53,3 proc. niemieckiego. W 2022 r. PKB Polski per capita wynosiło 68,8 proc. względem Niemiec.

Reformy umożliwiły szybki wzrost Polski, podniesienie średniego wieku życia i zasadniczą konwergencję do standardów życia zachodniej Europy. Wiele szczegółowych środków, które popierałem i pomogłem wdrożyć, włącznie z funduszem stabilizacji waluty, anulowaniem części zadłużenia Polski i innymi, udowodniło swoją zasadność. Jest to dla mnie powód do dumy i zadowolenia; byłem również zaszczycony współpracą z Leszkiem Balcerowiczem, kiedy przeprowadzał ekonomiczne reformy.

Był pan na Kremlu w chwili, gdy ogłoszono rozpad ZSRS, oraz doradzał pan Michaiłowi Gorbaczowowi; był pan bezpośrednim świadkiem geopolitycznych tąpnięć w Europie po zimniej wojnie. Dlaczego sądzi pan, że polityka zagraniczna USA odegrała istotną rolę, jeśli chodzi o podłoże obecnej wojny na Ukrainie?

Rząd USA zinterpretował koniec zimnej wojny jako „zwycięstwo" i początek nowej jednobiegunowej epoki, w której USA będą mogły robić, co im się tylko podoba. Było to pokłosie skrajnej i niebezpiecznej arogancji. Doprowadziło to do katastroficznych wojen z wyboru, jak w Iraku, i wielu nieodpowiedzialnych operacji podmiany rządów, jak w Syrii i w Libii. Wojny te wraz z nieubłagalnym

eprasa.pl 60aa5cfbaf

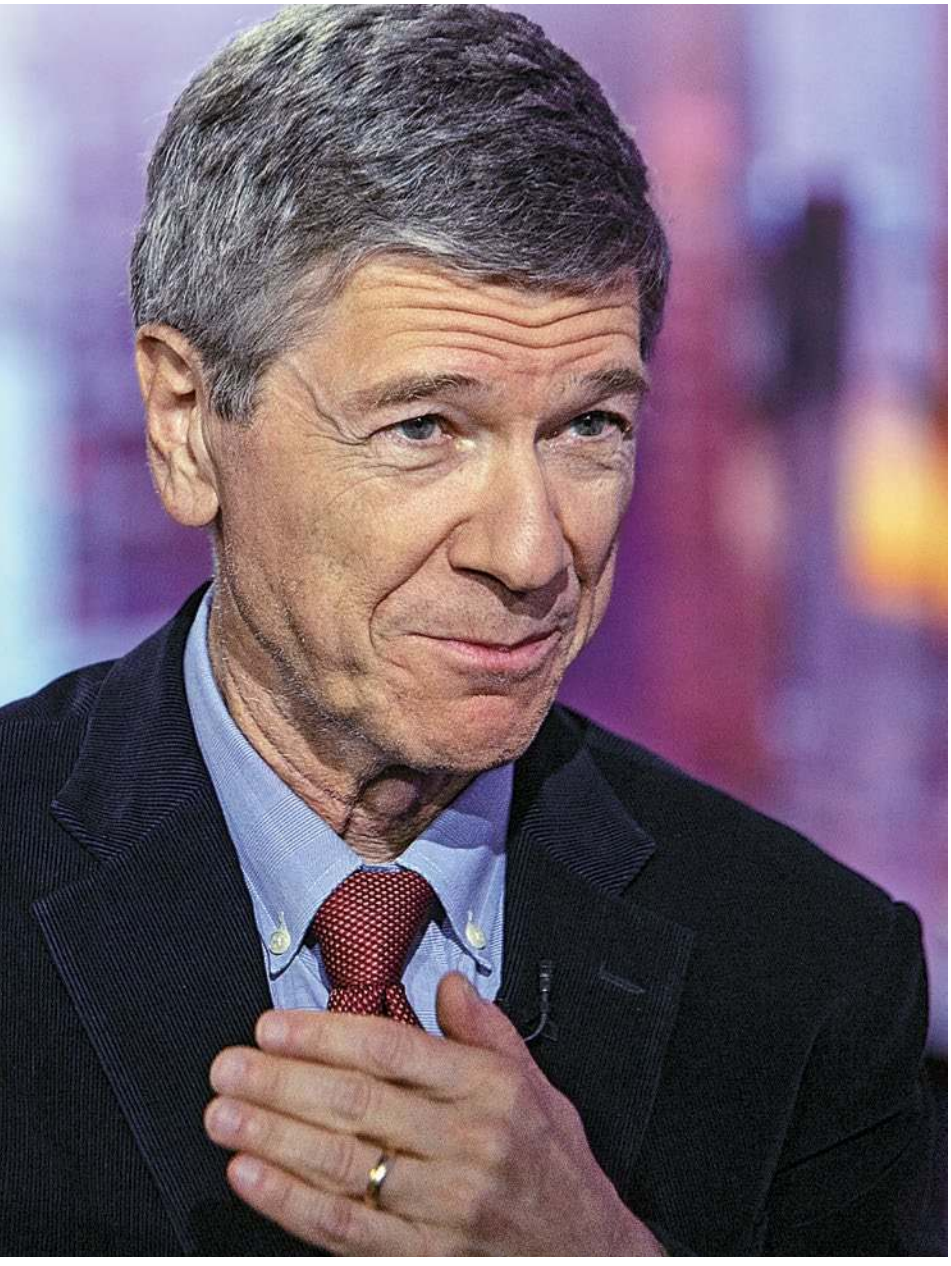

poszerzaniem NATO na wschód roznieciły na nowo wrogość względem Rosji. Jest to tragiczne, ponieważ powinna była to być i mogła to być era współpracy między USA, Rosją, Europą i Chinami.

W Polsce powszechna jest opinia, pod którą zresztą podpisaliby się amerykańscy neokonserwatyści, że naiwnością jest chęć powstrzymania rosyjskiego imperializmu za pomocą dyplomacji. Tymczasem przed wybuchem wojny interweniował pan w Białym Domu, naciskając na amerykańską administrację celem podjęcia negocjacji z Rosją. Jaka była wówczas droga do uniknięcia wojny, a przede wszystkim jak dziś powstrzymać dalszy rozlew krwi i zniszczenia na masową skalę na Ukrainie?

Zupełną naiwnością jest akurat pójście na wojnę z Rosją celem poszerzenia NATO o Ukrainę. Było i nadal pozostaje kompletną bezmyślnością ze strony USA oraz rządu Ukrainy pchanie NATO na Ukrainę i do Gruzji, pomimo trwałej i zaciekłej opozycji Rosji. Przywódcy Ukrainy bardzo dobrze wiedzieli w okresie po 2014 r., że forsowanie członkostwa Ukrainy w NATO doprowadzi do wojny. Wielu innych przywódców z krajów NATO-wskich wiedziało dokładnie to samo. Tymczasem rząd USA i inne państwa nadal naciskały na poszerzenie NATO, nawet wiedząc, że będzie to oznaczać wojnę. Myśleli arogancko, że połączenie uzbrojenia NATO z NATO-wskimi sankcjami doszczętnie pokona Rosję. Powtórzmy: założenie to było dyktowane arogancją i bezmyślnością, ponieważ prowadzi ono do zniszczenia Ukrainy, a nie do jej bezpieczeństwa czy klęski Rosji.

Obecna administracja USA najwyraźniej nie podziela pańskiego toku myślenia, stąd pojawia się pytanie, jaki stopień eskalacji wojny jest dla USA nieprzekraczalny. Tudzież, inaczej rzecz ujmując: W jakich warunkach ten konflikt zastępczy Rosja – NATO mógłby przerodzić się w otwartą wojnę, która, jak wielu na to wskazuje, oznaczałaby sięgnięcie również po opcję nuklearną?

Trudno jednoznacznie ocenić obecną administrację USA, a także głębokie państwo (deep state). W grę wchodzą najróżniejsi ludzie, niektórzy zupełnie niekompetentni, inni kompetentni, niektórzy roztropni, inni bezmyślni. To dlatego ta sytuacja jest tak niebezpieczna. Administracja Bidena wielce mnie martwi, jest ona kiepsko zarządzona, a przez to niebezpieczna. Potrzebujemy (my, czyli USA, Rosja, Ukraina, Polska i inni), aby rozpoczęły się negocjacje i doszły do skutku, a nie dalszej eskalacji. USA, rząd Wołodymyra Zełenskiego, Polska oraz inni muszą zaprzestać rzucania tysięcy, a nawet setek tysięcy Ukraińców na niepotrzebne cierpienie i śmierć. Mam nadzieję, że Polska nie zacznie wyłapywać Ukraińców i zmuszać ich do powrotu na Ukrainę, na ich śmierć. Podobna polityka byłaby przerażająca i tragiczna.

> **Było i nadal pozostaje kompletną bezmyślnością ze strony USA oraz rządu Ukrainy pchanie NATO na Ukrainę i do Gruzji**

Obecni europejscy przywódcy najwyraźniej również nie podzielają pańskiego toku myślenia.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Sankcje nałożone na Rosję przez Unię Europejską miały osłabić zdolności wojskowe Rosji, tymczasem zdaje się, że dzieje się na odwrót: podczas gdy rosyjska gospodarka opiera się sankcjom, gospodarki europejskie są dotknięte, a sam przemysł wojskowy w Rosji jest spektakularnie rozwijany. W czym europejscy politycy pomylili się w swej strategii?

Wielu europejskich przywódców zapewne wiedziało lepiej, ale podporządkowali się amerykańskiej batucie. Prywatnie często mi mówią, że zgadzają się z moją diagnozą, ale publicznie mówiąc coś zupełnie przeciwnego – znam to z autopsji. Albo się zbyt boją, albo są zbyt zależni względem USA. Chciałbym, aby Europa myślała sama za siebie. Być może nie zmieniłoby to sposobu myślenia rządu w Polsce, jednakże w interesie Polski jest wynegocjowany koniec wojny, a nie niekończąca się wojna, wraz z niebezpieczną eskalacją.

Jako jeden z najbardziej wpływowych ekonomistów na świecie jak pan odniesie się do słów szefa unijnej dyplomacji, Josepa Borrella, który parafrazując Johna McCaina, ostatnio stwierdził: „Rosja to ekonomiczny karzeł, jak stacja benzynowa, której właściciel posiada bombę atomową".

Stanowczo się nie zgadzam z panem Borrellem i on o tym wie. Nasze drogi w kwestii Ukrainy się rozeszły. Ostrzegłem go na początku 2022 r., że wojna zagrozi przetrwaniu Ukrainy i ciężko nadwyręży Europę. Nie zgodził się ze mną i myślę, że się bardzo pomylił. Europa potrzebuje dyplomatów, nie cheerleaderek kibicujących: „Więcej wojny!".

Czyli zgodziłby się pan z Viktorem Orbánem, że kontynuowanie wojny na Ukrainie najbardziej uderza w interesy Europy?

Viktor Orbán był najbardziej trzeźwym i poprawnym przywódcą w Europie w kwestii szkód wojny na Ukrainie i potrzeby wynegocjowania jej zakończenia. Premier Orbán wiedział od początku, że poszerzanie NATO o Ukrainę było bezmyślną polityką USA, a sama wojna potoczy się bardzo źle dla samej Ukrainy. Ostrzegał przed tym, ale nikt w Brukseli, Berlinie czy Warszawie nie chciał słuchać jego akuratnych opinii.

Coraz więcej Amerykanów sprzeciwia się dalszemu wsparciu wojskowemu i finansowemu Ukrainy, tymczasem w Kongresie zdaje się utrzymywać stabilna większość demokratyczno-republikańska, która wierzy, że uda się pokonać Rosję na Ukrainie na polu bitwy. Czy zjawisko „głębokiego państwa" (deep state) trafnie tłumaczy ten rozdźwięk między amerykańską polityką zagraniczną a amerykańską demokracją?

W USA jest bardzo, bardzo mało demokracji, gdy idzie o amerykańską politykę zagraniczną. Polityka ta jest wytyczana przez bardzo małą grupę ludzi w aparacie państwowym, którą tworzą prezydent, jego zespół do spraw bezpieczeństwa, szefowie Pentagonu, agencje wywiadowcze i kilka innych, nielicznych osób. Nikt nie pyta publiki o cokolwiek ani w zasadzie nie mówi jej w czymkolwiek prawdy. Media mainstreamowe po prostu powielają rządową narrację. Tak było podczas wszystkich współczesnych wojen angażujących Stany Zjednoczone – w Wietnamie, Kambodży, Laosie, Nikaragui, Iraku, Afganistanie, Serbii, Syrii, Libii i na Ukrainie, by wymienić jedynie kilka z nich. Były to katastrofy, zarządzane kłamstwem i podstępem, zamiast demokracją i należycie poinformowaną opinią publiczną.

W 2015 r. George Friedman przedstawił w ramach Chicagowskiej Rady ds. Globalnych główne cele, które USA będą chciały zrealizować w ramach nadchodzącej wojny na Ukrainie, a mianowicie destrukcję partnerstwa rosyjsko-niemieckiego, które postrzegał za największe zagrożenie dla amerykańskiej hegemonii w XXI w. Jeśli, jak się zdaje, partnerstwo to oficjalnie skończyło się na dobre, to w tym samym czasie obserwujemy spektakularną ekspansję ekonomicznego sojuszu BRICS, być może nawet przyśpieszoną przez samą wojnę; a jednym z oczywistych celów BRICS jest odejście od amerykańskiego dolara we wzajemnych rozliczeniach handlowych. Co podobna dedolaryzacja oznaczałaby dla USA, jej zamożności i hegemonii?

Stany Zjednoczone nie są obecnie hegemonem, ale amerykański aparat bezpieczeństwa oraz wielu polityków wciąż myślą, że USA nim są. Amerykańscy myśliciele są do tyłu o 25 lat, gdy idzie o obecną potęgę USA, a nawet 25 lat temu wyolbrzymiali tę potęgę. To dlatego USA zostały zaangażowane w tak wiele katastroficznych wojen. Owszem, amerykańska ekonomia jest wystarczająco duża, aby wchłonąć te katastrofy, jednakże w wyniku amerykańskich wojen z wyboru śmierć poniosły miliony ludzi, a amerykański dług publiczny wzrósł z 35 proc. PKB w 2009 r. do 98 proc. PKB obecnie. W znaczącej części jest to związane z trylionami dolarów zmarnowanych na bezużyteczne wojny i wydatki zbrojne.

Na koniec: został pan zdjęty z anteny podczas wywiadu na żywo dla telewizji Bloomberg za otwarte wyrażenie swej opinii na temat eksplozji gazociągu Nord Stream 2. Dlaczego zachodnie media są tak niechętne naświetlenia tej kwestii i dlaczego politycy nie są zainteresowani wskazaniem odpowiedzialności za ten akt, który – jeśli dobrze pamiętam – określił pan jako atak terrorystyczny na międzynarodową infrastrukturę energetyczną?

Ten gazociąg wysadzili albo rząd USA, albo rząd Ukrainy, albo oba razem. Nawet rząd USA głosi, że zrobiła to Ukraina. Zadziwiające. Oczywiście rząd USA pierwotnie głosił, że zrobiła to Rosja, podczas gdy Szwecja i Niemcy siedziały cicho, a każdy przywódca w Europie pragnął, aby temat się ulotnił. Tak obecnie działa świat. Rząd USA kłamie, wszyscy wiedzą, że kłamie, ale nikt w politycznym mainstreamie czy w świecie mediów nie oponuje. Jest to bardzo przykre, niebezpieczne i autodestrukcyjne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Viktor Orbán był najbardziej trzeźwym i poprawnym przywódcą w Europie w kwestii szkód wojny na Ukrainie i potrzeby wynegocjowania jej zakończenia. Premier Orbán wiedział od początku, że wojna potoczy się bardzo źle dla samej Ukrainy

__Jeffrey D. Sachs__ jest profesorem na Uniwersytecie Columbia. W 2018 r. opublikował książkę „Nowa polityka zagraniczna: wyjść z bańki amerykańskiej wyjątkowości" („A New Foreign Policy: Beyond American Exceptionalism", Columbia University Press). Profesor Sachs zauważa, że wciąż „czeka" na nową politykę zagraniczną USA.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 19

Czy rewolucja LGBT zostanie zatrzymana?

• Co się zmieniło na Zachodzie i w Polsce? • Czy bez wsparcia Kościoła zatrzymamy rewolucję LGBT? • Czy samorządy wywiesiły białą flagę?

FOT. ADOBE STOCK

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Czy bez wsparcia Kościoła można zatrzymać rewolucję LGBT w USA i Kanadzie?

Paweł Chmielewski

Stany Zjednoczone i Kanada są coraz silniej zdominowane przez ideologię LGBT. Choć oba kraje są rządzone przez nominalnie katolickich polityków, to ich władze realizują agendę niemającą z nauką Kościoła nic wspólnego. W Ameryce istnieje duży ruch oporu i – jak prognozuje dziennikarz katolicki John H. Westen – ma szanse na zwycięstwo

Powierzchownie patrząc, można byłoby założyć, że w Ameryce Północnej ideologia LGBT nie będzie mieć łatwo. Premierem Kanady jest wychowany w wierze katolickiej Justin Trudeau; w Stanach Zjednoczonych władzę sprawuje Joe Biden – jako drugi katolik w historii, znany z publicznego praktykowania wiary. A jednak w obu tych państwach decyzje podejmowane przez rządzące administracje są nader często skrajnie sprzeczne nie tylko z nauką Kościoła, lecz także z prawem naturalnym i zdrowym rozsądkiem. Ideologia LGBT ogarnia kolejne dziedziny życia – od szkolnictwa przez służby medyczne aż do wojska. O problemie dominacji ruchu homoseksualnego w życiu społecznym Ameryki rozmawiałem z Johnem H. Westenem, redaktorem naczelnym jednego z najbardziej opiniotwórczych prawicowych portali anglojęzycznych – Life Site News.

ZDRADA POLITYKÓW

Westen, którego medium zmaga się od lat z intensywną cenzurą w sieci, nie ma wątpliwości, że sytuacja, w której w Kanadzie i USA rządzą nominalni katolicy realizujący polityczne cele ruchu gejowskiego, jest z perspektywy tego ruchu wprost wymarzona. – Ideologiczna agenda LGBT to system antychrześcijański. Idealny triumf takiego antychrześcijańskiego systemu nie polega na tym, że agenda satanistyczna będzie realizowana przez satanistów. Celem jest właśnie to, by takie działania prowadzili ludzie nazywający się katolikami. Zdrajcy są o wiele cenniejszym towarem – mówi Westen.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. ADOBE STOCK

W Kanadzie i USA rządzą nominalni katolicy realizujący polityczne cele ruchu gejowskiego

Dzięki formalnemu zakotwiczeniu w strukturach kościelnych Trudeau, Biden i inni politycy mogą łatwo oddziaływać na chrześcijan; niestety przy milczeniu hierarchii. – Dzięki swojej zdradzie są w stanie sprowadzić na manowce innych, chyba że zostaliby potępieni przez duszpasterzy. Jednak w Ameryce udziela się świętokradczo Komunii Świętej zarówno Bidenowi, jak i Trudeau. Co więcej, gdy biskupi w Stanach Zjednoczonych debatowali nad kwestią udzielania Komunii proaborcyjnym politykom, Biden otrzymał sakrament w Rzymie i poinformował świat, że papież Franciszek zachęcił go do dalszego przyjmowania Komunii Świętej – wyjaśnia Westen.

ZACZĄTEK KONTRREWOLUCJI?

Ta sytuacja sprawia, że część społeczeństwa po prostu przestaje opierać się ideologii LGBT, uznając, że można ją pogodzić z porządkiem chrześcijańskim. To zdecydowanie zwiększa siłę jej oddziaływania i pozwala na umacnianie dominacji intelektualnej w opiniotwórczych kręgach. Jednak nawet dzisiaj w Ameryce Północnej są obecne środowiska polityczne, które odwołują się do nauki katolickiej bynajmniej nie po to, by wykorzystywać ją do cementowania liberalnego status quo lub perwersyjnego uzasadniania hasłem „chrześcijańskiej wolności" kolejnych niemoralnych decyzji.

Najlepiej znanym przykładem jest Ron DeSantis, gubernator Florydy ubiegający się o start w wyborach prezydenckich w USA. W ostatnich miesiącach wprowadził wiele zdecydowanych rozwiązań wymierzonych w ideologię liberalną. Niektórymi decyzjami rozsierdził nawet biskupów – np. wtedy, gdy poszerzył możliwość wydawania wyroków śmierci na kryminalistów (nawiasem mówiąc, DeSantis mógł odwołać się w tej sprawie do dwóch tysięcy lat Tradycji Kościoła, podczas gdy eklezjalni przeciwnicy jego decyzji wyłącznie do kilkudziesięciu ostatnich lat nieprecyzyjnych wypowiedzi kilku papieży). Według redaktora

eprasa.pl 60aa5cfbaf

naczelnego portalu Life Site News nie oznacza to jednak, że nadzieja na przezwyciężenie dominacji środowisk rewolucyjnych jest obecnie naprawdę duża.

– Tak, coś takiego dzieje się w ograniczonym stopniu w takich stanach jak Floryda – odpowiada Westen pytany o perspektywy realizowania autentycznie katolickiej polityki. – To, co jest niepokojące, to to, że kiedy prawodawcy w stanach przyjmują legislację pro-life czy pro-family, bardzo często blokuje to sądy. Jest prawdą, że obalenie Roe v. Wade przez decyzję w sprawie Dobbs ograniczyło możliwości blokowania praw pro-life przez sądy niższych instancji, nie ma jednak takiego zwrotu w kwestiach orzeczeń prohomoseksualnych, takich jak decyzja Sądu Najwyższego w sprawie Obergefell z 2015 r. dotyczącej „małżeństw" homoseksualnych.

W 2022 r. amerykański Sąd Najwyższy uznał, że orzeczenie w sprawie Roe v. Wade z 1973 r., legalizujące w całym kraju aborcję, jest błędne, i pozostawił kwestię prawodawstwa aborcyjnego w rękach poszczególnych stanów. Na Florydzie – tak jak w wielu innych miejscach w USA – wykorzystano tę wolność do wprowadzenia ochrony życia dzieci. W innych stanach lewicowi politycy poszli jednak w zupełnie drugą stronę – legalizując aborcję aż do ostatnich dni ciąży. Choć początkowo część komentatorów sądziła, że Sąd Najwyższy może wkrótce zająć się legalnością „małżeństw" homoseksualnych, to – tak jak podkreślił Westen – dyskusja w tej sprawie niemal się nie toczy.

OKALECZANIE DZIECI I MŁODZIEŻY

Ma to swoje dramatyczne skutki zwłaszcza dlatego, że walka o tzw. prawa gejów i lesbijek przekształciła się w ostatnim czasie w batalię o swobodę… trwałego okaleczania dzieci i młodzieży. W ramach ideologii transseksualizmu młodzi Amerykanie i Amerykanki – problem dotyczy zwłaszcza dziewcząt – przyjmują hormony blokujące ich rozwój płciowy albo poddają się operacjom przekształcającym ich ciała.

John H. Westen uważa, że nie mamy do czynienia z jakąś modą, którą można po prostu przeczekać. – To nie wydaje się być zwykłym przejściowym trendem. Zjawisko narasta we wręcz zdumiewającym stopniu. Brak rozsądku w tej kwestii jest niesamowity – ocenia redaktor naczelny Life Site News. – Hormony, które podaje się tym biednym dzieciakom, nawet niemowlętom, szkodzą im w trwały sposób, np. sprawiając, że już zawsze będą bezpłodne. To prawdziwy koszmar. Praktyka chirurgicznego okaleczania nie ma żadnego precedensu. To krok w stronę całkowitego odrzucenia Boga i dzieła stworzenia człowieka na Jego obraz i podobieństwo jako mężczyzny i kobiety.

Pojęcia trans- oraz queerseksualności udało się w ostatnim czasie znormalizować na tyle, że akronim LGBTQ+ zaczął być używany nawet w oficjalnych dokumentach kościelnych

Pomimo jawnej szkodliwości ideologii transseksualnej zarówno w USA, jak i w Kanadzie ma ona miliony zwolenników. Wydaje się, że może być to związane z wyczerpaniem się paliwa napędzającego dotychczasowe wysiłki ruchu LGBT: „prawa" gejów i lesbijek związane z małżeństwem czy adopcją dzieci zostały już zdobyte, stąd konieczność przekierowania aktywności na nowe cele, nawet jeżeli są jeszcze bardziej oderwane od rzeczywistości.

Proces jest skuteczny, bo pojęcia trans- oraz queerseksualności udało się w ostatnim czasie znormalizować na tyle, że akronim LGBTQ+ zaczął być używany nawet w oficjalnych dokumentach kościelnych. Zdaniem Westena mamy do czynienia z zamierzonym przedsięwzięciem pogłębiania szaleństwa, w którym żyją społeczeństwa w Ameryce. – Wydaje mi się, że rewolucjoniści celowo czynią swoją politykę coraz bardziej obłąkaną, nakłaniając społeczeństwo do działań oraz do wiary w rzeczy, które są ewidentnie fałszywe – mówi dziennikarz. – Mamy do czynienia z przemianą ideologii w prawdziwą wiarę religijną, która nie musi trzymać się żadnych faktów i która tak naprawdę intencjonalnie odrzuca namacalną rzeczywistość. To wyjaśnia część religijnego zapału, którym cechuje się ten ruch. Kiedy raz zrobiło się już coś swoim dzieciom, nie ma drogi odwrotu, bo trzeba byłoby przyznać, że dzieci zostały trwale skrzywdzone – i to w tak groteskowy sposób. Ci, którzy weszli na tę drogę, naprawdę żyją swoimi ideami – do tego stopnia, że są gotowi oddać za nie życie.

POWRÓT PEDOFILII?

Środowiska prawicowe od dawna ostrzegają, że ideolodzy LGBT, często zasłaniający się troską o dobrostan rzekomo prześladowanych dzieci czy nastolatków z zaburzeniami, tak naprawdę wyrządzają nieletnim wielką krzywdę. Nie chodzi tu wyłącznie o problem ich okaleczania. Jeszcze w latach 90. w Ameryce i Europie część progresywnych grup, również w świecie polityki, mówiła otwarcie o planach legalizacji pedofilii. Publikowano na ten temat książki i artykuły, duże firmy wykorzystywały pedofilskie wątki w kampaniach reklamowych.

W ciągu ostatnich 20 lat ta narracja została znacząco przytłumiona, dziś jednak zdaje się powoli powracać. Dwa wymowne obrazki: w tym roku w Kanadzie na oczach dzieci przechadzała się grupa nudystów, obnażonych w imię wolności seksualnej manifestowanej na paradzie tzw. gejowskiej dumy. Z kolei na paradzie w Nowym Jorku grupa mężczyzn przebranych za kobiety śpiewała zupełnie otwarcie: „Idziemy po wasze dzieci".

Według Johna Westena nie można mieć wątpliwości, że środowiska LGBT są żywotnie zainteresowane dziećmi i młodzieżą. – Przede wszystkim chcą pozyskać serca i umysły młodych. Za tym kryje się również perwersyjny fetysz seksualny polegający na obnażaniu się przed małymi dziećmi. Trzeba pamiętać, że pedofilia zawsze była ściśle związana z homoseksualizmem – zaznacza Westen. – Teraz pedofilię promuje się jako seks międzypokoleniowy. Do tego stopnia, że dokument dotyczący ewentualnej legalności aktywności seksualnej z dziećmi opublikowała Międzynarodowa Komisja Prawników, organ współpracujący z Organizacją Narodów Zjednoczonych.

Rzeczywiście – Międzynarodowa Komisja Prawników w czerwcu tego roku

eprasa.pl 60aa5cfbaf

opublikowała raport, w którym zasugerowano m.in. całkowitą depenalizację zabijania dzieci nienarodzonych, legalizację zażywania narkotyków przez nieletnich oraz właśnie dekryminalizację aktywności seksualnej nastolatków. Komisja, o której mowa, to poważne i wpływowe gremium działające od 1952 r., obecne na pięciu kontynentach. Jej raport pokazuje, że problem promocji pedofilii, który wydawał się już przezwyciężony, może wkrótce znowu powrócić.

WIERZĄ W LGBT JAK W EWANGELIĘ

Niestety, według Westena wielu amerykańskich rodziców akceptuje te patologie, nie dostrzegając ich prawdziwej natury. Zdaniem publicysty niemałą winę ponosi za to działalność części hierarchów Kościoła katolickiego – w tym samego papieża – którzy swoimi wypowiedziami tworzą wrażenie, jakoby akceptacja niemoralnej agendy LGBT była do pogodzenia z katolicyzmem.

– Jest bardzo wiele osób, które zgadzają się z tą perwersyjną ideologią. Uczy się jej w szkołach od ostatnich 30 lat i część ludzi wierzy w jej prawdziwość, tak jakby była to Ewangelia – mówi Westen – Panuje niemal powszechne przekonanie, że Kościół katolicki całkowicie zmienił swoje nauczanie na ten temat. Biorąc pod uwagę to, że sam papież Franciszek wypowiadał się na rzecz akceptacji cywilnych związków homoseksualnych oraz że promuje głównego amerykańskiego duchownego wspierającego LGBT, o. Jamesa Martina SJ, trudno znaleźć jeszcze jakieś punkty oporu. Głoszenie kazań przeciwko agendzie LGBT nie tylko grozi niebezpieczeństwem ze strony prohomoseksualnych rządów, lecz także rodzi ryzyko sankcji ze strony lokalnego katolickiego biskupa.

Dopytywany, jak to możliwe, że w obliczu jawnej niemoralności ideologii LGBT część rodziców celowo zaznajamia dzieci z takimi treściami, dziennikarz wskazuje na ich głębokie przekonania o słuszności tej agendy. – Niektórzy z nich po prostu wierzą, że działają dla dobra dzieci – mówi John H. Westen. – A jednak przyzwyczajanie dzieci do nowego świata, w którym nieprawość jest fetowana i szeroko akceptowana, gdzie perwersja uchodzi za cnotę i roztropność, jest po prostu występne… – ocenia. I dodaje: – Wykorzystywanie seksualne różnego rodzaju wytworzyło masowy chaos, sytuację, w której mściwość, depresja, lubieżność, zazdrość, chciwość, próżność, pożądliwość, niepokój, złość i frustracja łączą się w toksyczną mieszankę, która niszczy rozum i przekształca ludzi w dzikie zwierzęta, myślące, że są zdrowe i postępowe.

BUNT KONSUMENTÓW

W Ameryce nie brakuje jednak wciąż zdrowego rozsądku. Pokazała to w ostatnich miesiącach sprawa marki piwnej Bud Light. Piwo było reklamowane w sieci przez aktywistę transseksualnego, Dylana Mulvaneya. Pokazano nawet puszkę z wizerunkiem mężczyzny, który od lat zdobywa popularność w mediach społecznościowych, udając kobietę.

Kampania spotkała się jednak z bardzo ostrą krytyką. Efektem był szeroko zakrojony bojkot. Marka błyskawicznie i bardzo silnie straciła na wartości. – To było bardzo interesujące wydarzenie. W grę weszło wiele czynników – komentuje Westen. – Rynek piwa składa się w dużej mierze z pracujących mężczyzn i takie szyderstwo z męskości i kobiecości na puszce piwa było dla nich nie do przyjęcia. Napój został szybko skojarzony z byciem zniewieściałym albo z byciem homoseksualistą i wystawiał konsumenta na kpiny. Nawet w lewicowej Kanadzie mężczyźni wstydzili się kupować Bud Light, bo inni klienci patrzyli na nich z ironią. Dlatego wybierali inne piwa. Mam nadzieję i modlę się o to, aby był to początek kontrrewolucji, nawet jeżeli tylko w świecie biznesu. Niewątpliwie miało to właśnie taki skutek także w kilku innych branżach, które osłabiły swoje zaangażowanie w promocję LGBT – wyjaśnia.

Problemy biznesowe spowodowane podjęciem narracji ruchu homoseksualnego wcześniej miały już inne wielkie firmy. W czerwcu 2023 r. wytwórnia filmowa The Walt Disney zwolniła Latondrę Newton, która przez osiem lat pracowała tam jako dyrektor do spraw różnorodności i odpowiadała za politykę wprowadzania do produkcji firmy „inkluzywnych" bohaterów. Filmy, które były szczególnie mocno przesiąknięte narracją LGBT, okazywały się wielkimi klapami, jak „Buzz Astral" czy „Elemental". Rodzice nie chcieli zaprowadzać dzieci do kin na produkcje pokazujące gejów, lesbijki czy osoby „niebinarne".

NIEZBĘDNA ROLA KOŚCIOŁA

W ocenie Westena nie ma najmniejszej wątpliwości, że sam nacisk konsumencki nie wystarczy. Ideologii LGBT nie uda się zatrzymać bez wsparcia Kościoła katolickiego. – Rewolucja nie zostanie pokonana, jeżeli Kościół katolicki nie wejdzie do bitwy – twierdzi. – Tak jak w przypadku aborcji to walka duchowa. Nie walczymy przeciwko wrogom z krwi i ciała, ale przeciwko zwierzchnościom i władzom (por. Ef 6, 12). Wie pan, dlaczego wydaje się, że tylko Afryka broni się przed tą agendą? Bo stają tam przeciwko niej katoliccy biskupi. Nawet gdy Stany Zjednoczone, Kanada i cała Europa grożą Afryce sankcjami, ludzie na tym kontynencie i tak nie chcą zaakceptować homoseksualizmu – bo biskupi, a dzięki temu również rządy, wykazują stanowczą postawę. Kiedy papież Franciszek powiedział publicznie, że biskupi Afryki powinni nawrócić się w kwestii walki z prawami wymierzonymi w sodomię, ci nie zmienili swojej postawy. W czasie Wielkiego Postu, po wizycie papieża w Afryce, biskupi Kenii zainicjowali postną akcję przeciwko agendzie LGBT.

Westen podkreśla, że ideologia ta jest wprawdzie elementem pozornie naukowej agendy depopulacji, ale w ostateczności jest wymierzona w porządek chrześcijański – jej właściwym celem jest odrzucenie wiary w Boga i postawienie na Jego miejscu samego człowieka. Dlatego opór Kościoła jest absolutnie kluczowy.

Według katolickiego dziennikarza Johna H. Westena wielu amerykańskich rodziców akceptuje patologie, nie dostrzegając ich prawdziwej natury. Niemałą winę ponoszą za to hierarchowie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. ADOBE STOCK

Pierwszeństwo niemieckiej rewolucji

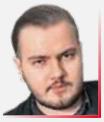

Jakub Zgierski

Chociaż komunizm instynktownie kojarzymy z Rosją i bolszewikami, to jednak musimy uświadomić sobie, że ta ideologia narodziła się, rozwijała i obecnie święci triumfy... w Niemczech. Zamiana czerwonych flag na tęczowe (niekiedy obie idą w parze) nie odebrała naszym sąsiadom zza Odry palmy pierwszeństwa

Na przełomie XIX i XX w. to Niemcy stanowiły prawdziwą ojczyznę proletariatu. Tamtejsza klasa robotnicza była najliczniejsza i najlepiej zorganizowana, a co najważniejsze – skora do poparcia rewolucji komunistycznej. Gdyby nie plan niemieckich elit wojskowych oraz hojne wsparcie bankierów zza oceanu, w 1917 r. Włodzimierz Lenin wraz ze swoją grupką towarzyszy niewiele by zdziałali. W zasadzie wydarzenia w Rosji nie były żadną „Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową", jak chcieliby to przedstawić kreatorzy mitów politycznych, ale odgórnym procesem zdobycia władzy przez zdeterminowaną kadrę zawodowców.

Historia niemieckiego ruchu komunistycznego jest odmienna, ponieważ ten cieszył się autentycznym poparciem części robotników. Późniejsza importowana „pomoc" z Moskwy jedynie podbijała wyniki wyborów. Jest to rzecz jasna temat na osobne opracowanie, niemniej jednak zaznaczam ten fakt całkowicie świadomie – chciałbym bowiem uzmysłowić czytelnikom jedną bardzo ważną rzecz. Otóż rewolucja marksistowska, a teraz już neomarksistowska, wyszła z Niemiec i to właśnie tu ma swoje epicentrum. Nie musiała być specjalnie podsycana z zewnątrz, a wręcz przeciwnie – to ona rozpalała serca wywrotowców w sąsiednich krajach Zachodu. Tak jest również obecnie, mimo że często w miejscu czerwieni hunwejbini postępu z dumą prezentują sześciokolorową tęczę.

Jedna z najnowszych mądrości etapu, forsowana pod znanym już wszędzie akronimem LGBT, rozlewa się szerokim strumieniem, jednak wcale nie jako wyłączny produkt eksportu ideologicznego ze Stanów Zjednoczonych – te pomysły najpierw pojawiły się w Europie. To właśnie w Niemczech, a dokładnie w Republice Weimarskiej w dwudziestoleciu międzywojennym, wyrastają korzenie prawdziwego ruchu na rzecz wyzwolenia mniejszości seksualnych.

W 1897 r. niemiecki lekarz i seksuolog żydowskiego pochodzenia Magnus Hirschfeld założył pierwszą na świecie organizację LGBT Scientific-Humanitarian Committee, czyli Komitet Naukowo-Humanitarny, którego celem było przyznanie pełni praw homoseksualistom i przedstawicielom innych wykluczonych grup. Co roku ukazywało się nawet oficjalne pismo „Yearbook for Intermediate Sexual Types", w którym wyjaśniano, że homoseksualizm, lesbijstwo czy transseksualizm to różne warianty ludzkich aktywności seksualnych.

Hirschfeld nie ukrywał swoich komunistycznych poglądów, odwiedzając w 1926 r. Moskwę na zaproszenie władz

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Związku Sowieckiego, które jeszcze w tamtym okresie wspierały wszelkie nowinki obyczajowe. Badacz przeprowadzał również pierwsze operacje „zmiany płci". Ponadto – podobnie jak narodowi socjaliści, którzy zwalczali ruch emancypacyjny pod jego przywództwem – był zwolennikiem eugeniki i tzw. selekcji płciowej.

CZYM JEST RUCH LGBT?

W ostatnich latach w konserwatywnych środowiskach opiniotwórczych wielokrotnie nazywano LGBT ideologią. Abstrahując od tego, czy chodziło o środowisko i wysuwane postulaty czy ludzi samych w sobie (oczywiście o to pierwsze), powinniśmy najpierw zastanowić się w ogóle nad terminem „ideologia".

Według internetowej Encyklopedii PWN jest to „pojęcie występujące w filozofii i naukach społecznych oraz politycznych, które określa zbiory poglądów służących do całościowego interpretowania i przekształcania świata". Natomiast zgodnie z „Wielkim słownikiem języka polskiego" mówimy tu o „zespole poglądów i przekonań dotyczących świata, życia społecznego i postaw etycznych charakteryzującym określoną grupę ludzi".

Z tych dwóch definicji wyłania się zbiór poglądów dotyczących świata, które służą jego zmianie. Środowisko LGBT posiada w miarę wypracowane spojrzenie na życie społeczne oraz program przemian politycznych, jednak problem w tym, że ideologia wymaga pewnej spójnej wizji całej rzeczywistości, a nie tylko jej wycinka ograniczającego się np. do kwestii seksualnych. Czy zatem powinniśmy może sięgnąć po pojęcie węższe jak doktryna? Nie ma takiej potrzeby. Rozwiązanie jest prostsze, w końcu z jakiegoś powodu postulaty LGBT są przyjmowane przez całą nowoczesną lewicę na Zachodzie – i w Europie, i w Stanach Zjednoczonych, i w Kanadzie, i w dalekiej Australii.

Idzie to również w drugą stronę. Okazuje się, że aktywiści na rzecz praw mniejszości seksualnych nad wyraz często podzielają inne poglądy uznawane powszechnie za „postępowe": feminizm, ekologizm, antykolonializm czy po prostu socjalizm. Dlaczego tak się dzieje?

Tu dochodzimy do istoty sprawy. LGBT stanowi tylko część większej całości – ideologii, która dostarcza odpowiedzi na pytania dotyczące wszelkich sfer ludzkiego życia, a więc ma charakter totalny. Masowy ruch LGBT – taki, jakim znamy go teraz – narodził się w latach 60. XX w. w łonie Nowej Lewicy, a konkretnie w ramach tzw. nowych ruchów społecznych, które koncentrowały się na określonych problemach, np. rasizmie, zimnowojennym wyścigu zbrojeń czy właśnie prawdziwej lub domniemanej dyskryminacji osób kochających inaczej. Chociaż zaczęło się od homoseksualistów i lesbijek (słynne odwiedzanie w szpitalach), to chyba nikt nie ma już wątpliwości co do tego, że obecnie w awangardzie postępu kroczą przede wszystkim osoby spod literki T, w tym coraz częściej dzieci... W obowiązującej narracji większości obywateli przyznaje się status uprzywilejowanych, a mniejszości traktuje jako grupy poszkodowane, czyli notabene proletariat zastępczy. Widać tu powielenie klasycznego konfliktu kapitalistów i robotników w oparciu o inny czynnik niż wyzysk ekonomiczny. Marksistowska walka klas dostała nie drugie, a – po walce płci i walce ras – czwarte życie.

CZY NIEMCY POPIERAJĄ LGBT?

Zajrzyjmy do raportu „LGBT+ PRIDE 2023. A 30-Country Ipsos Global Advisor Survey", przygotowanego przez międzynarodową agencję badawczą Ipsos, który objął swoim zasięgiem 22 514 osób w wieku 16–74 lata z 30 krajów. To starannie przygotowane badanie, a do tego bardzo aktualne, które pozwala obiektywnie ocenić realia panujące w niemieckim społeczeństwie. Skoncentrujmy uwagę na głównych postulatach tytułowego środowiska LGBT+, aby zobaczyć, jak zachodni sąsiedzi odnoszą się do serwowanej im rewolucji kulturowej.

Zdaniem aż 62 proc. ankietowanych pary jednopłciowe powinny mieć prawną możliwość zawierania małżeństw, natomiast w opinii 12 proc. należałoby poprzestać jedynie na związkach partnerskich. Nie jest to co prawda najwyższy wynik spośród wszystkich krajów, jednak przytoczone statystyki wbrew pozorom nie kłócą się z wizją Niemiec jako prekursora rewolucji seksualnej, także w kontekście ekspansji środowisk LGBT. W mojej opinii wynika to z tego, że tamtejsi obywatele mieli okazję dłużej obserwować wątpliwe rezultaty „postępu", co zaowocowało niewielkim – ale jednak – odpływem entuzjastów. Widać to doskonale, jeśli spojrzymy na zmieniające się poparcie dla małżeństw jednopłciowych na przestrzeni ostatnich lat. W 2013 r. było to 67 proc., w 2014 r. bez zmian, w 2021 r. wzrost o 1 punkt procentowy do 68 proc., a w 2023 r. niespodziewany spadek do 62 proc.

Podobnie rzecz się ma, jeśli chodzi o stosunek do postulatu, aby pary jednopłciowe miały prawo do adopcji dzieci. 67 proc. badanych jest „za", chociaż jeszcze w 2013 r. było to aż 71 proc., w 2014 r. – 68 proc., a w 2021 r. – 69 proc. Zmiany w obrębie kilku punktów procentowych nie oszałamiają, więc trudno tu oczywiście mówić o kontrrewolucji z prawdziwego zdarzenia.

Dla porównania: w Polsce na ten moment „tylko" 32 proc. ankietowanych jest za małżeństwami tej samej płci, a 35 proc. rozważa inne formy prawne. Różnica wydaje się kolosalna, chociaż należy z przykrością dostrzec, że jeszcze w 2013 r. jedynie 21 proc. naszych rodaków popierało homomałżeństwa. Od tego czasu można zauważyć niepokojący trend wzrostowy (pomijając 2014 r., gdy zanotowano 20 proc.), 2021 r. przyniósł bowiem wynik aż 29 proc. Teraz natomiast, jak zostało to wspomniane, już praktycznie co trzeci dorosły Polak nie widzi problemu w rozszerzaniu definicji małżeństwa.

W przypadku drugiego z postulatów, czyli prawa do adopcji, 33 proc. Polaków zgadza się na takie rozwiązanie. Tu podobnie jak wcześniej – od 2013 r. (27 proc.) odnotowujemy wzrost: tyle samo w 2014 r., a w 2021 r. już 33 proc. (bez zmian do dziś). Światełko nadziei może stanowić to, że w omawianym badaniu poparcie dla adopcji w zachodnich krajach gwałtownie spada. Względem 2021 r.: 79 proc. do 75 proc. w Szwecji, 81 proc. do 74 proc. w ultrapostępowej Kanadzie czy aż 83 proc. do 75 proc. w Holandii.

Niestety, niemieckie społeczeństwo zostało już mocno przerobione w duchu tolerancjonizmu, więc w mojej ocenie, pomimo chwilowych wahań nastrojów wśród opinii publicznej (być może ma to związek z napływem muzułmańskich imigrantów?), tamtejsza rewolucja trwa w najlepsze i promieniuje wokół, co nie pozostaje bez konsekwencji również dla naszego kraju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Z tolerancji w

ks. Piotr Roszak

Jak to się stało, że Hiszpania przoduje dziś w tęczowej rewolucji, pomimo swej dotychczasowej katolickiej historii?

Z wielu powodów zjawiska dotyczące Hiszpanii zasługują na uwagę z perspektywy polskiej. Z jednej strony to przez Hiszpanię dokonywały się projekcja i transmisja wielu idei kulturowych i religijnych na świat latynoamerykański, podobnie jak przed wiekami tą drogą rozszerzał się katolicyzm na świecie. Z drugiej strony, katolickie podłoże kulturowe Hiszpanii zostało dość szybko „rozprute" kilkoma poczynaniami, które zaskoczyły nawet samych chrześcijan tam mieszkających, a przeżywających wskutek działań środowisk LGBT pewne rozmycie poznawcze, mające osłabiać ich próg reakcji. Podobnie jak z istotą, która poddawana co rusz silnym bodźcom w końcu przestaje reagować jak za pierwszym razem, bo jest już nimi zmęczona. Jak do tego doszło?

Po 30 latach, które upływają od powstania czasopisma „Shangay", za

eprasa.pl 60aa5cfbaf

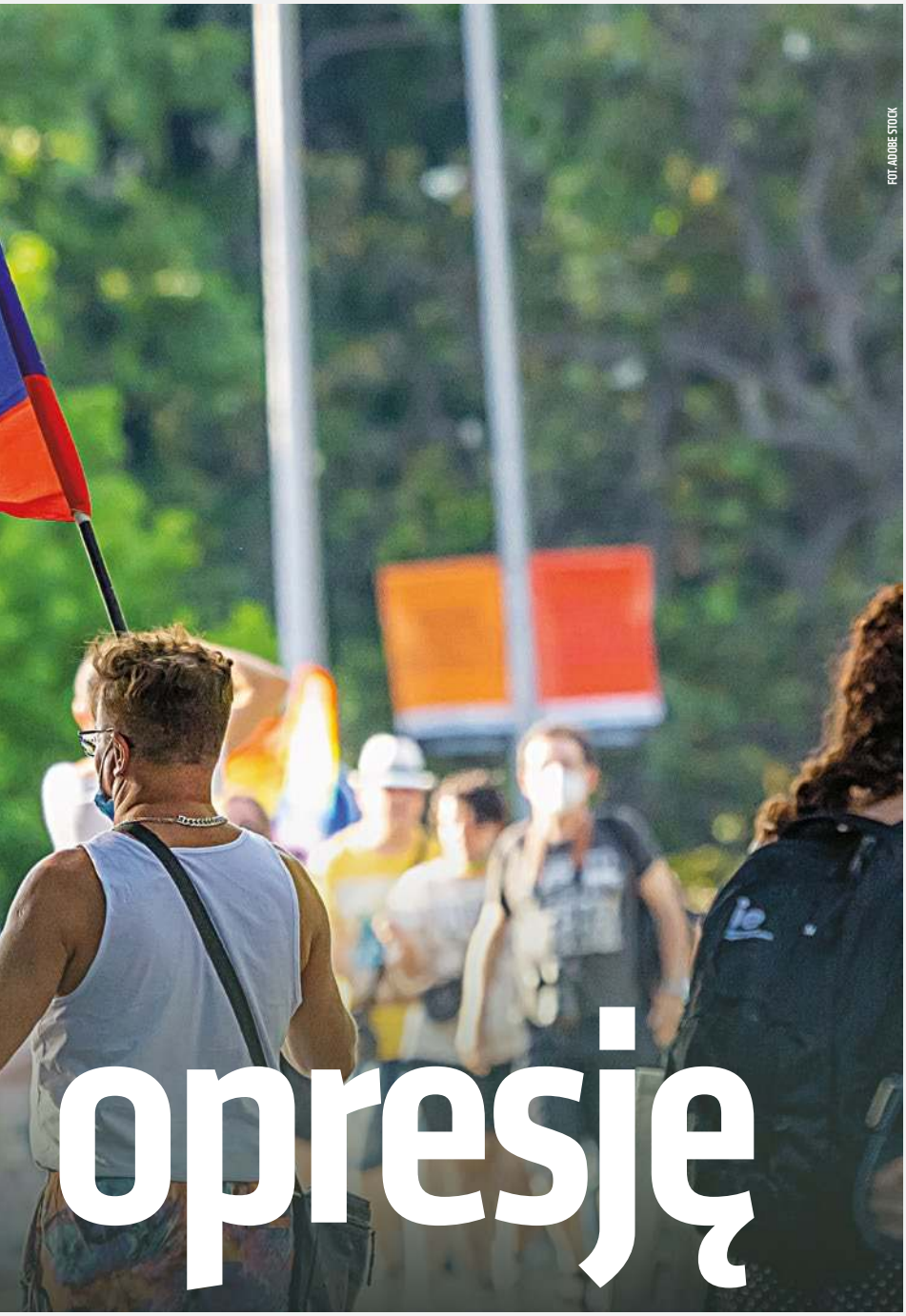

FOT. ADOBE STOCK

którym stoi główny organizator parady „dumy LGBT" (Orgullo Gay) w Madrycie, warto zauważyć przede wszystkim dużą skalę zjawiska, które przypomina tsunami. Idąc tropem tej oceanicznej analogii – nie wszystkie domy były gotowe i zawczasu przygotowały się do tego zjawiska np. przez umocnienie struktury i fundamentów budynków, zabrakło bowiem świadomości, że to nie są zwykłe fale. Zła diagnoza lub pomylenie ze sobą jakiegoś fenomenu mają zwykle swoje konsekwencje: wszystko dzieje się bardzo szybko i nie jest się wówczas w stanie przyjąć właściwej reakcji. A to było ideologiczne tsunami.

Dziś widać w Hiszpanii, że za promocją ideologii LGBT stoją potężne siły polityczne i ekonomiczne, tworzące wręcz wokół tego zjawiska przemysł, mające swoich „ojców chrzestnych" w wielu organizacjach międzynarodowych, które nadal wywierają skuteczną presję społeczną. Rodzą się z tego wielkie fortuny, bo ideologia przenosi się na zachowania i produkty społeczne, by wskazać jedynie procedury związane ze sztucznym zapłodnieniem czy antykoncepcję, wprost powiązane z tym sektorem i stylem życia.

Warto podkreślić, że rewolucja i rewolucjoniści LGBT – inaczej, niż miało to miejsce w przeszłości – związani są z wielkimi funduszami. Bogactwo i pieniądze są po ich stronie. Jest to swoisty znak czasu, że rewolucji kulturowej dokonują bogaci i związani z finansjerą, a nie – jak było w dawniejszych rewolucjach – biedacy. Dotyczy to nie tylko Hiszpanii, lecz także wszystkich krajów, w których mocna jest ta ideologia. W tej rewolucji nie chodzi o chleb i dostęp do środków produkcji. To wszystko w nadmiarze jest przez rewolucjonistów posiadane. Może również dlatego jest ona tak niebezpieczna dla kultury.

POZYSKIWANIE ADEPTÓW

Przyciąganie do ideologii LGBT nadal dokonuje się pod flagą feminizmu, który zastępuje w przekazie medialnym walkę klas walką płci, angażując ogromne środki na kampanie medialne. Wszystko po to, aby nastąpiła akceptacja społeczna, czego przykładem jest radykalny feminizm, który okazał się w przypadku Hiszpanii skutecznym narzędziem do głoszenia postulatu wyzwolenia kobiet, przy jednoczesnym atakowaniu chrześcijan i etykietowaniu ich jako wrogów równości.

Nieprzypadkowo, wedle raportów hiszpańskiej organizacji Observatorio para la Libertad Religiosa y de Conciencia (OLRC), nasilenie ataków na świątynie odbywa się każdego roku w okolicach 8 marca, a wulgarne napisy na świątyniach wypisywane przez atakujących dotyczą braku akceptacji Kościoła dla LGBT i kultury, którą ona promuje. Pod hasłem „wyzwolenia kobiet" dokonuje się burzenia tradycji i przebudowy podstawowych struktur obecnej kultury.

Zaskakujące są pod tym względem reakcje władz, których przedstawiciele w obecnym rządzie Pedra Sáncheza należą do silnego lobby gay – dowodem jest choćby ostatnio opublikowany ranking 100 osób najbardziej znaczących dla ruchu LGBT (Elespano.com), w którym są dwaj ministrowie: spraw

eprasa.pl 60aa5cfbaf

wewnętrznych oraz sportu i kultury, a także politycy różnych partii, w tym prawicowej Partido Popular, poza nimi aktorzy, biznesmeni, byli ministrowie. Nic dziwnego, że w tych dwóch obszarach – bezpieczeństwa i kultury – uwidacznia się preferencyjne traktowanie środowiska LGBT, połączone z celowym niedostrzeganiem i ignorowaniem wzrastającej wrogości wobec chrześcijan.

Pogarda idzie tak daleko, że minister spraw wewnętrznych Fernando Grande-Marlaska na ostatnim spotkaniu komisji do spraw mowy nienawiści stwierdził, że nie musi odpowiadać na pytania dotyczące męczennika z Algeciras, zakrystiana, który zginął z rąk muzułmanina krzyczącego: „Śmierć chrześcijanom!". To, że tego nie zakwalifikowano jako mowy nienawiści, pokazuje stosowanie podwójnych standardów przez władze i że ochrona przed mową nienawiści właściwie ogranicza się tylko do środowiska LGBT. Jak w każdej rewolucji są równi i równiejsi. Przejęcie narracji i budowanie asocjacji – mowa nienawiści = LGBT – stało się więc faktem.

Do tradycyjnego marszu przez instytucje, a więc dążenia do obsadzania zwolennikami ideologii ważnych stanowisk publicznych, na czoło wysunęła się edukacja. Stowarzyszenia LGBT są obecne w szkołach, gdzie bez wiedzy rodziców przeprowadzają pogadanki i szkolenia, aby pokazywać, że wszystko to jest „normalne". Ostatnie miesiące przynoszą informacje o procedurach wobec rodziców, którzy nie godzą się na zmianę płci ich dziecka, która miałaby się dokonać bez ich zgody. Niewiele organizacji podejmuje się reagowania na indoktrynację dzieci i młodzieży, ale znakiem nadziei jest to, że zwiększają swoją aktywność stowarzyszenia takie jak Abogados Cristianos, mające na swoim koncie kilka interwencji w sprawie edukacji, HazteOír czy Asociación Católica de Propagandistas.

Wsparcie dla ideologii LGBT przychodzi również z przestrzeni kulturowej, zwłaszcza kinematografii hiszpańskiej, w której pojawia się obowiązek włączania wątku LGBT do produkcji. Przystąpiono także do aktywnego utrudniania i dyskryminowania każdego, kto swoim działaniem przeciwstawia się lobby: w niektórych diecezjach, jak np. w Alcalá za kadencji bp. Juana A. Reig Plà, powstały punkty pomocy psychologicznej osobom, które dobrowolnie chciałyby powrócić do heteroseksualności. Dziś są to instytucje bardzo prześladowane, ale nie dotyczy to jedynie instytucji, lecz także konkretnych osób. Przykładem systemowej przemocy wobec nich jest znana w Hiszpanii psycholog Elena Lorenzo, prowadząca takie terapie. Utrudnienie dostępu do pomocy nawet tym, którzy tego chcą, to część rewolucyjnej strategii ograniczania pola gry.

Te strukturalne „odgórne" rozwiązania wspiera wiele organizacji „oddolnych", biorąc w ten sposób społeczeństwo niejako „w dwa ognie". Powstało w ostatnim czasie bardzo wiele organizacji pro-LGBT, zrzeszonych w federacji FELGTBI, które zaczęły brać udział w ciałach doradczych ministerstw, komisjach wcielających w życie tzw. Narodowy Plan Walki z Przestępstwami z Nienawiści, gdzie stanowią już większość z racji również słabości i braku aktywności wielu chrześcijańskich organizacji. Jednak jest krok dalej: utworzono swego rodzaju „policję LGBT" o nazwie LGTBIPol, złożoną z funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa, regionalnych i państwowych, która stawia sobie za cel obronę tego środowiska. Jak można przeczytać na ich stronie, są to „agenci Urzędu ds. Różnorodności, których zadania obejmują: wzmacnianie więzi ze społecznością LGTBIQ+ i instytucjami policyjnymi, uwidacznianie rzeczywistości LGTBIQ+ w korporacjach, współpracę w zakresie szkoleń dotyczących różnorodności w całej Hiszpanii oraz obronę wrażliwych grup przed przestępstwami z nienawiści, zapewnianie szkoleń na temat ich istnienia i cech, a także pomoc i wsparcie dla ofiar tych przestępstw".

Korzeni popularności należy szukać w powolnym, ale skutecznym pokazywaniu LGBT jako standardowego normalnego zachowania, co wspierały przez lata konkretne działania polityczne, głównie legalizacja małżeństw homoseksualnych przez premiera Zapatero

Jednocześnie mnożą się Obserwatoria przeciw Homofobii (jak to powstałe w Katalonii) czy stowarzyszenia dzieci trans oraz chrześcijan gejów. Rozproszona obecność społeczna środowisk LGBT jest jednak wzmacniana i koordynowana przez wzrastającą rangę wydarzenia Orgullo Gay w Madrycie. Dziś to nie jest jednodniowy marsz, ale swego rodzaju festiwal z wydarzeniami odbywającymi się przez cały tydzień, koncertami, paradami, angażujący wiele aspektów życia, co widoczne jest chociażby w zmianie logo na tęczowe przez wielkie firmy (nawet stacje benzynowe). Aktywiści LGBT doskonale wiedzą, że – jak we wszystkich krajach, tak również w Hiszpanii – najgorszą reakcją na ich działalność byłaby cisza. Dlatego o najmniejszych elementach tej aktywności musi być bardzo głośno.

ROZSTROJENIE SPOŁECZNE

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytania o tak szybki postęp ruchu LGBT niektórzy twierdzą, że to efekt wahadła i reakcja na czasy gen. Franco. Przeczy temu wiele faktów, gdyż – nie negując możliwej dyskryminacji osób homoseksualnych w tamtych czasach – trudno jednak w nich upatrywać źródła dla boomu LGBT przeżywanego obecnie w Hiszpanii. Dotyczy to przede wszystkim młodego pokolenia, które przecież nie żyło za czasów Franco.

Korzeni popularności należy więc szukać raczej w powolnym, ale skutecznym pokazywaniu LGBT jako standardowego, normalnego zachowania, a co wspierały przez lata konkretne działania polityczne, głównie legalizacja małżeństw homoseksualnych przez premiera Zapatero. Wydaje się też, że wszystko to wpisuje się w nasilanie się trudności w osiąganiu tożsamości wśród współczesnej młodzieży również w Hiszpanii.

Efekty indoktrynacji widać gołym okiem na hiszpańskich ulicach, a ostatnie publikacje medialne – można wierzyć lub nie podawanym liczbom – pokazują Hiszpanię jako drugi kraj pod względem liczby osób LGBT w społeczeństwie. Wedle tych danych ankietowych 14 proc. społeczeń-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Oceniając sytuację kulturowo-społeczną w Hiszpanii, można mówić o widocznych zmianach, które dotykają rodziny i szkoły, a kolejne etapy wiążą się ze strony ideologów LGBT z twardym egzekwowaniem społecznej akceptacji

stwa deklaruje się jako związane z tym środowiskiem, a nawet do 18 proc. w Pokoleniu Z. Poza tym większość społeczeństwa uznaje LGBT za coś normalnego, choć niesmak budzą dla nich obrazki z parady w Madrycie, zwłaszcza widok homoseksualistów przypominających kobiety (choć trzeba dodać, że i dla tej grupy rośnie poparcie wśród młodych ludzi).

Dochodzi do tego doświadczenie wielu rodziców, których dzieci deklarują zmianę preferencji płciowych, a to powoduje różne ich reakcje: by nie stracić kontaktu z dziećmi, akceptują to, mimo swego radykalnie odmiennego stanowiska ideowego, albo sugerują pomoc w postaci terapii, o którą jednak coraz trudniej.

Wspomniana „zgoda społeczna" wydaje się katalizatorem psychologicznym, jak pokazują konkretne przypadki, dla osób, które – doświadczając frustracji w relacjach heteroseksualnych – znajdują wsparcie w ideologii LGBT. Temu miało służyć wieloletnie wypychanie tradycyjnej moralności, aby zabudować w to miejsce nową normę, choć i na tym nie zatrzymuje się pochód ideologii, bo ofensywa dotyczy teraz choćby języka.

STRATEGIE REAKCJI

Czy taki obraz sytuacji przypomina „Raport z oblężonego miasta" Zbigniewa Herberta? Przytoczmy choć kilka wersów: „[…] doprawdy niepojęte że Miasto jeszcze się broni […] / teraz kiedy piszę te słowa zwolennicy ugody / zdobyli pewną przewagę nad stronnictwem niezłomnych / zwykłe wahanie nastrojów / losy jeszcze się ważą".

Na czym polega opór, aby obronić „granicę niepewnej wolności"? Czy chrześcijanie żyją w poczuciu takiego oblężenia i nie reagują?

Można zauważyć, że powstają stowarzyszenia wspierające chrześcijański ideał rodziny, ochrony życia, piękno małżeństwa, z jednocześnie mocnym akcentem na kategorie „zdrowia publicznego", przywracając w sposób klarowny prawdę o seksualności człowieka, bez strachu przed konsekwencjami ze strony propagandy LGBT. W takie działania, w postaci książek czy filmów, angażuje się wiele osób będących obrońcami życia, a także naukowców.

Linia obrony skupia się więc na rodzinie i wspieraniu jej przez wiele organizacji, projektów, jak AMAR w Pampelunie, przygotowujących do małżeństwa, jego trwałości i rozwiązywania pojawiających się wyzwań w relacjach. Przypomina to przekonanie o konieczności pracy u podstaw, szukania sojuszników w tej walce, budowania zaplecza dla oporu przed rozpędzającą się ideologią, która wkracza do szkół i próbuje za pomocą dotacji (czy też groźby jej odebrania) wpływać na charakter edukacji, włączając w nie swoje treści.

Reakcja hierarchów Kościoła katolickiego jest jednoznaczna, zarówno na poziomie konferencji episkopatu, jak i listów poszczególnych biskupów, w których przestrzega się przed ideologią gender. Jednak coraz więcej wiernych nie widzi powodów, dla których utrzymuje się takie stanowisko, wychodząc z założenia, że przecież te osoby się kochają i co innym do tego.

Sprawa nieco inaczej wygląda w zakonach: niektórzy hiszpańscy jezuici i pijarzy w pewien sposób sprzyjają LGBT, wprowadzając do szkół przez nich prowadzonych elementy tej ideologii, inni – jak augustianie – umieszczają wpisy popierające LGBT, a młodzi zakonnicy deklarują gotowość błogosławienia par jednopłciowych (choć nie publicznie, ale prywatnie). Widać wyraźnie, że obok trudności komunikacyjnych pojawiają się duże wyzwania teologiczne, które wymagają jasnej odpowiedzi i przyswojenia nauczania Kościoła.

W polityce hiszpańskiej właściwie wszystkie partie oprócz VOX są za ideologią LGBT. Zarówno Podemos, PSOE, jak i centroprawicowa PP wyczuwają koniunkturę wyborczą. Pojawiają się na paradach organizowanych przez te środowiska, a ponadto zaczęły stosować – w myśl postulatów LGBT – język afirmujący istnienie osób niebinarnych (todos, todas, todes) czy stosując w wypowiedziach w liczbie mnogiej, gdy wypowiada się mężczyzna, końcówek żeńskich. Społeczeństwo staje się przez to jeszcze bardziej skonfundowane.

Wydaje się, że jedynie VOX stawia na zahamowanie oddziaływania ideologii LGBT i postuluje rozwiązania takie jak „PIN rodzicielski" – aby rodzice mieli możliwość wyboru, czy ich dziecko uda się na pogadanki w szkole dotyczące LGBT czy tzw. edukacji seksualnej. Ze strony PP widać nieśmiałe próby hamowania ideologii w jej zbyt daleko idących roszczeniach, ale nie zatrzymania całego procesu.

NOWY ALFABET

Oceniając sytuację kulturowo-społeczną w Hiszpanii, związaną z długoletnim oddziaływaniem ideologii LGBT, można mówić o widocznych zmianach, które dotykają rodziny i szkoły, a kolejne etapy wiążą się nie tyle z miękkim oddziaływaniem, ile z twardym egzekwowaniem ze strony ideologów LGBT społecznej akceptacji. Uwidacznia się przy tym lekceważenie wielu środowisk naukowych i społecznych, jak to było w prawie dotyczącym transseksualności, których to opinii w ogóle nie konsultowano, a także pominięto doświadczenia innych krajów, tym samym ryzykując zdrowie młodych Hiszpanów.

Po drugiej stronie, w obliczu przeważającej siły finansowej, medialnej i społecznej, wykonuje się ważną pracę nie tylko intelektualną i duchową – odsłanianie ofiar ideologii, które druga strona ukrywa, a przecież jest ich bardzo wiele i szukają pomocy – lecz także pracę u podstaw, w większym niż do tej pory przyswojeniu katolickiej nauki społecznej oraz antropologii chrześcijańskiej. To jak ponowne tworzenie alfabetu, skoro poprzedni rozpadł się na kawałki. W ten sposób podejmuje się próby dotarcia z jasnym przekazem do całego społeczeństwa, przeczuwając, że to na razie czas siania, podlewania, a nie żniwowania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. ADOBE STOCK

Republika traci szacunek

Bogdan Dobosz

W czerwcu we Francji odbywał się tzw. miesiąc dumy gejowskiej. W tym samym miesiącu doszło do zamieszek na dużą skalę i niemal „rewolucji przedmieść" po zabiciu przez policję młodego recydywisty. Co może łączyć tak pozornie odległe wydarzenia? Okazuje się, że są pewne elementy wspólne, ale podstawowym jest nienawiść do państwa, w którym żyją

W czasie parady LGBTQ w Lyonie doszło do pewnego incydentu. Jeden z uczestników marszu zerwał trójkolorową flagę Francji wywieszoną na jednym z balkonów. Pozornie zwykły chuligański wyczyn, ale zastanawiająca jest reakcja „paradników", którzy jego zachowanie przyjęli powszechnym aplauzem. Takie same sceny z profanowaniem symboli Republiki powtórzą się kilka dni później w wielu miastach Francji już podczas zamieszek.

Obydwa środowiska łączy jeszcze coś. Są uważane na lewicy za „prześladowane mniejszości", rodzaj współczesnego „proletariatu" i społeczną bazę, na której historycznie skończona formacja odzyskuje swój wigor. Skompromitowane hasła dawnego marksizmu zastąpiła kontrkulturowa rewolucja „tęczowa", a do tego dochodzi dążenie do wywołania nieodwracalnych zmian społecznych przez wspieranie imigracji.

„Marsz paryskiej dumy 2023" odbywał się w tym roku 24 czerwca, a jego hasłem była intensyfikacja „walki z dyskryminacją". Podobnie było w Rennes, gdzie socjalistyczna szefowa metropolii Nathalie Appérés krytykowała „homofobię" niektórych Bretończyków i mówiła, że „trzeba walczyć z autorytarnymi partiami politycznymi w całej Europie, niezależnie od tego, czy chodzi o ataki na społeczność LGBTI+ czy na migrantów".

W tym roku doszło jednak też do środowiskowych podziałów. Organizator parad, czyli stowarzyszenie Inter-LGBT, był oskarżany o zbyt małe zaangażowanie w „walkę rodzin homorodzicielskich". Współprzewodnicząca stowarzyszenia rodziców i przyszłych rodziców gejów i lesbijek (APGL) ubolewała nad brakiem

eprasa.pl 60aa5cfbaf

zaangażowania tego środowiska w realizację kolejnych „tęczowych" postulatów, w tym m.in. surogacji dla par homoseksualistów. Żywa jest też sprawa „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego" w tym środowisku (tzw. terf), którym są feministki, wspierane często przez lesbijki, którym nie podoba się inwazja w świat kobiet transseksualistów, co dotyczy sportu, a także codziennego życia (inwazja przestrzeni przeznaczonych tradycyjnie dla niewiast). Takich sprzeczności jest znacznie więcej.

Ostatnio lobby LGBTQ podpadł francuski rząd. Czterech ministrów oskarżono o wygłaszanie „homofobicznych uwag". Dla ratowania „wizerunku" premier Élisabeth Borne w towarzystwie minister do spraw Równości Kobiet i Mężczyzn, Różnorodności i Równych Szans, Isabelli Rome, odwiedziła centrum LGBT+ w Orleanie. Okazją była 40. rocznicy uchwalenia ustawy depenalizującej homoseksualizm. Ogłosiła tam utworzenie stanowiska „ambasadora" do spraw LGBTQ. Rolą takiego ambasadora będzie walka z przejawami homofobii i wspieranie transpłciowości. Jego rolą będzie też obrona „praw LGBTQ" na całym świecie.

„TĘCZOWY PLAN" RZĄDU

Warto wspomnieć o rządowym planie dotyczącym LGBT+ na lata 2023–2026, który przedstawiła w lipcu 2023 r. minister Isabelle Lonvis-Rome. Chodzi o „walkę rządu o równouprawnienie, przeciw nienawiści i dyskryminacji". Francuzi mogą spodziewać się całej masy szkoleń w tym temacie, które mają objąć „wszystkie warstwy społeczeństwa". Rząd wyda więc spore środki budżetowe, zwłaszcza na „antyhomofobiczne" szkolenia policji i żandarmerii. Do maja 2024 r. mają zostać „przeszkoleni" wszyscy funkcjonariusze. Na każdym posterunku powstanie stanowisko „dedykowanego ds. LGBT-fobii referenta". Przeszkoleni zostaną także pracownicy sądownictwa i prokuratury.

Rząd zamierza przeprowadzić m.in. ustawę o sądowym „zakazie stadionowym" dla „homofobicznych" kibiców, przeznaczy 10 mln euro na wsparcie ośrodków LGBT+ we Francji czy sfinansuje utworzenie 10 nowych placówek tego typu do 2027 r. Osobne szkolenia będą dotyczyć nauczycieli. W planie jest też wsparcie dla „integracji rodzin homorodzicielskich" w systemie edukacji. Organizatorzy kolonii i wczasów rodzinnych przejdą szkolenie „z zagadnień inkluzji i walki z nienawiścią wobec osób LGBT+". Animatorzy na koloniach będą musieli posiadać od 2024 r. nawet odpowiedni certyfikat o ukończeniu „modułu szkolenia dotyczącego rozpoznawania i przeciwdziałania LGBT-fobii". Na liście są też np. pracownicy służby zdrowia, mają oni korzystać z tego typu szkoleń w celu „lepszej opieki nad pacjentami LGBTQI+". Nie trzeba dodawać, że wszystkie tego typu szkolenia prowadzą aktywiści organizacji LGBT i jest to dla nich niezły dochód.

Wszystkie te środki indoktrynacji, wsparcie celebrytów, medialne promocje coming outów robią swoje i podobno już 10 proc. Francuzów (22 proc. osób poniżej 26. roku życia) identyfikuje się jako „osoby LGBTQI+". Sondaże są co prawda robione na zamówienie tych środowisk, ale informacja, że 55 proc. Francuzów jest już za udostępnianiem zmiany płci nieletnim (chociaż za zgodą rodziców), brzmi przerażająco.

Tam, gdzie nie wystarczają szkolenia, wchodzi coraz częściej prokurator. Niedawno nadeszła informacja, że znany publicysta i specjalista m.in. od świata islamu, ks. Guy Pages, został pozwany przez stowarzyszenie LGBT Mousse za opublikowanie artykułu, który po prostu przywoływał moralne nauczanie Kościoła katolickiego. Z kolei w czerwcu 2023 r. prokuratura w Compiègne wszczęła śledztwo w sprawie rzekomo homofobicznych wypowiedzi kierownictwa prywatnego katolickiego liceum w tym mieście. Poszło o to, że dyrekcja odmówiła zgody na to, by nauczyciele zabrali uczniów na film o „trudnej sytuacji homoseksualistów w Kenii" oraz na film o byłej minister Simone Veil, która wprowadziła we Francji w 1975 r. aborcję.

Szkoły francuskie straciły zdolności republikańskiej integracji uczniów, ale w temacie LGBT stały się forpocztą tej propagandy. Minister edukacji Pap Ndiaye wprowadził do wszystkich kuratoriów „obserwatorów LGBT-fobii". Narzuca też szkołom „kampanie uświadamiające", co miało np. miejsce 17 maja, z okazji „międzynarodowego dnia walki z homofobią i transfobią". Minister mówi wprost, że chce, aby „drzwi szkół były szeroko otwarte dla stowarzyszeń, które podnoszą świadomość na te tematy". Dodaje, że „istnieje agresywny, reakcyjny świat, który atakuje szkolnictwo w kwestiach LGBT+, ale myślę – dodaje – że ta hałaśliwa reakcja nie odzwierciedla już dzisiejszego społeczeństwa".

„POSTĘPY" LGBT W SPORCIE

Poza szkołą do ofensywy „tęczowej" ideologii mocno wykorzystuje się „wychowawczą rolę sportu". We Francji zaczęli np. od „zbyt męskiego" rugby. Jednak prawdziwym wyzwaniem dla ideologów LGBT pozostaje piłka nożna. Nie dość, że zawodnicy niezbyt kwapią się do rozmaitych coming outów, to jeszcze i kibice tej dyscypliny uznawani są za mocno „homofobicznych". Kibiców usiłuje się „wychowywać", a jeśli to nie pomaga, to sięga się już także po represje.

Przypomnijmy, że od pięciu lat rząd, ministerstwo sportu i Francuska Federacja Piłki Nożnej (FFF) oraz kierownictwo zawodowej ligi organizują „tęczową kolejkę rozgrywek". Z roku na rok propaganda jest coraz bardziej nachalna i w 2023 r. „tęczowe" były już np. numery na koszulkach wszystkich zawodników klubów pierwszej i drugiej ligi (koszulki później sprzedano, a dochód zasilił kasę tęczowych stowarzyszeń).

Postawiono też na politykę represji. Nowe przepisy nakazują sędziom przerywanie meczów w przypadku pojawiania się „homofobicznych" haseł lub transparentów. Są też propozycje wprowadzenia procedur natychmiastowego zatrzymywania kibiców „w przypadku incydentów o charakterze homofobicznym". Minister sportu Amélie Oudéa-Castéra mówiła także o ustaleniu kryteriów „promowania integracji" osób transpłciowych w sporcie wyczynowym. Zespół takich „ekspertów" rozpocznie prace już jesienią tego roku.

„Tęczowy" walec toczy się wytrwale niemal po wszystkich dziedzinach życia społecznego i na razie nie widać żadnej siły politycznej, która by się temu przeciwstawiała. Lobby LGBT ma swoje „komórki" w rządzie, opozycji (nawet w Zjednoczeniu Narodowym), w związkach zawodowych, mediach, dużych korporacjach. Pewne sygnały rozkładu tej ideologii wydają się co najwyżej wychodzić od wewnątrz samego „tęczowego" środowiska i być może w tym jest nadzieja otrzeźwienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Sądy prawa czy przekonań

Magdalena Majkowska

Patrząc na sprawę skazania Mariki, trzeba zapytać, gdzie zmierza praktyka orzecznicza sądów w Polsce

FOT. ADOBE STOCK

Marika, 21-letnia aktywna społecznie działaczka narodowa, studentka Politechniki Poznańskiej, w sierpniu 2020 r. wraz z trzema innymi osobami, w geście sprzeciwu wobec promowaniu skrajnie lewicowych ideologii, usiłowała wyszarpać kobiecie torbę w barwach ruchu LGBT. Została oskarżona o rzekomy rozbój i próbę kradzieży przedmiotu o wartości 15 zł, a następnie skazana razem z drugim zidentyfikowanym sprawcą przez Sąd Rejonowy Poznań-Stare Miasto w Poznaniu na karę trzech lat bezwzględnego pozbawienia wolności.

Spora część uzasadnienia wyroku sądu poświęcona została poglądom oskarżonych, którzy krytycznie oceniali postulaty ruchów LGBT. Za obciążającą okoliczność potraktowano to, że udzielali się w organizacji takiej jak Młodzież Wszechpolska, która jest legalnie działającą organizacją pozarządową. Poglądy Mariki sąd określił jako „radykalne", a zachowanie dziewczyny i współoskarżonego potraktował w kategoriach „nienawiści kierowanej w stosunku do określonej społeczności stanowiącej mniejszość seksualną, określaną mianem LGBT+". Sąd podkreślił, że cel działania oskarżonych „opierał się na założeniu, by swoim zachowaniem dać wyraz nienawiści w stosunku do osób o odmiennej orientacji seksualnej, którą byli kierowani". Był to dla niego argument do potraktowania ich czynu jako występku o charakterze chuligańskim, a w konsekwencji podwyższenia dolnej granicy ustawowego zagrożenia, za które skazywał Marikę, z dwóch do trzech lat pozbawienia wolności. W tych okolicznościach, przy jednoczesnym zaakcentowaniu, że kara wobec młodej, wcześniej niekarnej dziewczyny ma realizować przede wszystkim funkcję wychowawczą, skazał Marikę na trzy lata pozbawienia wolności.

Marika nie wniosła apelacji, błędnie przekonana, że obrońca z urzędu współoskarżonego działa również w jej interesie. Była to jej pierwsza w życiu styczność ze stresującym i skomplikowanym dla zwykłego obywatela procesem karnym. Sąd wcześniej odmówił jej przyznania obrońcy z urzędu, o którego wnioskowała. W efekcie wyrok uprawomocnił się, a dziewczyna trafiła do więzienia. W zakładzie karnym została umieszczona w jednej celi z zadeklarowaną lesbijką.

Bliscy Mariki zgłosili się do Instytutu Ordo Iuris z prośbą o wsparcie w toku postępowania ułaskawieniowego w momencie, gdy dziewczyna od roku odbywała już orzeczoną wobec niej karę.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

W toku postępowania o ułaskawienie ta sama sędzia, która skazała Marikę, wydała pozytywną opinię w zakresie prośby o jej ułaskawienie. Prokurator generalny przychylił się do wniosku obrońców o zarządzenie przerwy w wykonaniu kary. Marika przebywa na wolności co najmniej do czasu rozpoznania wniosku o ułaskawienie przez prezydenta, od którego decyzji obecnie zależy jej przyszłość.

CZY SĄD MUSIAŁ ORZEC WIĘZIENIE?

Wielu komentatorów sprawy Mariki, w tym – co najbardziej zdumiewające – część prawników (m.in. regionalny oddział Stowarzyszenia Iustitia), podnosiło, że przy przyjętej kwalifikacji prawnej nie było możliwości orzeczenia wobec dziewczyny łagodniejszej kary. Nie jest to prawda.

Pozostając nawet przy kwalifikacji opisanego czynu jako usiłowania rozboju, sąd – zgodnie z art. 283 k.k. – mógł potraktować czyn jako wypadek mniejszej wagi, gdzie dolna granica kary wynosi trzy miesiące pozbawienia wolności. W takiej sytuacji istniała nawet możliwość, na podstawie art. 37a k.k., zamiast orzekania kary pozbawienia wolności orzeczenie kary ograniczenia wolności albo grzywny. W innej sytuacji, pozostając przy przyjętej kwalifikacji prawnokarnej, czyli usiłowania rozboju, na podstawie art. 37b k.k., sąd mógł orzec jednocześnie karę pozbawienia wolności w wymiarze nieprzekraczającym sześciu miesięcy oraz karę ograniczenia wolności do lat dwóch.

CZYN PRAWIDŁOWO ZAKWALIFIKOWANY?

Nie można przejść obojętnie obok kwalifikacji prawnokarnej czynu przyjętej wobec zachowania Mariki. Budzi ona poważne wątpliwości co do jej słuszności. Niezbędnym warunkiem dla zakwalifikowania czynu jako rozbój jest użycie przemocy wobec osoby. Zebrany materiał dowodowy w sprawie potwierdza użycie przemocy wobec przedmiotu – torby, a zachodziły wątpliwości co do przemocy wobec pokrzywdzonej. Wątpliwe jest także uznanie, że czyn skazanej miał charakter chuligański. Zgodnie z wyrokiem Sądu Najwyższego z dnia 11 lipca 2019 r. (sygn. akt IV KK 302/18) rozbój nie może stanowić występku o charakterze chuligańskim.

Skoro nie jako usiłowanie rozboju, to w jaki sposób można było zakwalifikować czyn Mariki? W tym przypadku można było rozważyć czyn oskarżonej jako usiłowanie kradzieży. Przy czym biorąc pod uwagę wartość torby, czyn należałoby zakwalifikować w ogóle jako wykroczenie, co oznacza, że groziłaby jej kara aresztu, ograniczenia wolności albo grzywny.

GDYBY TORBA NIE BYŁA TĘCZOWA

Prokurator generalny zlecił dokonanie analizy spraw, którymi wcześniej zajmował się poznański sąd, który skazał Marikę. Jej wyniki potwierdzają niesprawiedliwość wyroku orzeczonego wobec dziewczyny oraz to, że za tak niewspółmiernie wysoką karą stały przesłanki daleko wykraczające poza ocenę prawnokarną czynu.

Jak bowiem inaczej wyjaśnić, że w innej sprawie ten sam sąd za używanie przemocy w postaci podduszania pokrzywdzonego, uderzenie kijem w głowę i wyrwanie mu deskorolki o wartości 730 zł skazał oskarżonego na karę łączną jednego roku i trzech miesięcy ograniczenia wolności, polegającą na wykonywaniu prac społecznych? Jak uzasadnić to, że za kilka przestępstw – w tym stosowanie przemocy polegającej na uderzeniu pokrzywdzonego w brzuch, zabranie mu telefonu, kradzież, przywłaszczenie powierzonej rzeczy i oszustwo – sprawca został skazany na karę łączną jednego roku i sześciu miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym jej zawieszeniem?

Trudno nie odnieść wrażenia, że to przesłanki światopoglądowe spowodowały, że Marika trafiła do więzienia. Podobnie jak w przypadku, gdy poparcie aborcji dla aborcji uchroniło przed konsekwencjami karnymi sprawcę fizycznego ataku na kierowcę furgonetki, który jeździł ulicami Warszawy w ramach kampanii antyaborcyjnej. Pracujący wówczas w medialnym koncernie Ringier Axel Springer agresor najpierw rzucił w samochód butelką, a następnie otworzył drzwi do furgonetki, zaczął uderzać i szarpać kierowcę, siłą wyciągnął go z samochodu i uderzał drzwiami. Sąd nie miał wątpliwości ani co do wypełnienia znamion zarzucanego czynu, ani co do tożsamości sprawcy. Sprawa została jednak umorzona z uwagi na znikomą społeczną szkodliwość czynu. Pod uwagę wzięto… motywację sprawcy.

Niedawno zakończyła się zaś w pierwszej instancji sprawa aktywistów LGBT, którzy na czele z Michałem Sz., pseudonim Margot, za atak z nożem w ręku na furgonetkę Fundacji Pro – Prawo do Życia i pobicie wolontariusza pro-life zostali skazani tylko na nieuciążliwe prace społeczne i symboliczną karę pieniężną. Sprawcy deklarowali, że wyrok nie zniechęci ich do ponawiania ataków na kierowców furgonetek.

Z kolei aktywistka LGBT, znana jako „Babcia Kasia", została skazana za dokonanie czterech napaści, w trakcie których biła, gryzła i wyzywała funkcjonariuszy policji, na prace społeczne i zapłatę poszkodowanym policjantom po 800 zł.

Posłanka Joanna Scheuring-Wielgus za zakłócenie Mszy Świętej w jednym z toruńskich kościołów w ogóle nie poniosła konsekwencji. Podobnie jak grupa ponad 30 osób, które przerwały liturgię w poznańskiej katedrze.

Zestawienie tych spraw ze sprawą Mariki, młodej dziewczyny, która została skazana na trzy lata bezwzględnego więzienia, pokazuje, że coraz częściej mamy niestety do czynienia z ocenianiem zachowania oskarżonych przez pryzmat prywatnych poglądów sędziów.

Nie jest to zresztą tendencja obserwowana tylko w Polsce. Europejski Trybunał Praw Człowieka 15 grudnia 2022 r. orzekł, że ukaranie „Dody" przez polskie sądy grzywną w wysokości 5 tys. zł stanowiło naruszenie wolności słowa, i zasądził na rzecz piosenkarki zadośćuczynienie od Polski w wysokości 10 tys. euro. Wyrok dotyczył wypowiedzi piosenkarki z 2009 r. o tym, że Biblię „spisał ktoś napruty winem i palący jakieś zioła". Z drugiej strony kilka lat wcześniej ETPC oddalił skargę prawicowej działaczki ukaranej grzywną 480 euro za wypowiedź, w której zarzuciła Mahometowi skłonności pedofilskie z uwagi na zawarcie małżeństwa z sześcioletnią dziewczynką, uznając jej wypowiedź za „podłe pogwałcenie ducha tolerancji".

Przykłady można mnożyć. Baczny obserwator dostrzeże, że przesuwanie granic tzw. okna Overtona to już nie tylko domena polityków i działaczy społecznych, lecz także coraz częściej aktywne na tym polu są również sądy. Najpilniejszym pytaniem jest, czy wobec zachodzących procesów społeczno-prawnych pozostaniemy bierni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Czy samorządy wywiesiły białą flagę?

Jan Wółkowski

Samorządowe Karty Praw Rodzin są dokumentem, który sprzyja wsparciu rodzin w realizacji ich konstytucyjnych praw głównie poprzez kompleksowość swojego ujęcia i wsparcie dotyczące stosowania zawartych w nich wytycznych

FOT. ADOBE STOCK

Rodzina czasów ponowoczesnych zaczyna tracić swoją pozycję stałego punktu odniesienia w relacjach społecznych. Kryzys rodziny to po pierwsze zachwianie pozycji instytucjonalnej, poprzez większą liczbę innych form więzi społecznych (np. związki partnerskie), które powodują, że małżeństwo (już nie tak społecznie obligatoryjne, jak w poprzednich dekadach) to jedna z wielu opcji. Wpływa to także na rozumienie rodziny (bezdzietna, wielodzietna, patchworkowa). Nie jest ona traktowana jako coś oczywistego i nie jest opcją „must have" współczesnego społeczeństwa. Generalizując – ponowoczesność przynosi radykalną zmianę w podejściu do małżeństw i rodziny, wychowania dzieci etc.

W roku 2020 zespół polskich chrześcijańskich organizacji społecznych przygotował Samorządowe Karty Praw Rodzin. Dokument ten miał na celu wsparcie rodzin. W przestrzeni medialnej pojawiały się komentarze sugerujące, że te pakiety dokumentów miały na celu walkę z polską społecznością LGBT(QIA) i pewnym sposobem myślenia o sprawach społecznych, a także z pewnymi zmianami społecznymi, które ta społeczność reprezentuje.

W moim tekście nie chciałbym skupiać się na „przestrzeni medialnej", ale spróbować spojrzeć na opisywany problem z perspektywy teologa, osoby zaangażowanej społecznie, głowy rodziny, obserwatora spraw społecznych.

RODZINA – BAZA, RODZIC – AUTORYTET

Rodzina to podstawowa komórka społeczna. W rodzinie się rodzimy, w rodzinie się rozwijamy, najlepiej przechodzimy nasze kryzysy, w rodzinie umieramy... Tak zresztą chcemy to robić. W badaniach społecznych realizowanych przez ogólnopolskie ośrodku badawcze w zakresie opinii publicznej deklarujemy, że rodzina to dla nas najwyższa wartość (np. badania zlecone przez RPDz w 2021 r.). Poza tym potwierdzają to niezobowiązujące rozmowy przy okazji rodzinnych, weekendowych spotkań.

Realizując na mojej macierzystej uczelni – Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu – program edukacyjno-społeczny „Kuźnia Liderów Regionu", miałem przyjemność przeprowadzać wywiady z blisko 100 uczniami kujawsko-pomorskich szkół. Wśród wielu tematów naszych rozmów był temat autorytetów. Blisko 90 proc. tych szczególnie wrażliwych i zaangażowanych społecznie młodych ludzi w wieku 16–20 lat wskazywało członka swojej rodziny jako swój największy autorytet (najczęściej mamy, babcie, ojcowie, dziadkowie, starsze siostry lub braci). To pokazuje, że nasza młodzież, ich rozwój i plany na przyszłość umacniane są więzami rodzinnymi.

Rodzina jest zatem przestrzenią bezpieczną z perspektywy dziecka, dzięki któremu rozwija swoje pasje, zainte-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

resowania, otrzymując tym samym tak potrzebne informacje zwrotne: „idziesz w dobrą stronę", „tak trzymaj", „jestem przy tobie" etc.

Warto w tym miejscu odnotować sytuacje w rodzinach, gdzie rodzice „nie dają rady", niejednokrotnie krzywdząc dzieci w swojej nieporadności. Jednak te sytuacje powinny budzić w nas chęć wsparcia rodziców rozumieniu ich roli i odziedziczalności, która się z tym wiąże, by (pisząc w dużym skrócie) bardziej „byli rodzicami", niż tylko „mieli dzieci".

RODZINA JAKO ZASÓB SPOŁECZNY

Z perspektywy państwa rodzina to pewne dobro i potencjał, które sprzyjają jego rozwojowi gospodarczemu, społecznemu, a także kulturowemu i edukacyjnemu.

Prowadzone w 2018 r. badania („Polityka sprawiedliwości") przynoszą informację o tym że, że chcąc wychowywać dzieci i młodzież do praworządności, państwo powinno wspierać rodzinę, gdyż w niej powstają pierwsze wzorce postępowań dotyczących reguł obowiązujących w rodzinie, co ma przełożenie na rozumienie sprawiedliwości, praworządności. Pozwala to na dalszych etapach życia kierować się regułami sprawiedliwości i słuszności w życiu rodzinnym, zawodowym i politycznym.

Pozwala to jeszcze mocniej odkryć i zrozumieć, że rodzina ma w sobie więcej mocy i potencjału, niż nam się wydaje. A to, co powinno charakteryzować działania władz publicznych, to bardziej wspieranie i dialog z rodzinami niż walka i konkurencja na linii władza państwowa – władza rodzicielska.

PAŃSTWO NADOPIEKUŃCZE

W tym miejscu warto poddać lekkiej krytyce działania władz publicznych ostatnich dziesięcioleci. Działania państwa polskiego przypominają działania rodzica nadopiekuńczego, u którego w sferach, gdzie jego głos i interwencje powinny być słyszalne i widoczne, odnajdujemy jego pasywność (arena międzynarodowa, bezpieczeństwo publiczne), a w sferach, gdzie aktywność ta powinna być mniejsza, a poziom zaufania do społeczeństwa powinien być większy, spotykamy się z mocną interwencją (np. sfera edukacji, przedsiębiorczości). To ogólne zdanie ma służyć temu, by zachęcić władze publiczne na różnych poziomach – centralnym, regionalnym, lokalnym – do przeformułowania swoich priorytetów, tak by kompetencje podzielić i odzyskać na sektora organizacji społecznych i jednostek więcej przestrzeni do aktywności. Przysłuży się to podobnie jak w relacjach rodzinnych poprawieniu relacji społecznych i relacji państwo – społeczeństwo.

KARTA PRAW RODZIN I KONSTYTUCJA

Dokument ten został przygotowany m.in. przez Fundację Instytut Ordo Iuris, Stowarzyszenie Pedagogów Natan, Fundację Mamy i Taty – czyli instytucje odwołujące się do wartości chrześcijańskich, a także uważnie obserwujące zachodzące w naszym społeczeństwie procesy i starające się odpowiedzieć na potrzeby społeczne uwidaczniające się w tych procesach.

Konstytucja w art. 18 wymaga, by władze publiczne otoczyły szczególną ochroną i opieką rodzinę, małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzicielstwo i macierzyństwo. A zatem rozpoznaje pewną aksjologię i pewien sposób rozwoju relacji społecznych czy – zawężając – rodzinnych. Ustrojodawca przekazuje także władzom publicznym obowiązkowy kierunek prowadzonej polityki społecznej i ekonomicznej, który wyznaczany jest przez kryterium dobra rodziny.

Zasada pomocniczości, na którą powołują się autorzy projektu, w odniesieniu do rodziny jest wyrażona w ściśle określonych przepisach i tylko te fundamentalne przypomnę: art. 47 konstytucji (gwarancja prawna ochrony życia rodzinnego), art. 48 ust. 1 (prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami) czy art. 72 ust. 1 (ustrojowa zasada dobra dziecka). Zwłaszcza ten ostatni przepis obliguje władze publiczne, aby w prowadzonej polityce społecznej i gospodarczej uwzględniać dobro rodziny. Zadanie to szczególnie bliskie jest i powinno być władzom samorządowym, które są najbliżej rodzin i są wstanie samodzielnie (przez wyspecjalizowane agendy) lub przez współpracujące z nimi organizacje społeczne najpełniej diagnozować i analizować potrzeby rodzin, a także ewaluować działania pomocowe.

W mojej ocenie Samorządowe Karty Praw Rodzin są dokumentem, który sprzyja wsparciu rodzin w realizacji ich konstytucyjnych praw głównie poprzez kompleksowość swojego ujęcia i wsparcie dotyczące stosowania zawartych w niej wytycznych. Oczywiście nie każdy samorząd przyjął taką kartę, jednak jakąś politykę społeczną prowadzi i stara się uwzględniać potrzeby rodzin w oparciu o inne akty prawne i prowadzone analizy sytuacji społecznej, nie bojąc się zebrania opinii pełnego spectrum organizacji społecznych (od tych konserwatywnych do liberalnych, jak np. Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego).

Jednak pozostaje pytanie o to, co z samorządami, które przyjęły Samorządowe Karty, a w wyniku nacisku medialnego czy politycznego ze strony agend Unii Europejskiej wycofywały się tych deklaracji. Z jednej strony zrozumiałe jest to, gdy środki unijne to znaczące dochody danej jednostki samorządu terytorialnego, ale z drugiej strony to pytanie także o to, czy dana społeczność może i chce suwerennie podejmować decyzje o prowadzonej w gminie czy powiecie polityce społecznej, która nie wyklucza żadnej grupy społecznej, a jedynie mówi „sprawdzam" treściom i ofertom skierowanym do rodzin.

W rozpoczętym nie tak dawno dwuletnim maratonie politycznych przemian/zmian politycznych, które przebudują w jakiś sposób nasze życie od relacji międzynarodowych, wewnątrzunijnych, krajowych, regionalnych i lokalnych, należy zastanowić się, jakiej polityki prorodzinnej potrzebujemy. Trwałej, opartej na faktach i sprawdzonych wartościach (nieoznaczającej realizacji katolickiej nauki społecznej przez MOPS w każdej gminie) czy zmiennej, niepewnej, bezkrytycznie przyjmującej nieprzystające rzeczywistości, w której żyjemy w naszych lokalnych społeczności?

Oczywiście może to oznaczać więcej konsultacji, negocjacji i sporów na różnych poziomach decyzyjnych, ale z drugiej strony nikt nie mówił przy okazji wybierania demokracji jako ustroju, że będzie lekko, łatwo i przyjemnie. Warto chyba podjąć ten trud na rzecz naszego wspólnego dobra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Teresa Stylińska

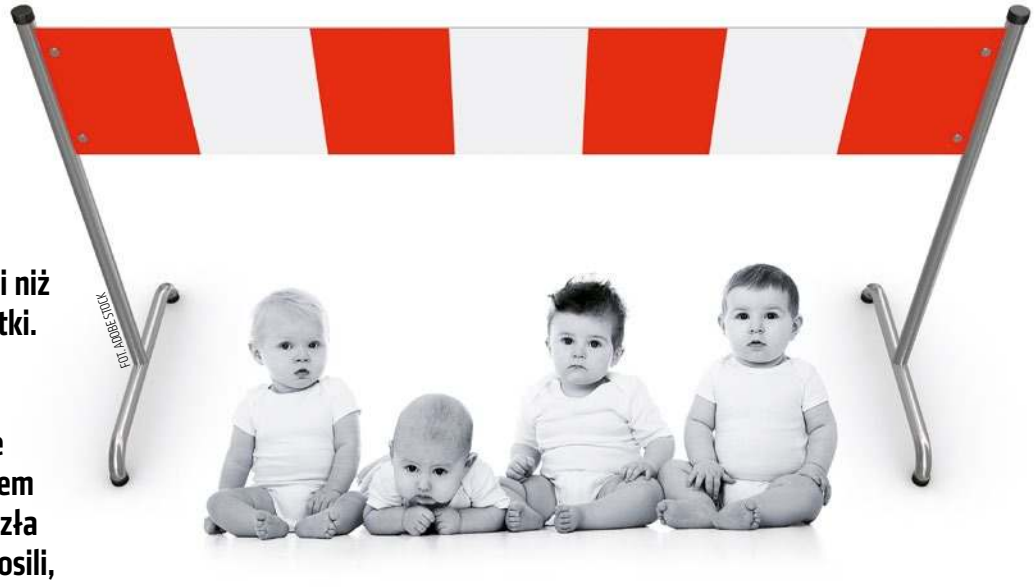

FOT. ADOBE STOCK

Sterylizacja dla dobra świata

Książę Harry i Meghan Markle ostatnio są raczej krytykowani niż chwaleni. Bywają jednak wyjątki. Parę miesięcy temu otrzymali nagrodę – wyraz uznania za samoograniczanie się w sferze rodzicielskiej. Gdy bowiem latem ubiegłego roku na świat przyszła Lilibet, ich drugie dziecko, ogłosili, że na tym koniec. Bo każde kolejne dziecko przybliża moment, gdy świat padnie pod ciężarem katastrofy klimatycznej

Brytyjska organizacja Population Matters (Ludność ma znaczenie) przyznanie nagrody uzasadniła tak: „Postanawiając, że będą mieć tylko dwoje dzieci, książę i księżna Sussex kierują się troską o ich przyszłość, a ogłaszając to publicznie, dają dobry przykład innym. Mniejsze rodziny – to mniejszy [zły] wpływ na Ziemię [...]. Książęcą parę nagradzamy zatem za podjęcie światłej decyzji".

Harry i Meghan nie po raz pierwszy występują w roli obrońców środowiska, głęboko zatroskanych o jego stan. Choć trudno nie dostrzec, że czynią to w sposób mocno wybiórczy. „Czy to ten sam Harry, który korzysta z helikoptera, by udać się z Londynu do Birmingham, i którego żona lata za Atlantyk prywatnymi samolotami swych celebryckich kolegów?" – sarkastycznie dopytywał na Twitterze Piers Morgan, znany brytyjski dziennikarz telewizyjny.

BABY DOOMERS

Faktem jest jednak, że nie są jedyni. Alexandria Ocasio-Cortez, deputowana do Izby Reprezentantów USA, popularna na Instagramie, tak tam pisała: „W nauce panuje zgoda co do tego, że dzieciom będzie się żyło ciężko. Młodzi ludzie słusznie więc zadają sobie pytanie, czy należy je mieć".

W błędzie jest ten, kto sądzi, że źródłem największego zatrucia środowiska naturalnego są samochody, kominki, elektrownie węglowe, samoloty, zbyt wolno rozkładający się plastik, detergenty i chemikalia plus oczywiście zwierzęta hodowlane, które – co ekologiści bardzo lubią podkreślać – zasługują na eksterminację, bo wydalają do atmosfery duże ilości siarkowodoru. Światu najbardziej szkodzi człowiek – bo lubi jeść, podróżować i mieć w domu ciepło i jasno. Skoro jednak tak się fatalnie złożyło, że ludzie już są, to należy przynajmniej zadbać o to, by nie było ich za dużo. Nie wolno bowiem powiększać rozmiarów katastrofy klimatycznej ani jej przybliżać.

Płynący z tego wniosek jest prosty: dzieci trzeba mieć jak najmniej, a najlepiej wcale. Tym właśnie kierują się ludzie, których po angielsku określa się terminem „baby doomers". Po polsku tak zgrabnie się nie da, sięgnijmy więc po opis: słowo „doom" oznacza zagładę, „baby" małe dziecko – a zatem „baby doomers" to ci, którzy uważają, że sprowadzanie dzieci na świat przybliża apokalipsę. Jest tu jednak także pewien smaczek językowy. To nawiązanie do określenia „baby boomers" i zarazem celowe przeciwstawienie. Bo baby boomers to ludzie urodzeni w okre-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

sie powojennego wyżu demograficznego, w latach 1945–1964. A wyż nie może się powtórzyć!

Wszystko to zostało skrupulatnie zbadane, przeanalizowane i policzone. Z badań prowadzonych w ostatnich latach przez instytucje naukowe, a także z sondaży opinii publicznej wynika, że obawy przed katastrofalnymi skutkami ocieplenia klimatu i niszczenia środowiska coraz mocniej wpływają na decyzje o posiadaniu dzieci. Dla ludzi, którzy są wyczuleni – czy wręcz przeczuleni – na punkcie zmian klimatycznych, prognozy są jak głośny sygnał alarmowy. Czy sami mogą coś zrobić? A jeśli tak, to co?

Owszem, mogą. Z międzynarodowego raportu, opublikowanego w 2017 r., wynika czarno na białym, że nie ma skuteczniejszego sposobu chronienia środowiska niż rezygnacja z posiadania dzieci. Jedno dziecko w rodzinie mniej – to ślad węglowy mniejszy aż o 58,6 ton rocznie! To ilość ogromna, jeśli porówna się ją z oszczędnościami uzyskiwanymi dzięki innego rodzaju wyrzeczeniom. Rezygnacja z poruszania się samochodem zmniejsza ślad węglowy o 2,4 tony rocznie, z podróży samolotem na linii transatlantyckiej – o 1,6 tony w wypadku podróży w obie strony. Bardzo zachwalane przejście na dietę wegetariańską także coś daje, choć o wiele mniej – bo ślad węglowy jest wówczas mniejszy o 0,8 tony rocznie.

PRZERWAĆ ZGUBNY ŁAŃCUCH

Jeden z artykułów na temat zagrożeń związanych z obecnością dzieci zilustrowano sugestywnym zdjęciem wysypiska pełnego zużytych jednorazowych pieluszek. To robi wrażenie. Ale czyż nie robią wrażenia zdjęcia wszystkich wysypisk czy ławic plastiku w oceanie? Poza pampersami ekologiczne konto dzieci obciąża jednak mnóstwo innych, mniej lub bardziej niezbędnych akcesoriów: wózki, butelki, coraz to nowe zabawki, kredki i zeszyty, by poprzestać na najbardziej elementarnych. Na domiar złego obciążenie klimatyczne, które generują dzieci, nie ma końca – bo gdy dorosną, same mają dzieci, a owe dzieci także mają dzieci, i tak w nieskończoność. Dlatego badacze, kalkulując szkody wyrządzane przez potomstwo, uwzględniają kolejne pokolenia. Nic dziwnego, że wyniki wyglądają dramatycznie.

Tym bardziej jednak, zdaniem baby doomers, należy przerwać ten zgubny łańcuch. Niektórzy decydują się na kroki radykalne. Jedną z bohaterek artykułu opublikowanego jakiś czas temu przez lewicowy brytyjski dziennik „Guardian" jest kobieta, która zdecydowała się na zabieg sterylizacji. Gwynn Mackellen nie miała wątpliwości, że nie może postąpić inaczej. „Zawsze wiedziałam – opowiada – że dla dobra środowiska nie chcę mieć dzieci". I wyjaśnia, że przecież to ludzie ponoszą winę za niszczenie świata. To oni wycinają drzewa, wyrzucają, gdzie popadnie, plastikowe przedmioty i eksploatują zasoby mineralne. „Jeżeli będzie nas mniej – tłumaczy – to takich poczynań również będzie mniej".

Rozmówcy „Guardiana" są bezdzietni z przekonania i to ich łączy, różnią się jednak w ocenie, co można i należy robić. Na przykład Leilani Münter, kobieta o nietypowym zajęciu, bo do niedawna była kierowcą wyścigowym, zaleca drogę adopcji. „Ktoś, kto ma silny instynkt rodzicielski, a nie potrafi go stłumić, powinien pomyśleć, że 153 mln sierot czekają na dom" – mówi. Uważa przy tym, że kwestię szkodliwych skutków posiadania dzieci zamiata się pod dywan. „O emisji gazów i o zmianach klimatycznych wolno rozmawiać bez przeszkód, ale gdy schodzimy na temat ludności, do głosu – podkreśla – dochodzą emocje". To dlatego wielu ludzi, którzy deklarują świadomą bezdzietność, wypowiada się anonimowo, bo – jak mówią – takie podejście nie jest dobrze widziane.

Emma Olif, działaczka organizacji Population Matters, ujmuje problem drastycznie: „Z biologicznego punktu widzenia posiadanie dzieci to przejaw egoizmu. Ludzie kradną zasoby [Ziemi] po to tylko, by móc przekazać dalej swe geny. Choć moje geny są w porządku, to wolę przekazywać wartości intelektualne. Mogę poświęcić więcej czasu większej liczbie ludzi dzięki temu właśnie, że nie mam dzieci".

WITAJCIE W GILEADZIE!

Co w tych enuncjacjach najbardziej może uderza, to zupełny brak wahań i wątpliwości, za to niezłomna wiara, że będzie źle. Baby doomers wiedzą, że spełnić się mogą tylko najgorsze przepowiednie, co skądinąd dowodzi, że nie bardzo wierzą w skuteczność środków zaradczych proponowanych przez autorytety ekologiczne. Nic nie jest w stanie ich przekonać, że może jednak trochę przesadzają. W nieodległej przyszłości – uważają – Ziemia stanie się dla mieszkańców prawdziwym piekłem. „Gdybym miał dzieci – z pełną powagą pisał ostatnio Tom Woodman, dziennikarz konserwatywnego tygodnika »Spectator« – życzyłbym im tylko jednego: żeby umarły w spokoju, zanim to nastąpi. Sobie – dodaje – też tego życzę".

Baby doomers zgodnie przy tym ubolewają nad niedostatecznym stanem świadomości społecznej. Ludzie, przynajmniej w krajach rozwiniętych, już się nauczyli, że trzeba segregować śmieci, przesiąść się na rower, zamontować panele fotowoltaiczne, zrezygnować z jednorazowych plastikowych naczyń i może nawet jeść mniej mięsa. Nie zawsze się stosują, ale przynajmniej to i owo słyszeli. Kompletnie jednak nie mają pojęcia, jakie nieszczęście ściągają na siebie i innych, gdy decydują się na powiększenie rodziny. Trzeba powtarzać im to do skutku również po to, by zagłuszyć głos tych, którzy zachęcają do posiadania dzieci.

„Welcome to Gilead" – taki napis wita odwiedzających stronę internetową Population Matters. Odniesienia literackie, merytorycznie mało trafne, budzą jednak, z punktu widzenia baby doomers, pożądane skojarzenia. Gilead bowiem, przypomnijmy, to państwo, w którym toczy się akcja dystopijnej „Opowieści podręcznej" Margaret Atwood. Jego mieszkanki są w większości bezpłodne i jest to skutek zatrucia i zniszczenia środowiska. Tylko podręczne są w stanie rodzić dzieci. I muszą, bo Gileadem, stosując terror, rządzą bezwzględni fundamentaliści religijni.

Aby nikt nie miał wątpliwości, na stronie widnieje też deklaracja: „Wszystkie problemy, jakie wiążą się z ochroną środowiska, łatwiej jest rozwiązywać, gdy ludzi jest mniej. Gdy ich liczba rośnie, jest to trudniejsze – a w końcu staje się niemożliwe". Sir David Attenborough, jeden z patronów organizacji, ekologiczny guru świata i ojciec – tylko czy aż? – dwojga dzieci, ma pewnie sporo racji. Nawet jeśli fundamentaliści antynatalistyczni tę myśl potrafią z powodzeniem doprowadzić do absurdu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Z Piotrem Łopuszańskim, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

O czym się nie pisze

Adam Mickiewicz FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dlaczego Adam Mickiewicz nie wziął udziału w powstaniu listopadowym?

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI: W czasie tego zrywu narodowego zachowywał się tak, jakby wcale nie chciał dotrzeć z Rzymu – gdzie przebywał – do Królestwa Kongresowego. I chociaż nie miał obowiązku walczyć z bronią w ręku, to sprawiał wrażenie, że tego unikał. W biografiach poety pisano o rzekomych przeszkodach, które uniemożliwiały mu dotarcie do Polski. Tymczasem jego przyjaciel, Stefan Garczyński, przybył z Rzymu do Kongresówki i uczestniczył w powstaniu. Mickiewicz pojechał… do Paryża, a w 1831 r. dojechał do Wielkopolski, gdzie wolał romansować po dworach. Po upadku rebelii zrozumiał, że postąpił niewłaściwie, i myślał nawet o samobójstwie.

Na co właściwie umarł?

Nie wiemy. Pisano o cholerze. Być może była to inna choroba. Tadeusz Żeleński („Boy") napisał, że Mickiewicz zmarł otruty. Oskarżył przy tym gen. Zamoyskiego o dokonanie tej zbrodni. Powodem miało być utworzenie oddziałów żydowskich mających walczyć ramię w ramię z Polakami przeciwko Rosji. Argumentacja „Boya" jest absurdalna. We wszystkich powstaniach Żydzi polscy walczyli razem z Polakami i nie było to problemem. Nie mogło więc być także powodem do zamordowania jednego z przywódców wojsk polskich w Turcji. W czasie przygotowań do wojny z Rosją najbardziej zainteresowanym podmiotem w zabójstwie Mickiewicza był niewątpliwie wywiad rosyjski.

Bolesława Prusa można uznać za rusofila?

W młodości Aleksander Głowacki, bo tak w istocie ten pisarz się nazywał, walczył w powstaniu styczniowym. Został aresztowany i od tej pory uznał, że Rosja jest państwem zbyt silnym i że próby walki zbrojnej z nią nie mają sensu. Głosił poglądy jawnie prorosyjskie. Nawet po klęsce Rosji w wojnie z Japonią nie zmienił swoich zapatrywań co do mocy carskiego imperium, choć był to już wówczas kolos na glinianych nogach.

Czemu podróż poślubna Henryka Sienkiewicza zakończyła się przedwcześnie?

Chodzi o drugie małżeństwo prozaika. Pierwsze było harmonijne, lecz zakończyło się śmiercią żony. Kilka lat później Sienkiewicz poznał Marię Romanowską. On miał 46 lat, ona 19 i miała opiekunkę, Helenę Wołodkowiczową, która wtrącała się w relację pisarza i narzeczonej. „Marynuszka" była przez nią zdominowana i wykonywała jej polecenia, co nie mogło podobać się autorowi „Bez dogmatu". Sienkiewicz nie chciał, żeby osoba trzecia, zwłaszcza że nie była to matka żony, wtrącała się w jego małżeństwo. Zresztą od początku źle się w nim działo.

W lutym 1893 r. zapowiadano ten ślub na Wielkanoc, lecz do ceremonii wtedy nie doszło. Sienkiewicz zauważył, że dziewczyna go nie kocha – raczej chciała być osobą bliską sławnego człowieka. Przyzwyczajona do życia w luksusie nie podzielała jego idei. Latem pisarz nawet zrezygnował z małżeństwa. Po interwencjach znajomych nawiązał jednak ponownie stosunki. Ustalono w końcu datę zaślubin na 11 listopada. Uroczystość miała miejsce w Krakowie. Po sześciu tygodniach żona uciekła od męża, który w listach pisał: „Źle liczyłem, omyliłem się, zawiodłem się najokrutniej". Dlaczego tak postąpiła? Jej opiekunka nazywała pisarza „brutalem" oraz „impotentem". Zarazem twierdziła, że chciał on stale korzystać z wdzięków młodej żony. Małżeństwo unieważniono dopiero w 1896 r. Twórca zemścił się, opisując w „Rodzinie Połanieckich" Wołodkowiczową jako panią Broniszową, a „Marynuszkę" jako Linetkę.

Zofia Stryjeńska, najwybitniejsza artystka malarka dwudziestolecia międzywojennego
FOT. NAC

eprasa.pl 60aa5cfbaf

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI „SEKRETY ŻYCIA PISARZY I ARTYSTÓW" FRONDA 2023

Stefan Żeromski oblał maturę z powodu wstydliwej choroby?

Owszem. Będąc uczniem kieleckiego gimnazjum, po zdaniu pierwszego egzaminu poszedł do domu publicznego. Tam zaraził się chorobą weneryczną. Musiał kurować się w domu i nie mógł przystąpić do kolejnych egzaminów. O tym fakcie się nie pisze. Skądinąd na ogół biografie Żeromskiego były zakłamane. Z wyjątkiem pracy prof. Zdzisława J. Adamczyka pt. „Manipulacje i tajemnice. Zagadki późnej biografii Stefana Żeromskiego".

Związek twórcy „Popiołów" z Anna Zawadzką wywołał skandal i fatalnie odbił się na spuściźnie literackiej pisarza?

Zgadza się. Żeromski miał żonę Oktawię i syna Adama. Gdy ok. 1908 r. poznał Annę Zawadzką, dość szybko zaczął prowadzić dwa domy. Po śmierci syna zamieszkał z kochanką. Urodziła mu córkę, Monikę. Należy pamiętać, że pisarz nigdy się nie rozwiódł z Oktawią. Tymczasem po jego śmierci honoraria autorskie z wydawnictwa Jakuba Mortkowicza trafiały do kochanki, a nie wdowy! Zawadzka nie zgadzała się na publikację listów i dzienników Żeromskiego. Za jej życia diariusze pisarza ukazały się dwukrotnie w wersji ocenzurowanej. W biografiach tytułowano Zawadzką małżonką. Ba, dopisywano jej nazwisko Żeromska! A przecież nie mogła używać nazwiska, używając dzisiejszej terminologii, partnera, ponieważ nie doszło do małżeństwa. Z kolei Monika wymyśliła fikcyjną genealogię rodziny swojej matki, rzekome związki z Mickiewiczem, w co uwierzyła np. Alina Kowalczykowa. Zdemaskował to właśnie prof. Adamczyk.

Irena Krzywicka weszła do polskiego piśmiennictwa „podboyem"?

Tadeusz Żeleński („Boy") miał wiele kochanek, zwykle kobiety o już uznanej renomie, jak Anna Leszczyńska. Irena z Goldbergów Krzywicka dopiero zaczynała karierę publicystki i dzięki romansowi z „Boyem" weszła do środowiska „Wiadomości Literackich". Ona też namówiła go do zajęcia się kwestią „regulacji urodzin". Pod jej wpływem napisał „Piekło kobiet" i „Naszych okupantów". Zapisał się też do Ligi Reformy Obyczajów, gdzie szybko został zmarginalizowany i skąd odszedł, widząc, że organizacja służy do robienia prywatnych karier, a nie przeprowadzania reform. Krzywicka zaś pisała skandalizujące reportaże, wydała wykpiwaną książkę „Pierwsza krew". Z czasem „Boy" zrozumiał, że jego powołaniem jest literatura, i zabrał się do tłumaczenia Prousta. Po chwilowym rozstaniu z Krzywicką napisał świetną „Marysieńkę Sobieską" – krytycznie ocenioną przez kochankę.

Jak wytłumaczyć karygodne zachowanie Żeleńskiego w okupowanym przez Sowietów Lwowie?

Być może przyczynę stanowił strach. „Boy" poszedł na współpracę z okupantem. Poparł aneksję polskich Kresów Wschodnich przez ZSRS, wstąpił do komunistycznego związku pisarzy, a w „Czerwonym Sztandarze" chwalił „nowe perspektywy" badań nad biografią Mickiewicza, co miała rzekomo zapewnić władza sowiecka. Na komunistycznym już Uniwersytecie Lwowskim wykładał literaturę francuską. Podobno streszczał jedynie swoje przedwojenne szkice o pisarzach. Lwowski okres pisarza, pomimo prób obrony (choćby Józefa Hena), jest mroczną kartą w biografii autora „Słówek". Nie musiał przecież składać żadnych deklaracji.

Tadeusz Pruszkowski wiódł wytworne życie w II RP dzięki konterfektom sanacyjnych dygnitarzy?

To wydaje mi się uproszczeniem. Zarabiał nie tylko pędzlem, portretując osobistości (podobnie przecież czynili Wojciech Kossak czy Jacek Malczewski), lecz także piastując stanowisko rektora Szkoły Sztuk Pięknych – później ASP – w Warszawie. Należał do modnego w latach 20. Stowarzyszenia Rytm, w którego skład wchodzili: Eugeniusz Żak, Zofia Stryjeńska, Tymon Niesiołowski czy Wacław Borowski. Obrazy tych twórców dobrze się sprzedawały. I Pruszkowski mógł pozwolić sobie na budowę willi w Kazimierzu Dolnym, zakup awionetki, samochodu, rozwijanie pasji filmowej. Był człowiekiem wielkiej wiedzy w dziedzinie sztuki, bardzo przyjaznym wobec plastycznych adeptów. Zginął w czasie wojny w Warszawie, gdy Niemcy usiłowali zniszczyć polską elitę.

A w jakich okolicznościach do zakładów psychiatrycznych trafiała Zofia Stryjeńska?

Ta najwybitniejsza artystka malarka dwudziestolecia międzywojennego, laureatka międzynarodowych nagród artystycznych (np. w 1925 r. w Paryżu), wyszła za mąż za architekta Karola Stryjeńskiego. Byli niezbyt dobraną parą. On dusza towarzystwa, bywalec przyjęć, uwodziciel, ona zaś nieśmiała, domatorka, dla której sztuka stanowiła treść życia. Kochała męża namiętnie, on zaś początkowo wspierał jej karierę artystyczną. Szybko jednak znudził się połowicą i zaczął romansować. Dziećmi się nie zajmował, oddając je pod opiekę swoim rodzicom, a następnie siostrze. Zofia zaś kochała go nadal i pragnęła naprawienia relacji małżeńskich. Stryjeński, pod pozorem zaproszenia żony na kolację, wywiózł małżonkę do kliniki psychiatrycznej Jana Piltza. Po interwencji rodziców Zofii malarkę wypuszczono. W 1927 r. Stryjeński po raz drugi tak postąpił, gdy miał romans z Zofią Mikucką i chciał definitywnie rozstać się z żoną. Umieszczenie jej w klinice miało być koronnym argumentem w sprawie rozwodowej. Dzięki znajomości z lekarzem zakopiańskim, Tadeuszem Gabryszewskim, Stryjeński uzyskał odpowiednie zaświadczenie, że artystka wymaga leczenia, chociaż nie była chora psychicznie. Stryjeńska po raz drugi trafiła do zakładu psychiatrycznego. Wybuchł skandal. Prasa rozpisywała się o tym zdarzeniu. Lekarz, który wydał fałszywe zaświadczenie o stanie Zofii, stracił posadę. I chociaż niektórzy (np. Rafał Malczewski) opowiadali się po stronie Stryjeńskiego, to właśnie on został uznany przez sąd za winnego w tej sprawie – obciążono go kosztami pobytu małżonki w klinice. A Stryjeńska niebawem się z nim rozwiodła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Łopuszański – dziennikarz i pisarz. Autor kilkunastu książek literatury faktu. Między innymi o Bolesławie Leśmianie, Mikołaju Koperniku, Gustawie Holoubku, Zbigniewie Nienackim, literackiej Warszawie oraz najnowszej: „Sekrety życia pisarzy i artystów".

eprasa.pl 60aa5cfbaf

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

UBekistan

Przez ponad trzy dekady Polska (a dokładniej – siły nią na przemian rządzące) nie potrafiła uporać się z krwawą spuścizną przeszłości. Tego, że aparat bezpieczeństwa publicznego (to bardzo szerokie i pojemne pojęcie) był instytucją zbrodniczą, już nikt, poza samymi zainteresowanymi, nie kwestionuje. Po zmianach w 1989 r. wydawało się rzeczą naturalną, że zbrodniarze i ich zaplecze zostaną odsunięci od spraw państwowych i przynajmniej część z nich poniesie konsekwencje prawne. Nic takiego się nie stało.

Nastąpiły przedziwny splot sił starego i nowego układu, wzajemne przenikanie się i zamiast w miarę rzetelnej dekomunizacji dostaliśmy jedynie powierzchowne deklaracje jej przeprowadzenia. A tymczasem wrastanie niedawnych „właścicieli Polski Ludowej" w nową rzeczywistość trwało w najlepsze. Z sowieckich międzynarodowców pośpiesznie przekształcali się w… Europejczyków, bo przecież jakiś pan być musi.

Opanowanie „nowych" służb, czyli Urzędu Ochrony Państwa, przez ubeków i esbeków było całkiem jawne. Wojsko „ludowe" powierzchownie zmieniało się tak, żeby nic się nie zmieniło. Komunistycznych służb wojskowych nikt nie śmiał ruszyć. Instytucje bankowe i gospodarcze były nadal w rękach PRL-owców. Sądy i prokuratury pozostały te same. A wszystko przy propagandzie, że to są przecież… fachowcy, innych nie mamy.

Za śmierć kilkudziesięciu (może nawet 100 tys.) Polaków po 1944 r. nie odpowiedział nikt. I już nie odpowie, upływ czasu zrobił swoje i „resortowe dzieci" mogą spać spokojnie.

Ale pamiętajmy o grzechu zaniechania w latach okupacji. To przecież z wojennych bandziorów komunistycznych wyrosły podstawowe kadry Polski Ludowej we wszystkich dziedzinach. W 1943 r. antykomunistyczna organizacja BLOK (kierowana przez Henryka Glassa) proponowała, aby siły niepodległościowe – AK i NSZ – podjęły przeciwko nim zdecydowaną akcję. W marcu 1944 r. kontrwywiad KG AK postulował, aby wyplenić zdrajców i morderców w sposób chirurgiczny, bo jeśli nastąpi zaniechanie, to oni po objęciu władzy z nadania Stalina unicestwią Polskie Państwo Podziemne, jego struktury i przede wszystkim kadry.

I stało się: komuniści po 1944 r. brutalnie pozbyli się swoich prawdziwych (a nawet domniemanych) przeciwników, dokonując swoistej zamiany elit. W miejsce tych prawdziwych przyszli wydwiżeńcy, opanowując komunistyczne państwo. Skutki niestety znamy, dziś drugie i coraz częściej trzecie pokolenie „ludzi UB" dominuje w podstawowych dziedzinach życia publicznego, nadal walcząc (na szczęście tylko medialnie i politycznie) z normalną Polską. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Flis"

Sukces „Halki" spowodował, że Stanisław Moniuszko duże nadzieje wiązał ze swoją kolejną operą zatytułowaną „Flis". Przygotowując jej premierę, kompozytor zadbał również o dodatkowe dochody, sprzedał bowiem firmie Gustawa Sennewalda prawo do druku fragmentów dzieła, za co zainkasował 200 rubli (5 tys. euro). Wprawdzie było to znacznie mniej niż za „Halkę", ale „Flis" był operą jednoaktową. Moniuszko był zresztą z tej transakcji bardzo zadowolony i poinformował żonę mieszkającą jeszcze wówczas wraz z dziećmi w Wilnie, że przyśle 50 rubli „na mleko dla dzieci". Potomkowie jednak musieli obejść się bez mleka, pieniądze bowiem „jakoś się rozeszły" i ostatecznie kompozytor nic nie wysłał do Wilna.

Na szczęście przygotowania do premiery przebiegały bez zakłóceń i odbyła się ona 24 września 1858 r. Obsada był znakomita, a dyrygował osobiście kompozytor. Publiczność była zachwycona, przedstawienie przyniosło ogromny sukces.

„Powodzenie tej opery było zupełne – relacjonowano na łamach »Kuriera Warszawskiego«. – Publiczność przyjęła ją z serdecznym zadowoleniem, jakiego powinniśmy się spodziewać, licząc na znakomity talent twórcy »Halki«. Muzyka śliczna, niektóre numery powtórzono na żądanie, a ciągłe oklaski towarzyszyły aż do końca przedstawienia".

Inny z recenzentów snuł analogie między muzyką opery a… płcią piękną, twierdząc, że muzyka była „głębsza, podobna do twarzy rozumnej i czującej kobiety, z której wyrazem, co chwila odmiennym, trzeba się bliżej zaznajomić, by ocenić jej piękność". Kolejne przedstawienia cieszyły się równie dużym zainteresowaniem, ale kompozytor był nieco zawiedziony. W Warszawie przebywał akurat cesarz Rosji, Aleksander II, i Moniuszko miał nadzieję, że władca zaszczyci premierę swą obecnością. Tak jednak się nie stało, car zignorował również drugą premierę „Flisa" w Starej Pomarańczarni w Łazienkach. Nie spełniła się zatem nadzieja kompozytora, że ewentualny pozytywny odbiór dzieła przez monarchę otworzy mu drogę na sceny rosyjskie.

Innym problemem były uwagi niektórych recenzentów dotyczących „gminnego pochodzenia" bohaterów „Flisa". Libretta większości oper tych czasów opierały się na wydarzeniach mitologicznych lub rozgrywały się wśród wyższych sfer, więc flisacy i rybacy z warszawskiej Pragi raczej nie przypadli im do gustu.

Jednak Moniuszko miał znacznie większe zmartwienia, niebawem po premierze „Flisa" musiał przygotować się do stałych przenosin wraz z rodziną do Warszawy. A było to poważne wyzwanie logistyczne i początek nowego rozdziału w jego życiu. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

KONFERENCJA

„Wolność sumienia i ideologia LGBT”

TYTUŁY PANELI:

REWOLUCYJNE PRZYSPIESZENIE. KTO I DLACZEGO CHCE NARZUCIĆ POLSCE AGENDĘ LGBT?

TO NIC TAKIEGO? SEKS-EDUKACJA W POLSKICH SZKOŁACH

WATYKAN W CIENIU TĘCZOWEJ GWIAZDY. CZY KOŚCIÓŁ STANIE PO STRONIE REWOLUCJI LGBT?

RODZINA – OSTATNI BASTION KONTRREWOLUCJI?

Fundusz Sprawiedliwości

Ministerstwo Sprawiedliwości

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Słowacja skręca na lewo

Piotr Semka

Dla Polski ewentualna wygrana na Słowacji „narodowej lewicy" to zła wiadomość

Robert Fico przemawia podczas konferencji prasowej FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Na tle kampanii wyborczej w Polsce ta w Słowacji wygląda leniwie, wręcz sennie. (Jeśli nie liczyć niedawnej bójki na pięści, w której po razie dali sobie były premier i lider partii OLANO Igor Matovič oraz były wicepremier, jeden z liderów ugrupowania SMER Robert Kaliniak.) Klipy wyborcze nadawane w telewizji przypominają nasze produkcje z lat 90. Banalne billboardy obiecują „większą troskę o poziom życia Słowaków" lub „bycie bliżej zwykłych ludzi".

Być może ta dosyć mało dynamiczna atmosfera wynika z bardzo wyraźnego ukształtowania się tendencji wyborczych. Najwięcej głosów już od paru miesięcy zdobywa lewicowo-narodowa partia SMER na czele z byłym premierem Robertem Ficą. Na drugiej pozycji są główni przeciwnicy ideowi Ficy, czyli Postępowa Słowacja (Progresívne slovensko). Lider europejskich liberałów Michal Šimečka ma 39 lat. Na kolejnych pozycjach są dwie partie – potencjalni koalicjanci SMER, czyli ugrupowanie Hlas (Głos) umiarkowanego lewicowca Petera Pelegriniego z wynikiem 14,2 proc., oraz Republika z wynikiem 8,8 proc., która najbardziej przypomina naszą Konfederację.

Po tej wielkiej czwórce zaczyna się grupa średniaków, którzy walczą, aby przebić się przez próg 5 proc. Są to: Katolicki Ruch Demokratyczny, liberalny Sas, umiarkowane Olano i słowaccy Narodowcy. Na granicy jest jeszcze SME RODINA (Jesteśmy rodziną). W sumie niezły mętlik i rozdrobnienie.

Niewielki wpływ na wybory i powyborcze koalicje ma proeuropejska prezydent Zuzana Čaputowa. Niedawno ogłosiła, że nie będzie ponownie kandydować i można odnieść wrażenie, że prezydentura wymęczyła ją i nieco przerosła. Tym więcej pola do działania dla Roberta Ficy.

1 stycznia 2023 r. Słowacja obchodziła 30. rocznicę odzyskania niepodległości, jest to więc jedno z najmłodszych państw w Europie. Wcześniej Słowacja jako niepodległy byt nie istniała, a po zakończeniu pierwszej wojny i zrzuceniu węgierskiej władzy w 1918 r. powstała, ale jako wspólne państwo Czechów i Słowaków. Potem w latach 1939–1945 pierwsze nowożytne niepodległe państwo słowackie było bezwolnnym satelitą III Rzeszy.

Coś z przyczyn popularności wodza tego wojennego państwa – ks. Jozefa Tisy – pozostało w słowackiej polityce. Słowacy lubią twardych narodowych i swojskich liderów. Jeśli popatrzymy na ostatnie 30 lat samodzielnej Słowacji, to przez dwie trzecie istnienia państwo to było rządzone przez dwóch „silnych ludzi". Pierwszym był Vladímir Mečiar, który z krótką przerwą rządził aż sześć lat między 1992 a 1998 r. Potem na chwilę doszli do władzy konserwatywni liberałowie, ale od 2006 r. premierem był kolejny silny człowiek, czyli Robert Fico.

Zarówno Mečiar, jak i Fico byli typowym wytworem polityki w postkomunistycznym kraju, w którym opozycja była mało znaczącym marginesem. Jednak o ile w Czechach tamtejsza opozycyjna Karta 77 wyłoniła niezwykle silną postać Václava Havla, o tyle na Słowacji żaden z byłych opozycjonistów nie miał ani znanego nazwiska, ani wyrazistej osobowości. W tej sytuacji doszedł do władzy Vladímir Mečiar. Lewicujący populista, który puszczał oko do elektoratu mile wspominającego kolaboracyjną republikę pod wodzą ks. Jozefa Tisy.

Od 2006 r. miejsce Mečiara po lewej stronie zajął Robert Fico. Ten urodzony w 1964 r. polityk wprost odrzucał i wyśmiewał tradycję opozycyjną. Gdy dziennikarze pytali go, co robił w czasie tzw. aksamitnej rewolucji, która wybuchła w listopadzie 1989 r. przeciwko ostatniej ekipie komunistycznej, ten odpowiadał, że nie zajmował się głupotami, bo miał na głowie egzaminy na studiach.

Powołany przez Roberta Ficę SMER stał się jedną z najsilniejszych partii. Przyrównując Roberta Ficę do polskich standardów, przypominał on mieszankę Leszka Millera i Waldemara Pawlaka. Uwielbiał podkreślać swojskość, nieufność wobec cudzoziemców i przekonanie, że Słowacja musi się skupić na swoich problemach, a nie realizować się w rozwiązywaniu problemów rodaków.

Przez lata Fico rządził Słowacją twardą ręką. Był na tyle zapobiegliwy, by w Brukseli zawsze trzymać się tego, na co mają ochotę Francja i Niemcy. W rezultacie mimo narastającej korupcji ani Komisja Europejska, ani żadna Komisja Wenecka nigdy nie krytykowały Słowacji. Ten parasol otwarty nad głową Słowacji jako „pokornego cielęcia", które ssie francuskie i niemieckie mleko, dawało ludziom SMER niezwykle silną pozycję w kraju.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Epoka Mečiara z lat 1993–1998 zamroziła w policji i prokuraturze wszelkie zmiany. To właśnie prawnicy i policjanci, którzy zaczynali swoje kariery w epoce komunistycznej Czechosłowacji, odwdzięczali się Fice za brak rozliczeń cichym wspomaganiem interesów ludzi układu tego polityka. Trzeba było dopiero dwóch wybuchów społecznych przeciwko wyzywającym już przykładom korupcji, by do władzy dochodzili proeuropejscy konserwatywni liberałowie. Ci jednak zazwyczaj nie potrafili pozbyć się korupcyjnych ciągot i ich rządy nie trwały długo.

Ostatni raz przeciwnicy SMER i Roberta Ficy zdobyli władzę w 2018 r. Fico wydawał się już być wtedy skompromitowany wobec licznych zarzutów zdeprawowania policji i prokuratury w taki sposób, by chroniła szarą strefę biznesową. Jednak Fico w takich sytuacjach zazwyczaj robił to, co mu się najlepiej udawało. Przybierał pozę skrzywdzonej niewinności, głosił, że śledztwa służb antykorupcyjnych to próba zmiecenia rywala ze strony obozu władzy. I ludzie zazwyczaj wierzyli jemu, a nie jego przeciwnikom. Teraz Fico, najbardziej doświadczony polityk na słowackiej scenie, czeka już tylko na wynik wyborów, aby stworzyć najwygodniejszą dla siebie koalicję.

AMERYKAŃSKI EPIZOD

W lutym 2022 r., dwa tygodnie przed pełnoskalową agresją Putina na Ukrainę, Słowacja ratyfikowała umowę o współpracy obronnej z USA. Jej kluczowym punktem było pozwolenie na korzystanie armii amerykańskiej z dwóch baz słowackich sił powietrznych w miejscowościach Kuchyňa i Sliač. Słowacja otrzymała w zamian za przekazanie Amerykanom baz 100 mln dol. Amerykanie mieli prawo do budowy własnej infrastruktury w obu tych punktach, a także do tworzenia składowisk sprzętu wojskowego. USA mają już podobne porozumienia z wieloma krajami NATO, w tym z Polską i Węgrami.

Gdy przyszło do głosowania nad umową w parlamencie słowackim, spokojna zazwyczaj sala posiedzeń zamieniła się w miejsce awantur. Zarówno politycy partii SMER, jak i posłowie ugrupowania skrajnych narodowców o nazwie Ludowa Partia Nasza Słowacja wygłaszali dramatyczne przemówienia, oskarżając prawicowo-liberalną koalicję o zdradę narodową i doprowadzenie do utraty suwerenności. Opozycja spod znaku SMER i LSNS dosłownie szalała. Gwizdano i uruchamiano syreny mające zagłuszyć przedstawicieli rządu. Grupa radykałów próbowała okupować nawet mównicę parlamentarną, zasłaniając ją flagą słowacką. Gdy posłowie z ugrupowań liberalnych wyciągnęli flagę ukraińską, deputowani LSNS podarli ją na strzępy.

Burzliwe zajścia w parlamencie pokazały skalę prorosyjskich nastrojów, które podchwycili politycy SMER i narodowej prawicy. Powoli nastroje te słabły i Słowacja przekazała Ukrainie sporo sprzętu wojskowego włącznie z wozami pancernymi i amunicją używaną w armii słowackiej w czasach komunistycznych. Tyle że gdy zapał wokół pomocy dla Ukrainy zmalał, wybuchła awantura, która podcięła nogi premierowi Ivanowi Matovicowi. Matovic bez odpowiedniej konsultacji zakupił ogromne ilości rosyjskich szczepionek Sputnik V. W rezultacie musiał odejść i zastąpił go dosyć słaby techniczny premier Eduard Heger. Bardziej menedżer i biznesmen niż polityk. W końcu jesienią i on musiał odejść ze stanowiska i administrowaniem zajął się jako nowy premier wiceprezes Narodowego Banku Słowacji Lubowicz Odor.

Powtórzyła się prawidłowość słowackiej polityki. W miejsce rządów SMER i Roberta Ficy przychodziły cztero- albo pięcioczłonowe koalicje małych partii, które nie były w stanie ani osiągać ambitnych celów, ani nawet długo trwać. Zazwyczaj czynnikiem destrukcji były wzajemne antypatie i brak lojalności wobec siebie. Słabość też wykazywały partie proeuropejskie. W latach 90. taką partią było ugrupowanie Mikuláša Dzurinda HZDS, czyli ruch na rzecz demokratycznej Słowacji. Dzurinda skompromitował się oskarżeniami o korupcję i odszedł w 2006 r. Teraz rolę lidera Słowacji europejskiej próbuje odgrywać Michal Šimečka, przedstawiciel intelektualno-opozycyjnego rodu Simečków. Jednak Europejczycy z postępowej Słowacji mają mniejsze możliwości koalicyjne od ugrupowania Roberta Ficy. Jak to lapidarnie ujął jeden ze zwolenników lewicy, „Fico reprezentuje całą Słowację, a Šimečka tylko bratysławskie kawiarnie".

DOBRE WIEŚCI DLA PUTINA

Robert Fico wielokrotnie w ostatnich latach wypowiadał się przeciw pomocy Słowacji dla Ukrainy. W jego opinii wysyłanie broni przez państwa NATO na Ukrainę służy tylko dalszej eskalacji konfliktu. Nic dziwnego, że dyplomaci amerykańscy, a także brytyjscy, polscy czy rumuńscy z niepokojem patrzą na rosnącą siłę Roberta Ficy, jego wzmacniające się szanse na objęcie ponownie funkcji premiera. Analitycy zachodni wskazują, że może się wytworzyć dosyć życzliwy Rosji trójkąt państw naddunajskich: Austrii, Węgier i Słowacji.

Jednak część obserwatorów, szczególnie tych, którzy oglądają kampanię na miejscu w Bratysławie, uspokaja, że Fico flirtuje z dość popularnymi na Słowacji nastrojami prorosyjskimi, ale w praktyce nie zdecyduje się na radykalne zerwanie z polityką wspierania Ameryki i reszty NATO.

„Jeśli Fico zostanie premierem, to może ogłosić zakończenie słowackich dostaw na Ukrainę. Pytanie jednak, czy jest jeszcze coś do wysłania do Kijowa. To, co Słowacy mieli oddać Ukraińcom, to już oddali. Natomiast pragmatyczny Fico raczej nie zrezygnuje z komercyjnych zamówień ukraińskiego ministerstwa obrony w słowackich fabrykach amunicji. Tak samo nie zdecyduje się raczej na ograniczenie pomocy humanitarnej dla ukraińskich uchodźców" – mówi jeden ze słowackich ekspertów.

Z kolei jeden z polskich analityków przewiduje: „Na pewno lider SMER nie będzie popierać żadnych działań na rzecz zaostrzenia twardej linii wobec Rosji. Ale przyglądając się, jak bardzo różni się to, co mówi Fico i co robi Fico, hipotetyczny przyszły premier rządu w Bratysławie pozostawi rolę największego przyjaciela Putina w obrębie NATO Viktorowi Orbánowi".

Nie można wreszcie wykluczyć, że gdy Amerykanom naprawdę będzie zależało, aby Słowacja była elementem wojskowego zaplecza dla Ukrainy, znajdą takie dźwignie nacisku na Roberta Ficę, że ten zrobi, co zechcą.

Dla Polski wygrana „narodowej lewicy" to zła wiadomość. Polityce wschodniej rządu Morawieckiego ubędzie jeden partner. Jedyne, na co można liczyć, to pragmatyzm Roberta Ficy. Jednak wynik wyborów wciąż jest niepewny. Aż jedna czwarta słowackich wyborców jest niezdecydowana.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Nowy konflikt w regionie wisi na włosku. Na zdjęciu: „rosyjskie siły pokojowe" FOT. AZIZ KARIMOV/GETTY IMAGES

Gra o Kaukaz

Witold Repetowicz

Sytuacja na Kaukazie Południowym nabiera gwałtownej dynamiki. Armenia rezygnuje z resztek pozorów bycia sojusznikiem Rosji i zwraca się ku Zachodowi, podczas gdy Azerbejdżan mobilizuje siły, by dokonać na nią inwazji, która z kolei może szybko przerodzić się w wojnę Turcji z Iranem. Rosja natomiast kieruje pod adresem Erywania słabo zawoalowane groźby przewrotu

Doświadczenie roku 1914 pokazuje, że nieoczekiwane wydarzenie w marginalnym z pozoru kraju może doprowadzić do hekatomby w postaci długiego i krwawego starcia mocarstw. Obecnie takim punktem zapalnym jest Sjunik, niewielka, górzysta prowincja Armenii, którą zamieszkuje zaledwie 140 tys. osób. Mało kto o niej słyszał, gdyż konflikt azerbejdżańsko-armeński kojarzy się raczej z Górskim Karabachem. Odgrywa ona jednak znacznie ważniejszą rolę geopolityczną, gdyż blokuje stworzenie panturecki projektu, łączącego Turcję z Azerbejdżanem, a przez to również z Morzem Kaspijskim i tureckojęzycznymi państwami Azji Centralnej. Z drugiej strony zapewnia ona połączenie Iranu z Armenią. Krótko mówiąc, krzyżują się tam interesy Turcji, Iranu, Rosji, a także USA i Izraela. No i oczywiście Armenii oraz Azerbejdżanu.

W tej układance jest wiele aspektów nieoczywistych. Teoretycznie Rosja jest sojusznikiem Armenii, gdyż oba państwa są członkami Organizacji Układu Bezpieczeństwa Zbiorowego (OUBZ), tj. sojuszu, w którym funkcjonuje odpowiednik art. 5 NATO, czyli zobowiązanie do wzajemnej obrony. Z drugiej strony zarówno Iran, jak i Azerbejdżan to państwa szyickie, więc mogłoby się wydawać, że są naturalnymi sprzymierzeńcami. Nic bardziej mylnego. Chociaż Armenia przez wielu jest postrzegana jako tradycyjny sojusznik Rosji, to jest to dalekie od prawdy. Rosja zawsze traktowała Armenię jak zakładnika, a priorytetem dla niej były stosunki z Azerbejdżanem. Od dawna potęgowało to frustrację Armenii, ale zawsze, gdy okazywała ona choćby najmniejszą skłonność do emancypacji, spoglądając na Zachód, dziwnym zbiegiem okoliczności atakował ją Azerbejdżan. Rosja pokazywała w ten sposób Ormianom, że Zachód im nie pomoże, a marzenia o niezależności będą ich dużo kosztować.

Cywilizacyjnie Ormianie dążą jednak ku Europie, a wielu z nich nie zapomniało, że po pierwszej wojnie światowej to USA chciały, by powstało ich niepodległe i silne państwo, podczas gdy plany te zniweczyli właśnie Rosjanie do spółki z Turkami. W 2018 r., w wyniku pokojowej rewolucji, obalona została skorumpowana prorosyjska klika rządząca Armenią, a władzę objął rządzący do dziś premier Nikol Paszynian. Mając świadomość zależności Armenii od Rosji, starał się on lawirować, ale i tak w 2020 r. Azerbejdżan zaatakował Armenię i w wyniku 44-dniowej wojny utraciła ona większość Górskiego Karabachu. Rosja nie kiwnęła wówczas palcem, by pomóc Armenii, gdyż faktycznie wszystko miała uzgodnione z Azerbejdżanem. Armenia została zmuszona do uznania, że Górski Karabach jest częścią Azerbejdżanu. Nad tą częścią, która pozostała poza faktyczną kontrolą Azerbejdżanu, kontrolę przejęła natomiast Rosja.

Armenia uznała w ten sposób, że sprawa Górskiego Karabachu została zamknięta, i starała się doprowadzić do normalizacji relacji z Azerbejdżanem i Turcją. Jednak Azerbejdżan zaczął się coraz bardziej domagać, by Armenia zgodziła się na przeprowadzenie eksterytorialnego korytarza przez Sjunik. Rosja postulat ten

eprasa.pl 60aa5cfbaf

popiera, gdyż miałby on być „ochraniany" przez jej siły. Dlatego, gdy w 2022 r. Azerbejdżan zaatakował terytorium Armenii (nie Karabachu), to Rosja odmówiła pomocy, twierdząc, że „granica jest nieuregulowana". Jeszcze bardziej fikcyjni okazali się pozostali „sojusznicy" z OUBZ, gdyż Kazachstan i Kirgistan są jednocześnie, razem z Azerbejdżanem i Turcją, członkami Organizacji Państw Turkijskich, czyli projektu panturecki. Znacznie większy nacisk na Azerbejdżan wywierać zaczęli natomiast Amerykanie.

PUNKT ZWROTNY

Nastroje antyrosyjskie narastać zaczęły nie tylko w Armenii, lecz także nawet w Górskim Karabachu, który zwykle był bardziej prorosyjski (gdyż jego mieszkańcy są zakładnikami Rosji). Od grudnia 2022 r. Azerbejdżan prowadzi tam jednak blokadę, która wywołała katastrofę humanitarną i została potępiona m.in. przez USA, Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości i Europejski Trybunał Praw Człowieka. Tymczasem rosyjscy żołnierze, rzekomo ochraniający Karabach, pozostali całkowicie bierni. To oraz coraz śmielsze groźby azerbejdżańskiego dyktatora Alijewa, który sugeruje, że Armenia nie ma prawa do istnienia, gdyż rzekomo została stworzona na „historycznych ziemiach Azerbejdżanu", doprowadziły do punktu zwrotnego. Najpierw na szczycie OUBZ w Erywaniu w listopadzie 2022 r. Paszynian, ku zdumieniu Putina i Łukaszenki, odmówił podpisania komunikatu końcowego, a następnie Armenia wycofała się z ćwiczeń OUBZ. Prawdziwym szokiem dla Kremla była jednak informacja, która pojawiła się 6 września. Armeńskie MSZ poinformowało wówczas, że do parlamentu skierowany został wniosek o ratyfikację Statutu Rzymskiego. Oznaczałoby to, że Armenia uznałaby jurysdykcję Międzynarodowego Trybunału Karnego wraz z obowiązkiem aresztowania Władimira Putina jako zbrodniarza wojennego.

Co więcej, ministerstwo obrony zapowiedziało, że w połowie września odbędą się w Armenii ćwiczenia z udziałem 85 żołnierzy USA, co doprowadziło już Rosję do prawdziwej wściekłości. Kremlowski rzecznik Pieskow zareagował oświadczeniem, że Rosja nigdy nie wycofa się z Armenii, gdyż jest „integralną częścią regionu", i dodał, że „w Rosji jest więcej Ormian niż w Armenii i są oni rosyjskimi patriotami". Była to słabo skrywana groźba zorganizowania prorosyjskiego przewrotu, jeśli Armenia nie zrezygnuje z planów zerwania z Rosją. Tymczasem już w 2020 r. wielu Ormian uważało, że jeśli Rosjanie nie będą ich bronić przed Azerbejdżanem (a tego nie robią), to powinni się wynieść z Armenii. Kraj ten otwarcie mówi też, że jego celem jest uzyskanie członkostwa z Unią Europejską, i stara się zwiększyć współpracę gospodarczą z UE, by uniezależnić się gospodarczo od Rosji. „Wisienką na torcie" była wizyta w Kijowie złożona na początku września przez żonę armeńskiego premiera, która udała się tam z pomocą humanitarną.

Tymczasem Azerbejdżan zaczął gromadzić wojska wokół Górskiego Karabachu oraz przy granicy z Armenią, a azerbejdżańskie media nasiliły wojenną retorykę. Pojazdy wojskowe są przy tym oznaczone odwróconą literą „A", która stała się również wszechobecna w azerskiej propagandzie. Przypomina to symbolikę „Z" w wojnie na Ukrainie, a zdaniem Ormian pokazuje odcięcie Sjunika od Armenii. Teoretycznie ewentualny atak Azerbejdżanu może być ograniczony do Górskiego Karabachu i nie ma wątpliwości, że Rosjanie by temu nie przeszkodzili. Oznaczałoby to też ucieczkę ok. 100 tys. Ormian z Górskiego Karabachu do Armenii i próbę destabilizacji tamtejszej sytuacji. Rosja, choć skompromitowana swoją biernością, podjęłaby próbę wykorzystania tego do instalacji prorosyjskiego reżimu.

Jednak znacznie bardziej prawdopodobna jest próba opanowania przez Azerbejdżan Sjunika. Również w tym wypadku Armenia nie może liczyć na Rosję oraz OUBZ. Natomiast Iran oficjalnie zadeklarował, że nie pozwoli się odciąć od Erywania i jeśli trzeba, to użyje siły. Nie ma się czemu dziwić, gdyż dla Teheranu przejęcie przez Azerbejdżan kontroli nad Sjunikiem to geopolityczna katastrofa. Oznaczałoby to bowiem realizację projektu panturecki, tj. połączenie tureckojęzycznych państw w jedną zwartą przestrzeń blokującą Iran od północy. Byłaby to nieakceptowalna dla Iranu zmiana regionalnego układu sił. Ponadto Azerbejdżan od dawna ściśle współpracuje z Izraelem, wrogiem numer jeden Iranu, pozwalając na prowadzenie antyirańskich operacji ze swego terytorium. Relacje między obomapaństwami są również fatalne z tego powodu, że w Iranie mieszka ok. 12 mln Azerów, a Azerbejdżan, wspierany w tym zakresie przez Izrael, usiłuje wzniecić tam nastroje separatystyczne.

ZMIANA UKŁADU SIŁ

O ile jednak zmiana układu sił spowodowana podbojem Sjunika zwiększyłaby zdolności Azerbejdżanu do podsycania separatyzmu w Iranie, o tyle obecnie jest on fikcją antyirańskiej propagandy. Niezadowolenie społeczne jest oczywiście faktem w Iranie, ale w przypadku Azerów nie ma ono podłoża etnicznego, gdyż zawsze byli oni częścią ścisłych elit na każdym poziomie tego państwa. Najbardziej znanym irańskim Azerem jest Najwyższy Przywódca Ali Chamenei. Żadnego antyirańskiego powstania Azerów w Iranie w przypadku wojny z Azerbejdżanem nie byłoby, a dysproporcja sił jest tak rażąca, że Irańczycy bez trudu pokonaliby przeciwnika. Tyle że oznaczałoby to dalszą eskalację. Szef tureckiej dyplomacji Hakan Fidan zapowiedział już, że turecka armia zareaguje natychmiast w przypadku ataku Iranu na Azerbejdżan. To natomiast prowadziłoby do całkowitej destabilizacji nie tylko Kaukazu Południowego, lecz także Bliskiego Wschodu. Iran aktywowałby bowiem swoich sojuszników, w szczególności irackie oddziały szyickie (Haszed Szaabi) i libański Hezbollah. Do wojny mogliby dołączyć też al-Asad, gdyż Turcja wciąż okupuje część Syrii, oraz z całą pewnością Partia Pracujących Kurdystanu (PKK), która przy wsparciu Iranu atakowałaby Turcję na jej terytorium.

Chociaż art. 5 NATO nie miałby zastosowania, to sam fakt udziału państwa NATO w takiej wojnie byłby dla sojuszu wyzwaniem, i to w sytuacji trwającej wciąż wojny na Ukrainie. Poza tym w konflikt zamieszany byłby jeszcze jeden ścisły sojusznik USA, tj. Izrael, o którym były szef irańskiego MSZ, Dżawad Zarif, powiedział kiedyś, że jest gotów walczyć z Iranem do „ostatniego amerykańskiego żołnierza". Izrael od dawna marzy o wojnie z Iranem, ale nie takiej, którą musiałby prowadzić on, lecz takiej, w którą zaangażowane byłyby USA i… sojusznicy. USA mogą jednak zapobiec tej katastrofie, jeśli sami zablokują planowaną przez Azerbejdżan inwazję. Wtedy przegra Rosja, bo będzie musiała opuścić Kaukaz Południowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Sowiecka polonofobia w ukraińskim kinie

Kadr z filmu filmu „Dowbusz"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Maciej Pieczyński

Tytułowy bohater filmu „Dowbusz" to szlachetny rozbójnik, który walczy o wolność dla swojej ziemi. Niestety, jego wrogami są Polacy, sportretowani w sposób skrajnie negatywny. W dobie wojny z Rosją ukraińskie kino krzepi serca za pomocą antypolskiej propagandy, co przyznają sami ukraińscy recenzenci. Reżyser zaś w swoich wywiadach atakuje Polskę

To są moje góry! To ja jestem tutaj gazdą! A kto przyjdzie do mojej chaty i będzie mi prawić, jak mam żyć, ten wypluje własną wątrobę. Bóg mi świadkiem!" – ta fraza pojawiła się na billboardach na zachodzie Ukrainy już w pierwszych tygodniach pełnowymiarowej wojny z Rosją. Prawie półtora roku przed wielokrotnie przekładaną premierą filmu, z którego pochodzą. Pierwsze dwa zdania stały się popularnym patriotycznym hasłem. W filmie „Dowbusz" wypowiada je brat głównego bohatera. Obaj są opryszkami, czyli huculskimi zbójnikami, walczącymi o swoją ziemię z przeważającymi siłami wroga. Nic więc dziwnego, że film może być uważany za alegorię obecnej sytuacji. Problem jednak w tym, że dziś Ukraina broni się przed agresją Rosji. Tymczasem pozytywni bohaterowie filmu Ołesia Sanina walczą o wolność z Polakami. Tymi samymi Polakami, którzy udzielili Ukraińcom bezprecedensowego wsparcia po 24 lutego 2022 r.

O patriotycznej wymowie filmu świadczy to, że premierę miał 24 sierpnia, w Dniu Niepodległości Ukrainy. Został też wyświetlony w Niemczech. W Internecie jest niedostępny. Osobiście filmu jeszcze nie obejrzałem. Dlatego też od razu zaznaczę – ten tekst nie jest recenzją, tylko refleksją na temat dyskusji, którą film wywołał. Jednak zarówno zwiastuny, jak i recenzje ukraińskich autorów pozwalają się domyślać, że wymowa „Dowbusza" jest antypolska. Pośrednio potwierdził to zresztą sam reżyser. Ołeś Sanin otwarcie przyznał, że przeniósł polską premierę filmu na okres po wyborach, ponieważ obawia się, że dzieło mogłoby zostać wykorzystane przez antyukraińskich radykałów.

OPRYSZEK BOHATEREM

Oficjalne zwiastuny „Dowbusza" nie pozostawiają wątpliwości co do tego, kto odgrywa rolę czarnego charakteru. „Myślicie, że jesteście wolnymi ludźmi?" – pyta kpiąco polski szlachcic huculskich zbójników. I dodaje: „Jesteście naszą własnością". „Ja tego im nie daruję!" – obiecuje Ołeksa Dowbusz, patrząc na zgliszcza spalonej chaty. „Zatrzymamy wroga i damy ludziom wolność!" – deklaruje. Swoją ukochaną przekonuje, że nie chce uciekać, ponieważ chce „żyć tutaj, na swojej ziemi". Napisy na ekranie informują widza, że w kinie obejrzy „legendarną bitwę", walkę z „obcą przemocą", „o swoją ziemię", „o swoich ludzi", „o jedną prawdę".

Tymczasem sam Ołeksa Dowbusz był zwykłym zbójnikiem, który w pierwszej połowie XVIII w. rabował dwory szlacheckie, wsie i miasteczka na Huculszczyźnie. Czyli na terenie Rzeczypospolitej. Tak się składa, że chłopstwo (z którego rekrutowała się banda opryszków) było w większości ukraińskie (a dokładniej: huculskie), szlachta zaś – polska. Nic jednak nie wiadomo o tym, by Dowbuszem i jego ludźmi w jakimkolwiek stopniu kierowały pobudki narodowowyzwoleńcze. Co więcej, słynny opryszek, jako pogromca „polskich panów", był obiektem państwowego kultu w ZSRS. Po raz pierwszy jego historię przeniesiono na srebrny ekran w 1959 r. Zainteresowanie postacią zbójnika nie zniknęło nad Dnieprem również po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości. Ponownie o Dowbuszu opowiedział reżyser Serhij Skobun w filmie „Legenda Karpat". Premiera miała miejsce w marcu 2018 r.

Kilka miesięcy później ruszyły zdjęcia do filmu Ołesia Sanina. Zamysł powstał zatem długo przed pełnoskalową inwazją rosyjską. Premiera była przekładana – najpierw z uwagi na pandemię koronawirusa, następnie z powodu wojny właśnie. Nie można więc stwierdzić, że Sanin postanowił sportretować „złych Polaków" już wówczas, gdy Polska ratowała Ukrainę przed zagładą państwowości. To jednak nie zmienia faktu, że najważniejszym i najbardziej masowym wydarzeniem kulturalnym narodowego święta Ukraińców w drugim roku wojny z Rosją stało się wejście do kin filmu opisującego walkę z „polskim okupantem". Polska pomoc w walce z agresorem nie była, jak widać, wystarczającym argumentem na rzecz kolejnego przełożenia premiery.

W tym kontekście warto przypomnieć, jak ostrą reakcję nad Dnieprem wywołał „Wołyń" Wojciecha Smarzowskiego. Film uczciwy i niejednoznaczny, pokazujący nie tylko banderowskie ludobójstwo, lecz także polskie akcje odwetowe, niechęć polskich osadników do ukraińskich chłopów czy antyukraińską politykę II RP.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

„Wołyń" pojawił się w polskich kinach jesienią 2016 r., gdy jeszcze agresja rosyjska miała hybrydowy charakter. A mimo to w ukraińskich mediach okrzyknięty został „prezentem dla kremlowskiej propagandy", przykładem „kina rozbratu", „próbą dokonania aborcji na relacjach między Kijowem a Warszawą", „kiczem zła", „demonizacją UPA". Były szef ukraińskiego MSZ Borys Tarasiuk publicznie sugerował, że Smarzowski powinien zostać objęty zakazem wjazdu na Ukrainę, film zaś – zakazem projekcji. Planowany pokaz „Wołynia" w Kijowie został odwołany. Ówczesny szef Ukraińskiego IPN, Wołodymyr Wjatrowycz, zrównał film z komunistyczną propagandą. Wybitny pisarz Jurij Andruchowycz przyznał, że „Wołynia" nie oglądał, ale jednocześnie potępił dzieło Smarzowskiego jako antyukraińskie. Swoją „recenzję" zatytułował wdzięczną frazą – „poje.ane pojednanie".

„ROZRYWKA" PEŁNA STEREOTYPÓW

Nie wiadomo, jaki będzie odbiór „Dowbusza" w Polsce, ale już teraz słychać głosy, że przecież to tylko „ukraiński Janosik", a cała opowieść więcej ma wspólnego z baśnią niż z polityką historyczną. Żeby przekonać się, jak naiwne to podejście, wystarczy posłuchać samego reżysera. Na pytanie Ołeny Sołodnikowej z portalu Ukrainian Media, czy obraz powinien trafić do kin akurat w momencie, gdy Polacy ramię w ramię z Ukraińcami stawiają opór „rusni" [pogardliwie o Rosji – przyp. red.], Sanin odpowiedział: „W moim filmie antagonistami nie są Polacy", tylko „ludzie, którzy gnębili samą Polskę, przez co potem wydarzyła się rewolucja oraz zniesienie prawa pańszczyźnianego". Jak widać, znajomość historii nie jest mocną stroną reżysera, który nie dość, że powtarza komunistyczną propagandę, to jeszcze myli chronologię. Najpierw zaborcy Polski znieśli pańszczyznę, a dopiero kilka dekad później wybuchła rewolucja.

W tym samym wywiadzie Sanin stwierdził, że jeśli Polacy dziś wypominają Ukraińcom rzeź wołyńską, to „dlatego, że Rosja płaci konkretnym ludziom pieniądze, żeby taka narracja funkcjonowała na ich rynku. Podobnie polscy handlarze, którzy zabraniają sprzedaży ukraińskiego zboża u siebie, wszyscy oni są związani z Federacją Rosyjską". Żadnych dowodów na to nie przedstawia. Dziennikarka nie reaguje.

Dalej jednak Sanin łagodzi przekaz. Podkreśla, że w czasach Dowbusza nie było jeszcze Ukrainy w jej dzisiejszym kształcie, podobnie jak zresztą innych państw narodowych, a słowo „Hucuł" pochodzi z języka węgierskiego i oznacza bandytę. Ponadto „opryszkowie byli wrogami Rzeczypospolitej", więc nie można tej historii przekładać na współczesność. Reżyser zaznacza też, że film opiera się nie tyle na realnych wydarzeniach, ile na legendach o zbójniku. Ten zaś walczył nie tyle z Polakami, ile z polską szlachtą, a do jego bandy należał nawet jeden Polak.

„Dowbusz" to najdroższy w historii film ukraiński. Kosztował 120 mln hrywien, z czego 65 mln sfinansowało państwo. Kyryło Pyszczykow porównał obraz z popularnym serialem fantasy „Gra o tron". Zdaniem Alony Szyłowej z portalu Suspilne „Dowbusz" to przede wszystkim film przygodowy. Rozrywka, a nie dokument. Jak jednak zauważa recenzentka, Polacy zostali przedstawieni stereotypowo – są „zdradliwi, strachliwi i nieuczciwi". „W kontekście pełnoskalowej inwazji Rosji znaczenie filmu rośnie wielokrotnie […]. Wyrazista ekranizacja legendy o ukraińskim bohaterze, który walczy o wolność swoich ludzi z najeźdźcami, niewątpliwie wywołuje szeroką paletę emocji w obecnych warunkach" – podsumowuje Szyłowa.

Na koniec warto przytoczyć krytyczny głos ukraińskiego recenzenta, który w antypolskiej wymowie filmu nie widzi niczego pozytywnego. „Sowkowe [sowek – pogardliwie o obywatelu ZSRS – przyp. red.] wino musujące [ukr. ihryste, czyli rosyjskie igristoje – chodzi o słynnego „sowieckiego szampana" – przyp. red.] w hollywoodzkim bukłaku" – tak Nazar Kiś podsumowuje obraz Ołesia Sanina. Krytyk filmowy przyznaje, że „Dowbusz" jest od strony technicznej nakręcony bardzo sprawnie, w iście amerykańskim stylu.

Z jednej strony jest to rozrywkowe kino akcji, więc trudno się oburzać na nieścisłości historyczne czy na „parszywą" grę aktorów wcielających się w negatywnych bohaterów. Jednak – jak zauważa Kiś – ze stereotypami na temat historii należałoby pracować mądrzej. Twórcom filmu zarzuca „sowkową, wyrafinowaną polonofobię", „czystą jak łza komosomołki". Co prawda, reżyser próbował jakoby winę za konflikt z Polakami zrzucić na Rosjan, ale według krytyka zrobił to tak, jakby chciał jedynie „odhaczyć" obowiązkową w obecnych czasach wzmiankę o „ręce Moskwy". Ponadto Sanin starał się pokazać, że narodowość nie gra roli. To jednak udało się jedynie w przypadku Żydów. „Z Polakami całkowita katastrofa. (Są przedstawieni jako) skończeni idioci, wampiry i sadyści" – opisuje Kiś. Polonofobia jest tak karykaturalna, że wywołuje skojarzenia z sowiecką propagandą z lat 70. Jedyny „dobry Polak" to opryszek, więc się nie liczy. Podobnie jak ukraiński bohater w sowieckich filmach o drugiej wojnie światowej, który był potrzebny tylko po to, aby zginąć, żeby bohaterscy Rosjanie zdobyli Berlin.

ŻADNYCH PÓŁCIENI

„Dowbusz" przedstawia czarno-biały podział na „polskich ciemiężców i ukraińskie ofiary". Nie ma Ukraińców służących u polskich panów. Ani Polaków, którzy nie byliby złą elitą. Nie ma żadnych półcieni. „Szczęśliwie" pozytywnym bohaterom udaje się ostatecznie „wyrżnąć złych Polaków". „Szkoda. Były wszelkie możliwości (ciekawa historia, piękne obrazy), żeby przedstawić jakąś bardziej złożoną ideę niż »tutaj jest nasza ziemia«" – ubolewa Nazar Kiś.

Ukraińskie media prognozowały, że na rodzimym rynku film na siebie nie zarobi. Potrzebna będzie dystrybucja za granicą. W „Dowbuszu" jest zresztą tyle kwestii po polsku, że twórcy mogli od razu pomyśleć o polskim rynku. Tylko wówczas trzeba byłoby dodać dramatyzmu i złagodzić przesłanie. Wystarczyłoby „nie robić degeneratów ze wszystkich Polaków". Ołeś Sanin wybrał jednak inaczej. „Ja bym Polakom tego filmu nie pokazywał" – przyznaje ukraiński krytyk filmowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

PAPIESKI CZŁOWIEK PRZECIW ZAPORZE NA GRANICY

Wysłannik papieża, kard. Matteo Zuppi, stwierdził ostatnio w Berlinie na Międzynarodowym Spotkaniu Pokojowym, że granice „tworzą więcej problemów, niż rozwiązują". Odniósł się w szczególności do granicy polsko-białoruskiej i sytuacji z ogrodzeniem. Określił ją jako „nie do zniesienia". Duchowny uznał, że należy uwolnić się od dzielących barier i zacząć od znoszenia tych w umysłach. Kardynał Zuppi rozumie, że ogrodzenie na granicach ma zapobiegać niekontrolowanemu napływowi uchodźców, jednak podkreślał, że jest powodem wielu cierpień.

PSEUDOWYBORY POD LUFAMI

Kreml zorganizował wybory na okupowanych rejonach Ukrainy. Państwowa telewizja relacjonująca plebiscyt pokazała nagrania, na których „mieszkańcy" cieszą się z przynależności do Rosji i chwalą Władimira Putina. Ukraińskie media podały, że wybory odbyły się „pod lufą karabinów", a członkowie komisji wyborczych, które zostały utworzone przez władze okupacyjne, jeździli po domach ludzi i siłą przymuszali ich do oddawania głosów. Głosujących przywożono do urn autobusami.

ROZBROJONE POMNIKI

Pułkownik ministerstwa obrony w Rosji Ilja Timofiejew został aresztowany za demilitaryzowanie czołgów. Z maszyn tworzone były... pomniki. Pułkownik miał przyjmować łapówki od biznesmenów demilitaryzujących wojskowy sprzęt rosyjski. Nie przyznał się do winy, jednak sąd umieścił go w areszcie w obawie, że zbiegnie on do Europy przez Białoruś.

OSTRZELALI FLAGĘ NA BALONIE

Ukraińcy wypuścili w powietrze flagę 25 km od Doniecka, chcąc w ten sposób upamiętnić 245. rocznicę założenia miasta. Żołnierze Władimira Putina wściekli się na widok flagi ukraińskiej uwiązanej do balonika z helem. Zaczęli do niej strzelać. W ten sposób ujawnili swoje położenie. Dzięki temu Ukraińcy przeprowadzili udany atak na pozycje nieprzyjaciela.

UJAWNIŁ ZBRODNIĘ W PIOSENCE

W USA 25-letni raper Kenjuan McDaniel został oskarżony o zabójstwo po tym, jak przyznał się do popełnionej zbrodni w tekście jednej ze swoich piosenek. Podał w niej informacje, do których mógł mieć dostęp jedynie morderca 31-letniego mężczyzny postrzelonego w głowę 18 września w 2021 r. Utwór nosi tytuł „Fadee Free" i został opublikowany m.in. w serwisie YouTube. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Koniec z ekościemą?

Jeszcze niedawno firmy prześcigały się, która jest bardziej ekologiczna, chwaląc się wszem wobec, że są bardziej zielone od konkurentów. Zacięta rywalizacja na tym polu sprawiła, że w ostatnich latach szybko rosła liczba przedsiębiorstw – w tym międzynarodowych korporacji – które przyłapywano na stosowaniu tzw. greenwashingu. Po angielsku brzmi to nawet przyzwoicie, chodzi jednak po prostu o ekościemy, czyli próbę mydlenia oczu klientom i stworzenia wrażenia, że firma podejmuje działania lub wprowadza na rynek produkty, które są dobre dla natury, a tymczasem uprawia ona jedynie zwykły marketing, który z troską o planetę nie ma kompletnie nic wspólnego. I nie chodzi tu tylko o ekogroszek... Hasła na produktach typu „w zgodzie z naturą" czy „w trosce o środowisko" można przecież umieścić nawet na największej truciźnie. Można też pominąć część niewygodnych informacji. Złapane na oszustwie firmy zamiast wizerunkowych korzyści ponosiły straty.

Poza tym niektórzy konsumenci mają już dość „zielonej poprawności politycznej". Na Zachodzie na popularności zyskuje więc inny trend, a mianowicie greenhushing. To sygnał, że szaleństwo bycia eko we wszystkim i zawsze powoli mija.

Greenhushing oznacza strategię, w ramach której firmy celowo przestają się chwalić, że są „zrównoważone", „odpowiedzialne" czy „przyjazne dla środowiska", i to nawet wówczas, gdy firma rzeczywiście podejmuje jakieś działania proekologiczne. Takie działanie jest bezpieczniejsze – nie naraża bowiem przedsiębiorców na protesty nawiedzonych zielonych ani na kary od federancji konsumentów. Oby szybko nadeszły też odtrutki na tzw. cancel culture i łołk...

eprasa.pl 60aa5cfbaf

*DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW**

NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.
WŁĄCZ REPUBLIKĘ O 19:00.

REPUBLIKA

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Główne wydanie serwisu informacyjnego Telewizji Republika „DZISIAJ" zmienia godzinę emisji na 19:00.

Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Chińczycy wjeżdżają do Europy

Jacek Przybylski

Chiny są na najlepszej drodze, aby w tym roku wyprzedzić Japonię i stać się oficjalnie największym eksporterem samochodów na świecie. Czy to definitywny koniec ery dominacji aut niemieckich, francuskich, amerykańskich i południowokoreańskich?

Chiński eksport samochodów już w 2021 r. był wyższy niż Korei Południowej. W ubiegłym roku Chińczycy wyprzedzili Niemców. Naprawdę przełomowy był jednak wynik za pierwsze półrocze obecnego roku. Koncerny motoryzacyjne z Państwa Środka wyeksportowały w ciągu pierwszych sześciu miesięcy obecnego roku aż 2,34 mln samochodów. Dynamika wzrostu była niesamowita: w porównaniu z pierwszym półroczem 2022 chiński eksport urósł aż o 77 proc. Rekordowa sprzedaż pozwoliła Chińczykom wyprzedzić Japończyków (którzy sprzedali za granicę 2,02 mln aut, o 17 proc. więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku) i wszystko wskazuje na to, że w całym roku 2023 królami eksportu samochodów pozostaną koncerny z Państwa Środka.

Chińczycy coraz śmielej wjeżdżają na europejski rynek. Doskonale pokazały to wrześniowe targi IAA Mobility w Monachium. Europejska wystawa samochodów w stolicy Bawarii zmieniła się w tym roku w wielki pokaz siły chińskich producentów. I nie chodzi tylko o to, że Chińczyków było w Monachium dwukrotnie więcej niż dwa lata temu (ok. 40 proc. wystawców na tegorocznych targach IAA ma swoje siedziby w Azji). Zwiedzający mogli oglądać kilka dopracowanych modeli aut takich marek jak Avatr, BYD, Xpeng czy MG.

Koncern BYD zaprezentował sześć premierowych modeli, w tym – pierwszy raz na europejskim rynku – model Denza D9. Dotąd Denza znana była jako luksusowa marka służąca do transportu najważniejszych osób z chińskich władz oraz najbogatszych rodzin w Państwie Środka. Mierząca 5,25 m długości i 1,96 m szerokości Denza D9 w Europie oferowana jest wyłącznie jako auto typowo elektryczne w wersji z napędem na jedną oś i mocą 313 KM oraz w wersji z napędem na cztery koła o mocy 374 KM. Auto jest też wyposażone w akumulator Blade LFP, co ma zapewnić zasięg przekraczający 500 km na jednym ładowaniu. W luksusowo wykończonym wnętrzu znajduje się zaś m.in. 16-calowy wyświetlacz.

BYD Seal to z kolei auto, które może stanowić wyzwanie nie tylko dla amerykańskiej Tesli, lecz także nawet dla Porsche Taycana. Model dostępny jest w wersji z napędem na jedną oś (ma wówczas 310 KM) lub na dwie (523 KM). Bateria o pojemności 82,5 kWh pozwala przejechać na jednym ładowaniu ok. 520–570 km. Cena w Europie ma wahać się w okolicach 45–50 tys. euro.

Z kolei należący do SAIC MG Motor pokazał Europejczykom sportowe cacko o nazwie Cyberster. Dwa silniki elektryczne generują 536 KM (maksymalny moment obrotowy wynosi 725 Nm), które potrafią rozpędzić to dwumiejscowe cacko od zera do 100 km/h w zaledwie 3,2 s. Auto jest wyposażone w baterię o pojemności 77 kWh, dzięki której może, według deklaracji producenta, przejechać ok. 570 km. Do tego hamulce Brembo i układ jezdny dostrojony przez Marca Fainellę, znanego choćby z pracy nad Ferrari FXX-K – pierwszą hybrydą tej marki – czy 458 GTE „Le Mans". Chiński samochód sportowy ma robić wrażenie nie tylko wyglądem, „nożycowymi" drzwiami i wyśrubowanymi osiągami, lecz także wyjątkowo atrakcyjną ceną, która w przeliczeniu miałaby oscylować w okolicach 200 tys. zł.

Pierwszy raz na targach w Monachium obecna była również firma XPENG, której przestronny sportowy sedan P7 o za-

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Xpeng P7 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

sięgu wynoszącym ok. 570 km jest już w sprzedaży na czterech europejskich rynkach (w Szwecji, Norwegii, Danii oraz Holandii).

ROSNĄCE ZAGROŻENIE

Jak widać tylko na powyższych przykładach chińskie koncerny motoryzacyjne – ku przerażeniu europejskich konkurentów – odrobiły lekcję i znacząco poprawiły jakość produkowanych przez siebie aut. Znacząco ulepszyły również wzornictwo. Dzięki temu mocno rozpychają się nie tylko na rynkach azjatyckich (np. w Tajlandii udział chińskich aut w rynku osobówek wzrósł z 9,4 proc. w ubiegłym roku do 15,3 proc. w pierwszej połowie roku obecnego).

Chińczycy szturmem wjeżdżają również na europejskie rynki, kusząc klientów m.in. bardzo atrakcyjnymi cennikami. Według firmy doradczej Jato Dynamics chińskie samochody elektryczne są średnio o 30 proc. tańsze niż ich odpowiedniki produkowane w krajach Unii Europejskiej czy w Stanach Zjednoczonych.

Jak na początku września podał Reuters, sprzedaż chińskich pojazdów elektrycznych w Europie, w tym pojazdów takich producentów jak BYD, Nio czy Xpeng, w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy obecnego roku wzrosła o niemal 55 proc. do ok. 820 tys. pojazdów i stanowiła 13 proc. całkowitej sprzedaży pojazdów elektrycznych w Europie. Nawet w Niemczech – gdzie patriotyzm gospodarczy, a zwłaszcza zamiłowanie do niemieckich marek samochodów jest na wysokim poziomie – chińskie auta zdobywają coraz większy udział na motoryzacyjnym rynku. I chociaż wśród obcych marek za Odrą prym wciąż wiodą marki japońskie (mają 7,5 proc. rynku), to chińscy producenci zagarnęli już sobie 3,8 proc. motoryzacyjnego tortu. To sporo, zważywszy na to, że obecni w Niemczech od dekad Francuzi mają udział w rynku na poziomie 5,5 proc. Według analiz firmy Allianz, przytaczanych przez dziennik „Financial Times", sprzedaż chińskich elektryków może sięgnąć w 2030 r. 1,5 mln sztuk.

Niemcy od dawna ostrzegają polityków, by nie lekceważyć chińskiej konkurencji. Na alarm biją również Francuzi. „Musimy zniwelować różnicę w kosztach w porównaniu z niektórymi chińskimi graczami, którzy zaczynali od pojazdów elektrycznych pokolenie wcześniej" – powiedział Reutersowi dyrektor generalny Renault, Luca de Meo, zaznaczając, że jeśli uda się obniżyć koszty produkcji, to będzie można też obniżyć ceny. Cytowany przez CNN dyrektor generalny BMW, Oliver Zipse, ostrzegł zaś, że unijny zakaz sprzedaży nowych pojazdów spalinowych (ma wejść w życie w 2035 r.) oraz rosnąca konkurencja ze strony Chin mogą wypchnąć europejskich producentów samochodów z produkcji samochodów przeznaczonych na rynek masowy.

Francuski minister finansów Bruno Le Maire już kilka miesięcy temu ogłosił zmianę subsydiowania zakupu elektryków, która miała pomóc rodzimym producentom. Dotacje na zakup nowego elektryka w wysokości od 5 do 7 tys. euro przysługują bowiem w zależności od emisji $C0_2$ ich producentów, a tymczasem przemysł w Chinach nadal bazuje głównie na węglu. Ten pomysł okazał się jednak niewystarczający, a władze w Paryżu żądają od Brukseli zdecydowanych działań, w tym podwyższenia cła na chińskie auta (obecnie wynosi ono 10 proc.). W walkę z chińską konkurencją dla francuskiego przemysłu motoryzacyjnego zaangażował się sam prezydent Emmanuel Macron.

Przeciwne radykalnym rozwiązaniom są jednak władze w Berlinie, które boją się, że gdyby Pekin odpłacił Europie tym samym, straciłyby na tym głównie niemieckie firmy, dla których chiński rynek ma ogromne znaczenie.

MG Cyberster FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Bruksela uczyniła jednak ukłon w stronę Paryża. Pod wpływem francuskich nacisków niemiecka przewodnicząca Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen, oznajmiła 13 września 2023 r., podczas tradycyjnego dorocznego orędzia o stanie Europy, że wprawdzie Stary Kontynent jest otwarty na konkurencję, ale Europejczycy muszą się bronić przed nieuczciwymi praktykami. I wprost wskazała na chińskie auta. – Ich cenę sztucznie zaniża się ogromnymi państwowymi dotacjami. To zniekształca nasz rynek, a ponieważ nie akceptujemy takich działań na naszym rynku, przeprowadzanych wewnątrz Unii Europejskiej, nie akceptujemy ich również, gdy mają miejsce na zewnątrz wspólnoty – oznajmiła Niemka. Od razu tego samego dnia unijni urzędnicy wzięli się ostro do pracy. Powołana została specjalna komisja śledcza, która natychmiast rozpoczęła dochodzenie w sprawie potencjalnie nieuczciwych praktyk Pekinu. Śledztwo ma potrwać kilkanaście miesięcy, a jego wynik ma dać pretekst Brukseli do podjęcia stosownych działań ochronnych.

Jeśli jednak chce się rzetelnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego chińskie auta elektryczne są tak dużo tańsze niż europejskie, wystarczy skupić się na jednym, kluczowym elemencie: akumulatorze. Chińczycy mają większe od Europejczyków doświadczenie w produkcji baterii do samochodów – co przez lata zadowalało decydentów na Zachodzie, którzy chętnie otwierali w Państwie Środka kolejne fabryki, ciesząc się z taniej chińskiej siły roboczej, a jednocześnie transferując do Chin kolejne technologie. Poza tym dzięki kontroli nad całym łańcuchem produkcji elementów i surowców do baterii – stanowiących nawet 40 proc. kosztów wytworzenia pojazdu elektrycznego – mogą oferować swoje pojazdy znacznie taniej niż konkurenci z Europy, Japonii czy USA, nawet bez żadnych państwowych dotacji. I choćby dzięki temu – a także dzięki zażartej rywalizacji na krajowym rynku – z prostych montowni zachodnich aut motoryzacyjne koncerny w Państwie Środka przekształciły się w producentów, którzy rozwijając jednocześnie własne technologie, wkrótce z uczniów mogą zamienić się w mistrzów.

Wystarczyłoby, nie czekając na wynik unijnego „śledztwa", ograniczyć sabotaż ze strony brukselskich eurokratów, aby znacząco zwiększyć szanse koncernów ze Starego Kontynentu w rywalizacji z globalnymi gigantami.

DOTACJA NA E-CHIŃCZYKA

Chińczykom mocno sprzyja bowiem np. zielona rewolucja, promowana w zazwyczaj bezmyślny sposób przez Brukselę, w tym coraz mocniejsze przykręcanie śruby producentom aut spalinowych i postawienie wszystkiego na jedną kartę: tzw. samochody bezemisyjne.

Największym zagrożeniem dla europejskich marek są takie chińskie potęgi, jak BYD – w tym roku producent wszedł z ofertą aut elektrycznych do 15 krajów Europy, otwierając ponad 140 salonów w Wielkiej Brytanii, Niemczech, we Francji, Włoszech i w Hiszpanii – czy należący do koncernu SAIC MG Motor, którego szefowie pochwalić się mogą sprzedażą ponad 100 tys. aut w Europie w ciągu zaledwie sześciu pierwszych miesięcy tego roku.

Kiedy chińskie auta będzie można kupić nad Wisłą? Polscy klienci już mogą wybierać z bogatej oferty m.in. takich marek jak BYD, LEVC, Maxus, Nio, Seres czy Skywell. A do rychłej ofensywy nad Wisłą szykują się już takie marki jak OMODA czy JARCOO.

Dla przykładu: za sześcioosobowy elektryczny minivan EUNIQ5 o mocy 177 KM z baterią o pojemności 70 kWh i pięcioletnią gwarancją trzeba zapłacić ok. 246 tys. zł brutto. Sześcioosobowy EUNIQ6 o mocy 177 KM i z baterią 70 kWh to wydatek rzędu 222 tys. zł.

W Polsce od ponad roku można też kupić np. elektryczny SUV Skywell ET5 o mocy 204 KM i maksymalnym zasięgu wynoszącym 520 KM, za który w wersji Comfort trzeba zapłacić 209 tys. zł (w kwietniu 2022 r. było to niecałe 200 tys. zł).

Maxus oferuje nie tylko samochody dla przeciętnego Kowalskiego, lecz także auta dla firmowych flot. W sierpniu tego roku Poczta Polska poinformowała o zawarciu kontraktu z firmą Arval Service Lease Polska, która dostarczy 25 elektrycznych samochodów dostawczych Maxus e-Deliver 3 (producent auta chwali się, że to pierwszy na świecie samochód dostawczy, który od początku do końca jest zaprojektowany jako samochód elektryczny). Jak czytamy w komunikacie Poczty Polskiej, ładowność zamówionych aut wynosi do 905 kg. Chińskie dostawczaki wyposażone są w silnik elektryczny o mocy 90 KW oraz akumulator o pojemności 50,2 kWh, który pozwala przejechać na jednym ładowaniu ok. 371 km (WLTP mieszany). Łączna wartość kontraktu to niemal 4 mln zł.

Oczywiście koszt zakupu chińskich elektryków zarówno przeciętny Kowalski, jak i firmy – w tym Polska Polska – mogą jednak obniżyć po złożeniu wniosku dotacji w programie „Mój elektryk". Rząd Mateusza Morawieckiego może się więc pochwalić, że z kieszeni polskich podatników wspiera dzielnie chińską gospodarkę. Kto bogatemu zabroni…

Denza D9 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rząd zamyka polskie firmy

Po co Polsce małe polskie firmy, skoro może mieć duże firmy zagraniczne?

To logika, zgodnie z którą zdaje się od kilku lat działać polski rząd. A nawet jeśli działa zgodnie z inną (odwrotną?), to robi to na tyle nieudolnie, że efekty są właśnie takie: polskie firmy padają jak muchy, całymi tysiącami są zwijane – zawieszane lub zamykane albo po prostu bankrutują.

Tylko w pierwszej połowie 2023 r. przestało działać ponad 110 tys. z nich, co oznacza, że w całym roku los ten podzieli co najmniej 220 tys. Pierwsze półrocze to bowiem ledwie przygrywka przed końcówką tego roku i początkiem następnego, na co wskazuje recesja, która dopadła Polskę.

A zatem w 2023 r. bijemy rekord, który nie jest rezultatem przypadku. Bijemy rekord, na który w pocie czoła od lat pracuje cały rząd – od jego pierwszego ministra do ostatniego.

Dla porównania: w 2016 r. Polacy zawiesili działalność 27,3 tys. firm, w 2017 r. – 47,7 tys., w 2018 r. – 57,4 tys., w 2019 r. – 69,8 tys., w 2020 r. – 75 tys., w 2021 r. – 101,3 tys., a w 2022 r. – 167,5 tys. Ten zestawiony przez „Rzeczpospolitą" zapis to smutna historia unicestwiania polskich firm przez polski rząd, zwieńczona w 2023 r. owymi zawieszonymi w sumie – najpewniej – co najmniej 220 tys. z nich. To, co prawda, niezupełnie tak, ale niemal tak, jakby w tym jednym 2023 r. zaprzestała działalności co 10. działająca w Polsce polska firma.

A polski rząd, cóż… Jest w stanie wprost przychylić nieba byle zagranicznej firmce, obsypując ją miliardami złotych w ulgach podatkowych i dotacjach, byle tylko zechciała otworzyć u nas swe podwoje, najlepiej w asyście rządzących. Obsypując ją miliardami złotych, które najpierw bez skrupułów zabiera polskim przedsiębiorcom (i pracownikom ich firm), fundując im cios za ciosem – Polski Ład 2.0 po Polskim Ładzie 1.0, ogromną podwyżkę podatku zdrowotnego po ogromnej podwyżce podatku na ZUS, jedną po drugiej wielkie podwyżki płac minimalnych, jedną z najwyższych cen energii w UE, tysiące nowych regulacji każdego roku. I tak bez końca, w koło Ma… cieju!

Wszelako to historia, a przecież rząd już zastawił na polskich przedsiębiorców całą serię nowych pułapek, na czele z systemem elektronicznych faktur – i tylko wybory odwlekły w czasie wykonanie jeszcze i tego wyroku. A dopełnianie przez nich formalności wobec przeróżnych urzędów, w tym skarbowego, i tak zajmuje im już niemal 350 godzin w roku – dwa razy więcej niż średnio w państwach OECD.

Tak, że – zgodnie z planem rządu? – jeśli chodzi o Polaków, to wkrótce już tylko ludzie niespełna rozumu będą tu prowadzić własne firmy. A reszta będzie szukać etatu w zagranicznych lub państwowych. I rządowych zasiłków. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wielka afera wizowa

Gdyby na temat afery wizowej miała powstać komedia – najlepiej w Bollywood – mogłaby nosić tytuł „O człowieku, który ściągał nie tylko gacie". Jak pamiętają pasjonaci polityki, pan były wiceminister Piotr Wawrzyk przebił się do zbiorowej świadomości jeden jedyny raz: gdy podczas wywiadu na żywo w I Programie Polskiego Radia, transmitowanym także w formie wideo, usiłował niepostrzeżenie ściągnąć gacie z oparcia fotela, na którym siedział. Jak się jednak teraz okazuje, pan wiceminister ściągał nie tylko gacie, lecz także nielegalnych imigrantów z Indii.

Nie ma wątpliwości, że korupcja wchodzi tu w grę, że sprawą zajęło się CBA i że mówimy przynajmniej o kilkuset przeszmuglowanych osobach

Historia wydaje się tak skrajnie groteskowa, że aż nieprawdopodobna. Fałszywi filmowcy z Bollywood, 25-letni asystent wiceministra naciskający na konsulów, nielegalny kanał przerzutowy do USA z Meksyku… Szczegóły można znaleźć w tekście Andrzeja Stankiewicza na Onecie. Rząd stara się sprawę bagatelizować i twierdzi m.in., że to polskie służby wpadły na trop afery, nie potrzebując do tego informacji od Amerykanów. Nie ma jednak wątpliwości, że korupcja wchodzi tu w grę, że sprawą zajęło się CBA i że mówimy przynajmniej o kilkuset w istocie przeszmuglowanych osobach. Jednak stanowisko rządu w żadnym punkcie – poza kwestią impulsu, który miał zainicjować postępowanie – nie przeczy informacjom Onetu.

Ważniejsze dla rządzących jest jednak to, co z tej sprawy zostanie w głowach ludzi. Otóż zostanie ciąg skojarzeń, prostych i bardzo memicznych: Wawrzyk – gacie Wawrzyka na oparciu – Bollywood – fałszywi filmowcy – Natalia Janoszek – asystent Wawrzyka jako Misiewicz 2.0. To dla PiS poważne zagrożenie, bo najtrudniej jest walczyć z kpiną zawartą w obrazkach, w dodatku uderzającą w samo serce przekazu władzy: to my zapewnimy wam bezpieczeństwo i ochronę przed nielegalną imigracją.

Przy tym wszystkim jedno jest intrygujące. Jak to się stało, że ktoś taki jak Piotr Wawrzyk w ogóle na kierowniczym stanowisku się znalazł? Ktoś go tam przecież zarekomendował, ktoś go zatwierdził – i raczej nie był to minister Rau, który w obozie władzy nic do gadania nie ma. Czyżby legendarna już „szczęśliwa" ręka do ludzi pana prezesa? ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

„Europa u progu zmian"

Blisko 5 tys. uczestników z ponad 60 krajów, 470 debat oraz wiele wydarzeń towarzyszących – to bilans tegorocznej edycji Forum Ekonomicznego w Karpaczu, czyli największej platformy dyskusyjnej w Europie Środkowo-Wschodniej

XXXII Forum Ekonomiczne odbyło się pod hasłem: „Nowe wartości Starego Kontynentu – Europa u progu zmian". Przy jego organizacji pracowało ponad 2 tys. osób. O wyzwaniach, które czekają Europę, rozmawiali najważniejsi politycy, przedsiębiorcy, dziennikarze, naukowcy i eksperci. – Nawet najwięksi entuzjaści globalizacji mają już świadomość, że są granice, których przekroczyć już się nie da – wskazywał Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego i założyciel fundacji Instytut Studiów Wschodnich.

Tegoroczne dyskusje odbywały się w ramach bloków tematycznych: Nowa gospodarka, Nowe technologie, Cyfryzacja, Człowiek i kultura, Europa w świecie, Odbudowa Ukrainy, Państwo i reformy oraz Polityka międzynarodowa. W panelach i kuluarach rozmawiano więc nie tylko o palących tematach dotyczących Polski, lecz także regionu, Europy i świata.

Wśród zagranicznych gości byli m.in. prezes Portugalskiej Agencji Kosmicznej Ricardo Conde, specjalny przedstawiciel UE w regionie Sahelu Emanuela Claudia Del Re, autor książkowych bestsellerów oraz ekspert z zakresu relacji USA – Chiny, generał Amerykańskich Sił Powietrznych Robert Spalding czy prawnuk Nelsona Mandeli, konsultant do spraw praw człowieka Siyabulela Mandela.

Podczas pierwszej, otwierającej XXXII Forum Ekonomiczne, sesji plenarnej pt. „Kształtując nowy porządek świata" paneliści zastanawiali się, jak będzie wyglądał świat po wojnie na Ukrainie, a także czy możliwa jest w ogóle współpraca między państwami, które mają różne wizje porządku światowego. – Wojna w Ukrainie pokazała, że USA wróciły do Europy kilka lat po tym, kiedy uznaliśmy, że Ameryka skoncentruje się na Pacyfiku. Jak się okazuje, Europejczycy są uzależnieni od technologii i bezpieczeństwa oferowanych przez Stany Zjednoczone i to Amerykanie w tej chwili kreują innowacyjność i postęp – wskazywał w podsumowaniu Zygmunt Berdychowski.

Drugi dzień otworzyła sesja „Nowe wartości Starego Kontynentu – Europa u progu zmian", na której rozmawiano m.in. o przyszłości i dalszym rozwoju

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Unii Europejskiej i regionu, znaczeniu energetyki jądrowej i różnym podejściu do wojny na Ukrainie w UE. Z kolei trzeci dzień Forum otworzyła sesja plenarna „Scenariusze dla bezpiecznego świata".

– Cieszę się, że Dolny Śląsk jest miejscem organizacji międzynarodowego Forum Ekonomicznego. To wydarzenie spełniło swoje zadanie. Jestem pod ogromnym wrażeniem tegorocznych dyskusji – oceniał Cezary Przybylski, marszałek województwa dolnośląskiego.

NAGRODY FORUM EKONOMICZNEGO

Zgodnie z tradycją Forum Ekonomicznego w Karpaczu został wybrany Człowiek Roku. W ubiegłym roku został nim prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Tym razem Rada Programowa zdecydowała, że zostanie nim ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Mark Brzezinski. – Jak niewielu z nas na tej sali symbolizuje trudne losy Europy Środkowo-Wschodniej. Przywiązany do swoich korzeni [...]. Amerykańska obecność w tej części Europy to tak naprawdę jedyna gwarancja naszego bezpieczeństwa. W sztafecie pokoleń ludzi broniących wolności Zbigniewa Brzezińskiego zastępuje Mark Brzezinski – mówił Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego.

Podczas swojego wystąpienia Mark Brzezinski m.in. wyraził wdzięczność Polakom za pomoc, którą niosą uchodźcom z Ukrainy, jak również odniósł się do zbliżających się wyborów parlamentarnych. – Od ponad 200 lat Amerykanów i Polaków łączy walka o wolność i poszukiwanie szans i możliwości. Od ponad 200 lat oba narody łączy historia wzajemnego poświęcenia na rzecz amerykańskiej wolności, poświęcenia na rzecz polskiej wolności [...]. Demokracja i złożone gospodarki rynkowe zależą nie tylko od wolnych i uczciwych wyborów, lecz także od jasności prawa, że prawo stoi ponad polityką. Zbliżające wybory są szansą pokazania, że demokracja w Polsce ma się dobrze – powiedział.

Z kolei Firmą Roku został Bank Gospodarstwa Krajowego (BGK). W uzasadnieniu podkreślono, że „laureat jest wzorcowym przykładem łączenia historii z nowoczesnym podejściem do biznesu". –Realizowane przez BGK programy nie służą tylko zwiększaniu kapitału finansowego, lecz także temu, by wraz z przyrostem kapitału finansowego rósł także kapitał społeczny – podkreśliła prezes BGK Beata Daszyńska-Muzyczka.

Nagrodę Gospodarczą Szkoły Głównej Handlowej otrzymał kolarz i dyrektor Tour de Pologne Czesław Lang. Nagrodę Organizacji Pozarządowej Roku otrzymało stowarzyszenie Wspólnota Polska. Polonijną Nagrodę Forum Ekonomicznego przyznano zaś stacji TVP Polonia.

NAGRODY SAMORZĄDOWE

Ostatni dzień XXXII Forum Ekonomicznego zamknęła gala, podczas której wręczono trzy Nagrody Rankingu Samorządu Terytorialnego za rok 2022 w kategoriach: gmina wiejska, miasto na prawach powiatu, powiat ziemski. Ranking ten to analiza kondycji finansowej wszystkich jednostek samorządu terytorialnego w Polsce. Od 2017 r. jest cyklicznie przygotowywany przez Fundację Instytut Studiów Wschodnich.

Uroczystość rozpoczęła się od występu Orkiestry NUSO Charków pod dyrekcją Vitalija Liashki. Nagrodę w kategorii gmina wiejska otrzymała gmina Michałowice. W kategorii miasto na prawach powiatu zwyciężyło miasto stołeczne Warszawa. Ostatnią nagrodę otrzymał powiat wrocławski.

RAPORT SGH

Podczas Forum Ekonomicznego w Karpaczu, już po raz szósty, eksperci ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie zaprezentowali raport dotyczący najważniejszych kwestii gospodarczych i społecznych w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej. Skierowany jest on do liderów biznesu, decydentów oraz przedstawicieli administracji państwowej. W ubiegłych latach raport skupiał się m.in. na pandemii koronawirusa czy wojnie na Ukrainie. W tym roku poszerzono go o nowe wątki: wpływ inflacji na biznes i gospodarkę, rosnące koszty obsługi długu publicznego, bezpieczeństwo energetyczne czy starzenie się ludności. – W raporcie poruszono najważniejsze wyzwania, które czekają Polskę i gospodarki Europy Środkowo-Wschodniej. Ten raport jest o tyle ceny, że jest opracowany przez naszych ekspertów, wybitnych znawców przedmiotu. Otrzymają państwo rzetelne informacje, rzetelne analizy i, co ważne, rzetelne wnioski wynikające z tych analiz – wskazywał rektor SGH dr hab. Piotr Wachowiak, profesor SGH.

NIE TYLKO DEBATY

Ważnym elementem towarzyszącym Forum Ekonomicznemu jest również Festiwal Biegowy, czyli jedna z największych imprez biegowych w Polsce. Po raz pierwszy odbyła się ona w 2009 r., ale z roku na rok cieszy się coraz większą popularnością. W tegorocznej edycji organizatorzy wydarzenia przygotowali ponad 20 tras na różnych dystansach, kilka stref z rozmaitymi aktywnościami oraz atrakcyjne nagrody dla uczestników. – Bieg to najprostsza z możliwych terapii, której każdy z nas potrzebuje, gdy zmaga się z przeciwnościami dnia codziennego – mówił Zygmunt Berdychowski.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 60aa5cfbaf

Potrzebny trening pokory

Łukasz Majchrzyk

Tak źle w reprezentacji Polski nie było już dawno. Lekiem na problemy miał być znany trener, ale okazało się, że jest tylko kosztownym plastrem na stare rany

FOT. ANDRZEJ LANGE/PAP

To musiało się tak skończyć. Wyrok na Fernanda Santosa został wydany od razu po przegranym 0:2 meczu z Albanią. Chodziło tylko o to, żeby rozstać się z Portugalczykiem z klasą, a nie tak, jak zrobił to kiedyś Grzegorz Lato, który decyzję o zwolnieniu Leo Beenhakkera przekazał za pośrednictwem telewizji od razu po przegranym meczu. Sposób zwolnienia znanego trenera też jest ważny, a przekaz idzie w świat.

Myli się jednak ten, kto uważa, że razem z Santosem znikną wszystkie problemy reprezentacji. On po prostu nie potrafił lub nie chciał wielu z nich rozwiązać, a do tego sprawiał wrażenie, jakby w Polsce nieustannie cierpiał.

TAK MUSIAŁO BYĆ

W ostatnim czasie ponownie wypłynęły na powierzchnię wszystkie przywary polskiej piłki, o których od dawna kibice mają wyrobione zdanie. Pojawiły się informacje o osobach zamieszanych w korupcję, o pijaństwie, kłótniach o miliony złotych, sporach między Grzegorzem Krychowiakiem a lekarzem kadry Jackiem Jaroszewskim. Jakby tego było mało, niektórzy zawodnicy dolewali oliwy do ognia aroganckimi wypowiedziami. W środek tego wszystkiego trafił trener, który nie zna polskiego. To nie mogło się udać.

Porażka z Mołdawią miała być tylko wypadkiem przy pracy, sygnałem ostrzegawczym. Skoro futbol jest nieprzewidywalny, to raz na jakiś czas coś niewytłumaczalnego mogło spaść i na reprezentację Polski. Po meczu w Tiranie, przegranym 0:2, już mamy pewność, że to nie był przypadek ani splot nieszczęśliwych okoliczności. Tak musiało być, bo reprezentacja Polski gra źle.

Nie chodzi nawet o braki w umiejętnościach poszczególnych piłkarzy. W końcu w składzie są zawodnicy Barcelony, Juventusu, Napoli, Arsenalu, Fenerbahce czy Aston Villi. Patrząc tylko na same nazwiska, dochodzi się do wniosku, że Albania i Mołdawia, a nawet Czechy, z którymi przegraliśmy 1:3, tracąc dwa gole w ciągu trzech pierwszych minut, powinny zostać łatwo pokonane. Może zawiodła taktyka przygotowana przez Fernanda Santosa. Pojawiają się zarzuty, że portugalski selekcjoner powinien był wystawić Bartosza Slisza kosztem Grzegorza Krychowiaka albo wpuścić na boisko Arkadiusza Milika, gdy Biało-Czerwoni przegrywali w Tiranie 0:2.

Może ci dwaj piłkarze coś by zmienili, może z nimi w składzie Polacy jakoś wyszarpaliby remis w ostatnim spotkaniu i można by głęboko odetchnąć, ale to tylko przykryłoby istniejące problemy. Portugalski selekcjoner był jednym z nich, ale nie jedynym.

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

Santos, trener z doświadczeniem i sukcesami, który zdobył z Portugalią mistrzostwo Europy w 2016 r., wydawał się bardzo dobrym kandydatem. Miał opinię

eprasa.pl 60aa5cfbaf

człowieka, który nie daje sobie wejść na głowę, i w trakcie kariery już pracował z wielkimi gwiazdami. Kiedy uznał, że dla dobra reprezentacji trzeba posadzić na ławce Cristiana Ronaldo, to nie wahał się tego zrobić. W składzie Polaków też nie brakuje wielkich nazwisk na czele z Robertem Lewandowskim, jednym z najlepszych piłkarzy na świecie w ostatnich latach.

Santos miał do nich pasować i zatrzeć przykre wrażenie po poprzednikach. Za czasów Jerzego Brzęczka Polacy wygrywali, ale nie grali pięknie. Czasami można było odnieść wrażenie, że gole rodziły się z przypadkowych akcji, ale jednak piłka wpadała do bramki przeciwników. Piłkarze wygrali eliminacje do poprzednich mistrzostw Europy, ale najbardziej w pamięć zapadło osiem sekund milczenia Lewandowskiego na pytanie dziennikarza o taktykę drużyny. Potem zachowanie kapitana komentował selekcjoner, który zapewniał, że wszystko zostało wyjaśnione, ale kilka miesięcy później stracił pracę.

Na podobne zachowanie wobec Czesława Michniewicza Lewandowski pozwolił sobie po odpadnięciu w jednej ósmej finału mistrzostw świata z Francją, kiedy skrytykował defensywną taktykę reprezentacji. Tutaj też były zapewnienia, że wszystko jest wyjaśnione, ale w komentarzach kibiców często przewijało się zdanie, że najlepszy polski piłkarz „zwalnia" selekcjonerów. Lewandowski (podobnie jak kilku innych piłkarzy tej kadry) od wielu lat pracuje z najlepszymi szkoleniowcami na świecie, więc PZPN postanowił im takiego zatrudnić. Najpierw Zbigniew Boniek sięgnął po mającego bogatą karierę piłkarską i trenerską Paula Sousę, ale ten pożegnał się z Polską, gdy dostał lepszą ofertę z legendarnego brazylijskiego klubu Fluminense. Kilka tygodni później Polacy mieli zagrać w barażach o awans do mistrzostw świata. Trzeba było kogoś, kto podejmie się trudnego zadania i „zagwarantuje" sukces.

Opcją ratunkową w tej sytuacji stał się Czesław Michniewicz, trener z bogatym CV, specjalista od osiągania założonych celów, nie zawsze w pięknym stylu, ale po prostu skuteczny. Zadanie wykonał, ale to nie znaczy, że było spokojnie. Ta nominacja wywołała, łagodnie rzecz ujmując, kontrowersje w środowisku i wśród kibiców. Wiele osób zarzuca temu trenerowi, że nigdy dokładnie nie

Myli się ten, kto uważa, że razem z Santosem zniknął wszystkie problemy reprezentacji

wyjaśnił swojej znajomości z Ryszardem F. „Fryzjerem", który zorganizował system ustawiania meczów piłkarskich w Polsce. W aktach prokuratorów jest informacja o 711 połączeniach między obu panami z czasów, gdy Michniewicz pracował w Amice Wronki, a potem w Lechu Poznań, choć trener nigdy nie został o nic oskarżony.

Mimo wszystko może pracowałby do dziś, w końcu awansował z grupy MŚ, co udało się pierwszy raz od 1986 r., ale występ na mundialu przykryła „afera premiowa". To był pokaz polskiej piłki w pigułce, a przedstawienie trwa do dziś i ma coraz to nowe odsłony. Przed wylotem kadry do Kataru Mateusz Morawiecki obiecał piłkarzom premie za awans z grupy. Miało to być nawet 40 mln zł. Prawo pozwala premierowi na takie decyzje, ale pewnie nikt się nie spodziewał, że ta informacja, która przedostała się do mediów, wywoła takie oburzenie.

Reprezentanci Polski zarabiają jak na polskie warunki świetnie, a najlepsi zawodnicy to prawdziwi multimilionerzy. Niesmak budziła nie tylko wysokość obiecanych pieniędzy, lecz także to, że piłkarze mieli się o te pieniądze pokłócić. Starsi kadrowicze mieli zażądać dla siebie znacznej części obiecanej puli, co nie spodobało się mniej znanym piłkarzom. Rozpoczął się festiwal wywiadów, oświadczeń, zaprzeczeń, uszczypliwości i próby obracania wszystkiego w żart. Najpierw były próby udawania, że piłkarzy ta propozycja zażenowała, ale potem wyszło na jaw, że potraktowali ją bardzo serio i zaczęli dzielić kwotę.

Tutaj też nie było zgodności w zeznaniach. Jedni twierdzili, że kadrowicze dogadali się szybko, inni mówili, że wręcz nie mogli na siebie patrzeć na zgrupowaniu w Katarze. Pracę stracił selekcjoner, a nowy, czyli Santos, miał być ucieczką do przodu – nowym Leo Beenhakkerem, który pojawił się w Polsce w 2006 r. i pokazywał, jak wygląda profesjonalny futbol. Tylko że to już nie te czasy, a Portugalczyk to nie jest Holender. Nie widać w nim pasji do poznawania polskich piłkarzy, nie jeździ po Polsce, nie pomaga w rozwoju młodych trenerów. Na konferencji prasowej pomylił pozycję, na której gra jeden z najlepszych graczy Ekstraklasy, Paweł Wszołek.

Dodatkowo pewnie dziwiły go też standardy obecne w polskiej piłce. Santos musiał być zdumiony, słysząc, jak w samolocie z polską reprezentacją lecą goście PZPN oraz sponsorzy i zachowują się bardzo głośno. Pewnie w którymś momencie dotarło do niego, że na pokładzie znalazł się też działacz skazany za korupcję. Do jego zaproszenia przez kilka dni nikt nie chciał się przyznać. Tym polska piłka żyła w czerwcu.

SYNDROM OBLĘŻONEJ TWIERDZY

Kilka tygodni później, tuż przed ostatnimi meczami, wybuchła nowa – a właściwie wróciła stara – afera. Lewandowski udzielił wywiadu, w którym obiecaną przed MŚ premię nazwał „niemoralną propozycją". Zarzucił też, że w kadrze brakuje osobowości, a młodzi piłkarze nie chcą z nim rozmawiać. Jeśli to miało oczyścić atmosferę, to niespecjalnie się udało. Wyszło tak, jakby kapitan chciał zrzucić winę za słabe wyniki na wszystkich wokół.

Nie pomógł też inny doświadczony kadrowicz, wezwany na ratunek Grzegorz Krychowiak. Kilka lat temu był podporą reprezentacji prowadzonej przez Adama Nawałkę. Teraz gra w Arabii Saudyjskiej i formą nie zachwyca. Miał dodać drużynie charakteru, a dolał tylko oliwy do ognia. Po wymęczonym zwycięstwie z Wyspami Owczymi przekonywał, że Polacy byli zadowoleni ze swojej gry w pierwszej połowie. Potem zarzucił innemu dziennikarzowi, że pytanie jest na słabym poziomie. Gdyby jeszcze zagrał świetnie, to kibice by mu to wybaczyli. W meczu z Wyspami Owczymi sam kopnął się piłką w rękę, a z Albanią nie dotrwał do końca, zmieniony przez Santosa.

U niektórych piłkarzy widać syndrom oblężonej twierdzy. Kiedy wszystko idzie zgodnie z planem, to chętnie udzielają wywiadów, przybijają piątki, ale kiedy trzeba firmować porażkę, znikają w szatni i uciekają od kamer albo chowają się za rzecznikami prasowymi. Na boisku nikt ich jednak nie obroni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 60aa5cfbaf

SKODA KAROQ 1.5 TSI 150 KM STYLE

FOT. JAP

SUV-y z segmentu C to dla koncernów motoryzacyjnych nie lada gratka, a także spore wyzwanie. Konkurencja jest bowiem ogromna, bo wszyscy producenci zorientowali się już, że klienci uwielbiają, gdy ich praktyczny, rodzinny i ekonomiczny kompakt przypomina SUV-a, z łatwością pokonuje wysokie krawężniki i pozwala dojechać szutrową drogą na działkę pod miastem.

Karoq – jeden z najczęściej kupowanych modeli, który na rynku jest już od sześciu lat – przeszedł więc udany lifting, dzięki któremu prezentuje się bardziej nowocześnie.

Pod maską pracuje jednostka benzynowa 1.5 TSI o mocy 150 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 250 Nm. W połączeniu z dopracowaną sześciobiegową manualną skrzynią biegów Karoq w tej wersji od zera do setki rozpędza się w 9 s. Teoretycznie prędkość maksymalna wynosi 211 km/h, ale przy wyższych prędkościach autostradowych w kabinie robi się jednak głośno.

Jak na typowe auto rodzinne testowana Skoda nie ma sportowego DNA, jest jednaj wystarczająco dynamiczna, by sprostać wyzwaniom dnia codziennego. A przy okazji – co będzie szczególnie ważne, gdy po wyborach ceny paliw wrócą do rynkowych poziomów – jest bardzo ekonomiczna. Średnie spalanie podczas testu w cyklu mieszanym wynosiło podczas testu 7,1 l/100 km, ale podczas spokojnej, rodzinnej podróży bez większego trudu można tę średnią obniżyć do 4,9 l/100 km.

W ergonomicznie zaprojektowanej, pełnej różnego rodzaju schowków, organizerów kabinie jest dużo miejsca. Luksusów tu nie ma, ale wszystko wygląda przyzwoicie i jest prawidłowo spasowane. Dobrze, że nikomu w centrali nie przyszło do głowy, aby zastąpić praktyczne pokrętła do klimatyzacji na ośmiocalowym wyświetlaczu (jego również można wygodnie obsługiwać pokrętłami). Oczywiście za kierownicą zamiast tradycyjnych zegarów jest zestaw wirtualnych zegarów, w których wyświetlane treści można prosto dostosować do własnych potrzeb.

Przednie fotele są wygodne. Również tylna kanapa pozwala na komfortowe podróże (choć na dłuższe trasy lepiej zabierać z tyłu dwoje, a nie troje dorosłych).

Zaletą auta mającego 4390 mm długości jest ustawny bagażnik o pojemności 521 l. Czescy projektanci doskonale zdają sobie sprawę z potrzeb nabywców tego typu aut. Dzieloną 40:20:40 tylną kanapę skonstruowano więc tak, aby bez problem można ją było złożyć i postawić niemal pionowo przy oparciu przednich foteli. To wyjątkowo praktyczne rozwiązanie. Cytując marketingowców: simply clever.

Za Skodę Karoq 1.5 TSI w wersji Style trzeba zapłacić co najmniej 134,4 tys. zł, co na tle konkurencji wypada całkiem nieźle. Testowy egzemplarz był wyposażony w sporo opcji dodatkowych, co podniosło jego cenę do 177 tys. zł. ©℗

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG HW-Q990C

Fantastyczna jakość dźwięku w technologii Dolby Atmos, mocny bas, głęboka i wciągająca scena muzyczna, brak konieczności prowadzenia kabli do głośników oraz banalnie prosta konfiguracja – to największe zalety najlepszego soundbara w dotychczasowej historii południowokoreańskiego producenta.

Samsung HW-Q930C o mocy całkowitej 656 W to propozycja z najwyższej półki. Jakość wykonania i wzornictwo są tu bez zarzutu. Zestaw składa się z soundbara, aktywnego subwoofera i dwóch zaskakująco potężnych jak na swój rozmiar kompaktowych tylnych głośników – wszystkie elementy łączą się ze sobą bezprzewodowo. Telewizor z soundbarem można połączyć za pomocą HDMI eARC (wówczas jakość dźwięku jest bezsprzecznie najlepsza), za pomocą kabla optycznego (bardzo dobra jakość dźwięku) lub bezprzewodowo poprzez wi-fi lub Bluetooth (opcja przeznaczona raczej dla tych, którzy lubią pochwalić się sąsiadom i znajomym, że kupili drogi soundbar, ale i tak słoń im na ucho nadepnął, więc nie potrzebują najwyższej jakości). Na szczęście wielokanałowy dźwięk przestrzenny 11.1.4 to nie tylko marketingowy slogan. Nie trzeba być też audiofilem, aby usłyszeć różnicę. Jakość brzmienia jest bardzo dobra, a dźwięk przestrzenny znacznie zwiększa atrakcyjność domowych seansów filmowych. Przydatna jest także funkcja adaptacji dźwięku do rodzaju odtwarzanych treści (np. filmu, wydarzeń sportowych czy kanałów informacyjnych). Bardzo przydatny jest też Aktywny Wzmacniacz Głosu (AVA), który ułatwia zrozumienie dialogów bez konieczności zwiększania głośności. Soundbar oferuje również specjalnie zaprojektowany tryb gry pro (włącza się automatycznie po uruchomieniu konsoli).

Model HW-Q990C oferuje też wsparcie dla Airplay 2 czy Spotify Connect, a także słuchanie muzyki ze smartfonów firmy Samsung (wówczas wystarczy dotknąć soudbara telefonem, aby ten automatycznie nawiązał połączenie i zaczął odtwarzać muzykę).

Wady? Najpoważniejszą jest brak obsługi HDMI 2.1, a co za tym idzie – brak możliwości przesyłu sygnału 4K/120 FPS. Poza tym kable zasilające mogłyby być dłuższe i koloru białego zamiast czarnego (część konkurentów już tę sztukę opanowała). Mimo tych minusów miłośnikom prawdziwego kina we własnym salonie trudno będzie w tej klasie cenowej znaleźć coś lepszego. HW-Q990C kosztuje obecnie 4299 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 60aa5cfbaf

SIOSTRY GOTUJĄ

Podstawa cywilizacji

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

To jedna z najstarszych i najdłużej uprawianych przez człowieka roślin. Winogrona – owoce, które pochodzą od dzikiej winorośli – to podstawa ludzkiej cywilizacji. Od kilku tysięcy lat żywią nas i poją, być może dzięki nim były możliwe rozwój cywilizacji i nasze zdrowie psychiczne.

Według naukowców była to pierwsza udomowiona przez człowieka roślina owocowa. Uprawą zajmowali się mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego, a w szczególności Sycylii. Nad Morzem Kaspijskim w Gruzji już 8 tys. lat temu zaczęto produkować z nich wino.

Choć winorośl jest rośliną ciepłolubną i uwielbia nasłonecznienie, to niektóre odmiany są nad wyraz odporne na zmienne klimatyczne warunki, dzięki czemu mogą być uprawiane także na terenie naszego kraju. Mamy w Polsce ok. kilkuset hektarów upraw winorośli i kilkanaście znanych winnic, które odnoszą sukcesy, ale historia upraw w Polsce liczy ponad tysiąc lat. Początki wiążą się z przyjęciem chrześcijaństwa.

Winogrona mają wiele wartości odżywczych, prozdrowotnych i chronią nas przed chorobami cywilizacyjnymi, głównie przed nadciśnieniem i rakiem, odkwaszają nasz organizm, a zawarty w owocach resweratrol wspomaga redukcję masy ciała. Według badań wyciąg z pestek winogron pomaga w walce z nowotworem krwi. Zawierają witaminy A, C oraz z grupy B, potas cynk, żelazo oraz jod, który wspiera pracę tarczycy. Cukrzycy powinni jednak na nie uważać, bo zawierają sporo cukru.

Babeczki z kremem i winogronami

• 2 szklanki mąki krupczatki • 2 żółtka • 200 g masła • szczypta soli • łyżka cukru • 2 łyżki gęstej, kwaśnej śmietany • 1/2 łyżeczki proszku do pieczenia

Masło ścieramy na tarce, wszystkie składniki razem zagniatamy dość szybko, zawijamy w folię i schładzamy w lodówce ok. 30 min.

Po tym czasie wyjmujemy z lodówki, rozwałkowujemy i wykładamy na foremki do pieczenia babeczek, trochę wyżej ponad brzeg, nakłuwamy widelcem. Wkładamy do nagrzanego do 180 st. C piekarnika i pieczemy ok. 15 min. Wyjmujemy i studzimy.

Krem budyniowy

• 400 ml mleka mniej niż na opakowaniu • 1 opakowanie budyniu waniliowego z cukrem • 120 g masła • olejek waniliowy • sok z połówki cytryny

Budyń gotujemy z mlekiem, odstawiamy, studzimy. Możemy przykryć folią, aby nie zrobił się kożuch. Masło ucieramy na puch, dodajemy po łyżce budyniu i sok z cytryny, olejek waniliowy. Wszystko razem mieszamy i schładzamy w lodówce.

Na ostudzony spód wykładamy krem i dekorujemy winogronami.

Możemy całość posmarować galaretką owocową rozpuszczoną w niepełnej szklance gorącej wody. Jak stężeje, smarujemy babeczki. Wkładamy do lodówki, schładzamy ok. 3 godzin. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

W samych majtkach

JOANNA BOJAŃCZYK

Nowy trend: chodzić w samych majtkach. Bez spódnicy, sukienki, spodni czy co się tam nakłada na wierzch. Pojawiło się to najpierw na pokazie Miu Miu (de facto Prady), potem na Mostra di Venezia szybko podchwyciły sprawę kręgi fashion, szczególnie w osobie aktorki Emmy Corrin, której zdjęcia w rzeczonych gatkach obiegły portale nie tylko o modzie, celebryckie itp. Na rzeczonych zdjęciach Emma występuje w zielonkawym komplecie, w którym góra i dół są uszyte z takiej samej tkaniny. Wygląda to wcale nie odrażająco, modelka jest szczupła i zgrabna. Trend pantless przeleciał Instagram i TikTok. „Wszyscy będą tak chodzić" – ekscytował się amerykański magazyn Elle.

Zamiast się od razu oburzać, że jak to, mamy chodzić w niebieskich/białych/różowych/czarnych majtkach bieliźnianych, proszę uważnie przyjrzeć się zdjęciu raczej w Internecie, bo nasz magazyn nie zapewnia wystarczającej informacji wizualnej. Jak widać, chodzi tu nie o bieliznę, lecz o majtki „krawieckie", stworzone po to, by wychodzić na ulicę. Trochę tak, jakby uszyć spodnie bez nogawek. Albo np. jeszcze bardziej fantazyjnie: majtki disco, czyli naszywane cekinami, co na to powiecie? Podoba się? Taylor Swift chyba bardzo.

Na temat intrygującej nowinki wypowiedziała się sama autorka, czyli Miuccia Prada.

FOT. PRADA GROUP

Zaprzeczyła, że jest to kolejny krok w seksualizacji ubrania. To jest „non sexy liberty" – wyjaśniła. I dodała: „Sama bym się tak ubrała, gdybym była młodsza". A pani kreatorka (lat 75) znana jest głównie z tego, że podoba jej się tylko to, co jest brzydkie. I to natychmiast staje się modne.

Jednak nie przestaję się zastanawiać, czy rzeczywiście majtki to kolejny przełom w rozbiorze naszej garderoby na użytek zewnętrzny. Kolejny skandal? Ale czy skandaliczne są obcisłe legginsy noszone powszechnie, nawet w upalne dni, co mnie niepomiernie dziwi? To już spowszedniało. Gołe brzuchy także. Nikt już się nawet za tym nie obejrzy. Więc czy majtki mogą wywołać zgorszenie?

W modzie było już tyle skandali, że na kolejny reaguje się ziewaniem. Jeśli chodzi o ubranie, to wolno już wszystko. Któż postawi granice? I wtedy okazuje się, że inaczej jak administracyjnie nie da się tego rozwiązać. Są tacy, którzy nie życzą sobie widzieć gołych torsów na ulicy – władze Rzymu, Wenecji i Sopotu zakazały. Włosi wprowadzili na plażach zakazy toplesów, a przy okazji także picia piwa i suszenia gatek. Niemcy oburzeni – zepsute wakacje, jak donosi „Bild". ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Miejsca pokutne potępionych

JACEK KOMUDA

W Polsce zachowało się przynajmniej kilkanaście miejsc, w których straszą potępieni za życia okrutnicy, heretycy i warchoły. Najciekawsze związane są z postaciami historycznych charakterników, awansowanych po śmierci do grona diabłów prześladujących pobożny lud chrześcijański. Żeby daleko nie szukać, zacznijmy od zamku w Pieskowej Skale, gdzie pokutują do dziś przedstawiciele jednego z najstarszych rozbójniczych rodów rycerskich. Jest ich trzech, ojciec, syn i wnuk. Pierwszy to Piotr Szafraniec Młodszy, podkomorzy krakowski, starosta sieradzki, żarnowiecki i spiski zajmujący się alchemią i mający, jak podejrzewano, konszachty z diabłem. Zmarł w 1441 r., a włości przejął jego syn, także Piotr, znany z licznych rozbojów i awantur. Ten napadł pod Seceminem na krakowskiego rajcę z rodu Wierzynków. Zajął gwałtem zamek w Malcu, skąd zajeżdżał księcia cieszyńskiego dopóty, dopóki ten nie zapłacił mu rzekomego zaległego żołdu. Według legendy miał spółkę z rozbójnikiem Bąkiem, który pilnował mu skarbów ukrytych w lochach pod Seceminem. Ostatnim potępieńcem z rodu był zaś jego syn Krzysztof, postrach kupców krakowskich, pojmany i ścięty w 1484 r. Ten pokazuje się w Krakowie, gdzie pochowany jest w kościele oo. Dominikanów, jako duch w czarnej opończy jadący przez rynek do Pieskowej Skały, gdzie czekają na niego ojciec i dziad.

W Dankowie pod Częstochową, w ruinach imponującej twierdzy bastionowej, wyje Stanisław Warszycki, kasztelan krakowski, zmarły w 1681 r. Okrutnik i sprzymierzeniec piekieł; wedle legendy, kiedy fortyfikował wspomnianą rezydencję, chcąc zmienić koryto Liswarty, zawarł pakt z diabłami. Gdy jednak przedsięwzięcie okazało się dla nich zbyt trudne, zapędził do roboty własnych chłopów. Słynął z okrucieństwa – kazał batożyć własną żonę, a chłopów rozciągać na ziemi i bić kijami grubymi jak ręka. Dodatkowo sam liczył uderzenia i zdarzało się, że udawał, jakoby się w liczbie omylił, kazał więc na nowo od początku zaczynać i tym sposobem bił czasami ludzi pół na śmierć" – pisał o nim Ulryk Werdun. Jednocześnie Warszycki odznaczał się niezwykłą pobożnością – ufundował wiele kościołów, odbudował zamek w Ogrodzieńcu.

W Wenecji koło Żnina straszy kolejny potępieniec, Mikołaj z Chomiąży, zwany „Diabłem Weneckim", „Krwawcem" lub „Krwawym Diabłem", były sędzia kaliski, uczestnik wojny Grzymalitów z Nałęczami. Był przeciwnikiem bp. Bodzanty, człowiekiem bezwzględnym w stosunku do wrogów; licznych więził w swoich zameczkach. Długosz myli go z Janem Czarnkowskim, a późniejsze legendy z Twardowskim, podając, że diabeł porwał go do piekła z karczmy zwanej Rzymem.

O dziwo, Stanisław Stadnicki z Łańcuta, również zwany „Diabłem", doczekał się skąpej legendy dopiero po wielu latach, w XVIII w., kiedy ks. Czarnysz wspomina, że posługiwał się pomocą szatana, a Jan Jabłonowski pisze w pamiętniku, że „miał charaktery jakieś i diabelskie inkluzy". Być może nie potrzebował jej ten, kto sam już za życia był diabłem wcielonym. Dlatego podania o nim powstawały dopiero w XIX w. i nie są tak liczne jak o Krwawcu.

Z duchownych potępionych na Wawelu straszy biskup krakowski Zawisza z Kurozwęk zmarły w 1382 r., wcześniej kanonik krakowski znany z chutliwego sposobu życia. Jak bowiem pisał o nim Janko z Czarnkowa, nie przepuszczał on żadnej dziewce, a zginął, spadając ze stogu siana, na którym ukryła się przed nim z ojcem pewna urodziwa chłopka. Pochowany w katedrze na Wawelu słyszany był przez zakrystiana strzegącego skarbca kościelnego, którego uderzyły w uszy łoskot końskich kopyt i wołanie biskupa „pójdziem na ops!" – z którym udawał się zwykle na hulanki, a teraz diabli wieźli go prosto do piekła. Jakimś dziwnym niedopatrzeniem niebios nie straszy u nas bp Jan Muskata, zaciekły anty-Polak, rozbójnik łupiący kościoły i rozpustnik. Może dlatego, że za swoje bezeceństwa nie ma nawet swego grobu.

Za to w kościele św. Jakuba w Sandomierzu pokutuje do dziś szlachcic Łukasz Słupecki, rozbójnik, wydzierca i awanturnik, który zgromadził wielkie bogactwa odebrane innym możnowładcom, sąsiadom, a nawet chłopom. Za to w roku 1459 opętały go diabły tak dalece, że interweniować musiał ks. Jan Warsz Kazimierski. Po egzorcyzmach Słupecki zgodził się, aby oddać sąsiadom zagrabione mienie, po czym… w ostatniej chwili zrobiło mu się żal majątku i cofnął decyzję. I wtedy opętanie wróciło – do śmierci dręczony był przez diabły. Niestety i po pogrzebie w kościele słyszeć dały się „straszliwe huki, rumoty i wycia przeraźliwe czartów; zdawało się, że kościół i klasztor cały ogniem gorzał". Wkrótce charakternik objawił się zakonnikom i począł błagać, aby jego rodzina – wdowa i syn – oddała zagrabiony majątek, co sprowadzi na niego ukojenie. Ci jednak cynicznie odpowiedzieli, że „diabłom powalają, aby sobie duszę wzięli, ropuchom zaś oddają ciało na pożywienie". I niech czart mu świeci! ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Eugenika w biały dzień

Kanadyjska klinika oferuje zmianę płci noworodkom. Klinika Thrive Kids w Toronto oferuje m.in. leki blokujące dojrzewanie, zastrzyki hormonalne oraz konsultacje pediatryczne dla noworodków obu płci". Takie coś przeczytałem w Internecie. Mówiąc szczerze, mało co jest w stanie wprawić mnie w zdumienie w dzisiejszych czasach, ale człowiek nie tyle uczy się, ile dziwi całe życie.

Rozbierzmy to na czynniki pierwsze. A więc w Kanadzie rodzic może w okresie już noworodkowym chcieć zmienić płeć dziecka. Jesteśmy już o jeden most dalej, bo obecnie to raczej rodzice są ubezwłasnowolnieni co do decyzji, którą w sprawie własnej tożsamości podejmują ich dzieci w okresie smarkatym. Stanowe Zgromadzenie Kalifornii właśnie podjęło uchwałę o tym, że rodzicom będą odbierane dzieci, jeśli ci nie zgodzą się na zmianę płci nastolatka. To jakieś szaleństwo, którego skutki opisał w Internecie jeden bystrzak, że gdyby spełniać życzenia młodocianych co do ich tożsamości, to świat byłby pełen jednorękich i jednookich piratów oraz księżniczek dosiadających jednorożce.

Ale nie ma co żartować – interwencje tożsamościowe od wieku niemowlęcego wykluczają jakiekolwiek problemy osobowościowe niemowlaków. Tu chodzi raczej o problemy osobowościowe rodziców. Przecież wspomniane „konsultacje pediatryczne" to nie będą pogadanki psychologa z oseskiem, czy mu się wydaje, że urodził się nie w takim ciele, jak mu się zamarzyło. To będą rozmowy z rodzicami. I to oni mają decydować o przyszłej płci dziecka. Na podstawie jakich przesłanek? No, jakichże innych niż te, że wymarzyli sobie dziewczynkę, a tu trafił się chłoptaś.

Pamiętam, że było i jest dużo dyskusji na temat in vitro. Tam sytuacja była bardziej teoretyczna, gdyż dochodziło do wyboru jednej z „najbardziej obiecujących" komórek. Ale już wtedy włączał się dzwonek alarmowy eugeniki, no bo zaraz bardziej obiecujący może się stać przystojny blondynek, rudzi zaś pójdą do zlewu. Teraz mamy to pod adresem, na ulicy i wprost. Możesz zmienić płeć dziecka, nawet go o to nie pytając, nawet nie czekając na jego i tak wątpliwą dorosłość, by mogło podjąć taką decyzję.

Idą straszne czasy. Ustępujemy zachciankom, najpierw labilnych młodocianych, teraz już rodziców. I mogą to być decyzje zarówno pochopne, jak i nieodwracalne. Progresywiści mają od zawsze inklinacje do wyszukiwania jakichś anomalii, których istnienie ma podważyć porządek świata. A ten musi się wtedy cały zmienić, gdy bogiem staje się równość, często polegająca na sprowadzeniu w dół normalności. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

WHO oswaja pedofilię

Przyjęcie przez ministra zdrowia nowej klasyfikacji chorób WHO jest kolejnym krokiem wprowadzania do Polski rewolucji genderowej. Nowa klasyfikacja, ICD-11, w miejsce płci (kobieta i mężczyzna) wprowadza „płeć przypisaną" i „płeć odczuwaną" oraz zastępuje pedofilię terminem „zaburzenia pedofilnego". Groźne zboczenie rozróżnia na szkodliwe i nie. Pedofilia jest problemem tylko wtedy, jeśli prowadzi do czynności lub powoduje „dyskomfort" danej osoby.

ICD-11 została zatwierdzona przez polski rząd w 2019 r. i obowiązuje już od 1 stycznia 2023 r. Do polskiego systemu zostało wprowadzone destrukcyjne rozporządzenie, które będzie miało wpływ na cały porządek społeczny. Portale DoRzeczy.pl oraz Afirmacja.info zamieściły szersze materiały na ten temat, ja tylko podkreślam sprawę pedofilii, ponieważ w tej nowej klasyfikacji WHO – ICD-11 – jak w soczewce widać rolę globalnych graczy. WHO jest narzędziem polityki ONZ, która od lat realizuje globalną inżynierię społeczną. ONZ, na konferencjach w Kairze (1994) i Pekinie (1995), skutecznie wprowadziła pojęcia „zdrowie reprodukcyjne" i „prawa reprodukcyjne", a w ślad za tymi terminami w języku organizacji międzynarodowych i dużych organizacji pozarządowych pojawiły się pojęcia: „zdrowie seksualne" i „prawa seksualne".

Opis tych praw nie posiada ścisłych definicji, pozostaje celowo nieostry, umożliwiając swobodną interpretację językową. „Prawo do zapewnienia najwyższego poziomu zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego" w rozumieniu agentów zmian, w tym politycznego ruchu homoseksualnego, jest jednoznaczne z prawem do dowolnej orientacji seksualnej. Na kolejnych konferencjach dostęp do tych praw uznano za część praw człowieka, łącząc zwodniczo to, co wynika z prawa naturalnego (będącego w naturze kobiety i mężczyzny), z tymi sztucznymi nowymi tworami, przeciwnymi naturze (aborcja czy homoseksualizm). Taka polityka w krajach Zachodu doprowadziła do powszechnej nobilitacji homoseksualizmu i uznaniu aborcji jako fundamentalnego prawa kobiet.

Po osiągnięciu tych celów rewolucja idzie dalej. Lobbing na rzecz niekaralności pedofilii jest stałym elementem pejzażu świata akademickiego, kultury masowej i polityki. W Polsce, na szczęście, istnieje jeszcze naturalny opór, widoczny choćby w wykreśleniu Jana Hartmana z list kandydatów Lewicy po jego tweecie w obronie pedofilów. Wprowadzenie przez Ministerstwo Zdrowia do klasyfikacji chorób rozróżnienia na pedofilię szkodliwą i nieszkodliwą jest kolejnym krokiem na drodze rewolucji. Ale skuteczniejszym agentem zmiany okazał się nie Jan Hartman, a Łukasz Szumowski. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Srogie piguły

Nie no, luuudzie, tak nie wolno! Stop. Michał Kołodziejczak (AgroUnia i trochę KO) poświęca swój prywatny czas dla Polski, leci do Strasburga walczyć o polskie rolnictwo, a tu z niego podśmiechujki czynią. Stop. Nie no, luuudzie. Stop. Mógłby wszakże dla egoistycznej korzyści zostać w domu i pielęgnować czule zwierzęta hodowlane, a on się dla nas spotkał z Ursulą von i poruszał tematy ważkopszeniczne! Szacunku trochę! Stop. Tymczasem złośliwie wyciągnięto mu następujący wpis na platformie X: „W dyskusji o wzwodzie ukraińskiego zboża…". Stop. Albo ten „wzwód" jest poetyckim zabiegiem sugerującym potęgę ukraińskiego czarnoziemu, albo może coś innego. Po co drążyć? Stop.

„Wyborcza" z rewolucyjną czujnością odkryła, a następnie doniosła, że kino w Otwocku Oaza usunęło z wrześniowego repertuaru nagrodzony w Wenecji film Agnieszki Holland „Zielona granica". Stop. Natychmiast pojawiły się komentarze, że haniebna jest to cenzura, zgody na to nie ma i nie będzie oraz i tak dalej. Stop. Moim osobistym zdaniem są to reakcje przesadzone, bo przecież są kina w Mińsku, Moskwie i Berlinie… Stop.

Włoska agencja prasowa poinformowała, że w ciągu jednego dnia na Lampedusę (taka włoska wysepka) przypłynęły pontonami z silnikami 4 tys. nie tylko inżynierów i chirurgów z Afryki. Stop. Owa wykwalifikowana siła nierobocza zaczyna chyba uwierać nawet politpoprawnych huhuhumanistów z Unii Europejskiej, bo Francja zapowiedziała zamknięcie granicy z Włochami, a Niemcy do odwołania wstrzymują procedurę „dobrowolnej solidarności". Stop. Jedno jest pewne: o tym Agnieszka Holland filmu nie nakręci. Stop.

Nie napiszę nic o reprezentacji Polski w piłkę kopaną i o tych żelusiach-lanserach udających piłkarzy, gdyż mi korekta wykreśla wszystkie słowa adekwatne. Stop. Tymczasem, jak donoszą media, Robert i Anna Lewandowscy wystąpią w reklamie pewnej sieci sklepów z hasłem „Zadbajmy o siebie". Stop. Przebrzmiały temat, Lewandowski już zadbał o siebie, i to jak. Nie pytajcie Cezarego Kucharskiego. Stop.

Donald Tusk w czasie publicznego wystąpienia poinformował, że Rafał Trzaskowski wygrał wybory prezydenckie. Stop. Ale nie że na prezydenta Warszawy, tylko na prezydenta Polski. Stop. Srogie piguły, milordzie. Srogie piguły. Stop.

Nie tylko polityką i kulturą wysoką żyją media społecznościowe. Stop. Próbka absurdalnego humoru Rysia z „Misia" z platformy X: „Moja żona narzeka, że oblizuję łyżkę i że to niehigieniczne, i ogólnie ble. OK, bez łaski, wcale nie muszę chodzić z nią do obuwniczego". Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Siewcy strachu

Niezwykłych rad udziela wszystkim Polakom Rządowe Centrum Bezpieczeństwa. Od wielu już miesięcy bombarduje nas ono ostrzeżeniami przed wieloma niespodziewanymi katastrofami. Alerty takie przychodzą do nas w postaci SMS-ów. Jak można przeczytać na stronie Centrum, „wiadomości tekstowe wysyłane są tylko w nadzwyczajnych sytuacjach, gdy zagrożone są bezpośrednio życie i zdrowie".

Wygląda na to, że o ile w dawniejszych czasach życie i zdrowie osoby mieszkającej w śródmieściu Warszawy zagrożone było przez naturalne katastrofy dość rzadko, o tyle w trakcie ostatnich miesięcy ich liczba zwiększyła się dramatycznie. Co tydzień, a czasem częściej, na mój telefon wysyłany jest dramatyczny komunikat. Przepełniony troską rząd informuje mnie o potrzebie „unikania słońca, wysiłku fizycznego i odwodnienia organizmu", zaraz potem każe „przygotować się na ewentualne podtopienia". Czy wystąpienie w lecie temperatur przekraczających 30 st. C jest sytuacją nadzwyczajną? Przez dziesięciolecia występowały w Polsce takie temperatury, a letnicy raczej cieszyli się z nich, niż traktowali jako „bezpośrednie zagrożenie życia". Niczym nadzwyczajnym nie są też w naszym klimacie „burze z gradem i silny wiatr".

Ostatni komunikat dotarł do mnie przed tygodniem. Ostrzegał on, że z samolotów zrzucana będzie szczepionka dla lisów przeciw wściekliźnie. „Nie dotykaj szczepionki!" – wzywali, z wykrzyknikiem, rządowi eksperci. Nie wiem, jaka jest populacja lisów w okolicach Alei Jerozolimskich, podejrzewam jednak, że skromna. Nigdy nie widziałem samolotów rozrzucających szczepionki na terenie Warszawy i nie zrzuca się ich chyba w stukilowych beczkach. Czy akcja taka stanowi „bezpośrednie zagrożenie życia" dla milionów mieszkających w stolicy ludzi?

Przywykliśmy już chyba do tego, że rządzący straszą nas nieustannie. Po COVID straszono nas już grypą ptasią i kocią, legionellą i erisem. Zmianami klimatycznymi straszy się ludność na wszelkie sposoby, zdecydowanie nadużywając określenia „armagedon" dla opisania najzwyklejszych nawet zjawisk atmosferycznych. Jakiej władzy potrzebni są przestraszeni obywatele? Jak pisał Fryderyk Nietzsche, „aby zebrać najbogatszy plon i wydobyć najwięcej rozkoszy z istnienia, trzeba ŻYĆ NIEBEZPIECZNIE: oto cała tajemnica!". Trzęsący się ze strachu przed byle deszczem czy burzą obywatele rozkoszy z domniemanych niebezpieczeństw zaznają niewiele. Całe plony trafią zapewne do straszących. Jak udawało się przetrwać lato wtedy, kiedy nie było telefonów komórkowych? ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wytęskniona dezercja

Jako autor książek o tematyce katolickiej z uwagą obserwuję, które pozycje z tego segmentu dostrzega szersza opinia publiczna. Czy to możliwe, by dostrzegła książki pisane przez katolików i dla katolików, a nie te, które pisane są przez wrogów Kościoła?

Owszem, to możliwe. Ale książki te muszą spełniać konkretny warunek. Otóż muszą zachęcać katolików do… dezercji.

Do dezercji, której wrogowie dogorywającej cywilizacji chrześcijańskiej wypatrują z wytęsknieniem. Do której zachęcają każdego dnia, nakłaniając katolików i konserwatystów, by odpuścili walkę o kształt państwa, polityki czy układów społecznych. Do dezercji, która pomoże im rozpocząć nowy, w ich złowrogiej nadziei, ostateczny etap walki z wszelkimi złogami chrześcijaństwa w sferze publicznej.

Wzywa do tego także szeroko cytowana ostatnimi czasy (z iście schadenfreudeowskim upodobaniem) Chantal Delsol, uznana katolicka uczona jednego z paryskich uniwersytetów. Pani profesor w książce „Koniec świata chrześcijańskiego" stwierdza, że walka o uratowanie cywilizacji chrześcijańskiej pozbawiona jest już jakiegokolwiek sensu, gdyż świat zmienił się na tyle, że trwa już agonia stworzonej przez nas cywilizacji. Że Kościół, co prawda, nie zginie, ale nie da już rady wpływać na społeczeństwa i nie powinien się o to starać. Swoją energię katolicy powinni więc poświęcić sobie samym, a nie światu. Słowem – módl się w domu po kryjomu.

Całe rozdziały książki francuskiej uczonej z radością publikują polskojęzyczne ateistyczne media, wskazując katolikom – widzicie, wszyscy już to wiedzą, tylko nie wy, poddajcie się w końcu, przestańcie się wygłupiać, zejdźcie do katakumb, skoro już musicie się modlić, ale dajcie w spokoju zemrzeć staremu światu i żyć w spokoju nowemu, wspaniałemu.

To nie pierwszy taki przypadek. W taki sam sposób bowiem potraktowany został niedawno pakiet książek Tomasza Terlikowskiego. Redaktor ów od dłuższego czasu, z uznawaną na salonach za godną podziwu pokorą, przekonuje, jak bardzo polscy katolicy (w tym i niegdysiejszy on sam) mylą się w swych postulatach społeczno-politycznych. Tytuły wspomnianych tu książek mówią same za siebie – „Czy konserwatyzm ma przyszłość? Koniec Europy, jaką znamy", „Wygasanie. Zmierzch mojego Kościoła". Pakiet ów uzupełnia pozycja „Polka ateistka kontra Polak katolik".

W poprzednich latach tego typu dezerterskich publikacji ukazało się więcej. Wśród wierzących powodzeniem cieszyła się pozycja Rona Drehera „Opcja Benedykta", której autor nawoływał do schowania się przed światem we wspólnotach mających przechować wiarę na lepsze czasy, gdy ktoś (ale nie wiadomo kto, skoro chrześcijanie będą schowani) zechce w końcu odbudować nam stary świat. Warto dodać, że równie ochoczo cytowany w laickich mediach Dreher tak bardzo przejął się kryzysem katolicyzmu, że… odszedł do prawosławnych.

Niezwykle szerokim echem w antykatolickich na co dzień mediach odbił się także trzy lata temu esej Marcina Kędzierskiego zatytułowany „Przemija bowiem postać tego świata. LGBT, Ordo Iuris i rozpad katolickiego imaginarium", w którym katolicki autor stwierdza wprost, że „nie mamy najmniejszych szans na odwrócenie grupowego imaginarium".

Stawianie takich tez to jednak przykład nie tylko dezercji, lecz także zaniku pamięci. Swoistej amnezji wymazującej z myślenia o historii cywilizacji rolę męczeństwa wobec wrogich chrześcijanom ośrodków. Gotowości na walkę, cierpienie, a nawet wylanie krwi w obronie wiary i wynikających z niej zasad, która to gotowość od wieków stanowiła posiew chrześcijan.

Wszyscy wymienieni tu autorzy wzywają nas do poddania się, do rzucenia ręcznika. To intelektualiści, więc nie sądzę, aby nie pamiętali, że każda rewolucja potrzebuje zainstalować w szeregach obrońców dotychczasowego status quo swoich agentów lub przynajmniej wytworzyć grupy „pożytecznych idiotów". Ludzi we własnym mniemaniu broniących atakowanych obszarów, ale w rzeczywistości realizujących marzenia agresorów.

Co tu dużo mówić – żadnego ze wspomnianych tu autorów nie uważam, bynajmniej, za świadomego agenta antychrześcijańskiej rewolucji. ©℗

Całe rozdziały książki francuskiej uczonej z radością publikują polskojęzyczne ateistyczne media

eprasa.pl 60aa5cfbaf

PACJENT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Minister zdrowia Łukasz Szumowski podpisał rozporządzenie w sprawie dopuszczalnych poziomów pól elektromagnetycznych (PEM). Złagodzone normy mają pomóc operatorom sieci komórkowych w rozwoju infrastruktury. Operatorzy są zagraniczni i nie będą mieszkali w polu anten. Szumowski to ten sam, który zarządzał pandemią. Działał niezgodnie z podręcznikami medycyny, za to zgodnie z wytycznymi WHO.

Operatorzy komórkowi twierdzą, że w dotychczasowych realiach nie byliby w stanie obsłużyć rosnącego zapotrzebowania na transmisję danych, jak również wdrożyć na szeroką skalę sieci 5G. I o to chodziło, bo bez 5G inwigilacja obywateli jest utrudniona. A przecież zbliża się kolejna pandemia, o czym zawiadamiają OFICJALNIE ci sami ludzie i organa, które zarządzały pandemią poprzednią. 5G pozwoli im wystawiać mandaty zdalnie, bo dzięki tej technologii twoja gęba idąca po ulicy o niewłaściwej porze i bez maski zostanie sprawnie przetworzona przez system i wtedy policjant nie musi tego robić „ręcznie". A policjanci po ostatnich ćwiczeniach Szumowskiego sami wiedzą, że siłowe wdrażanie masek i lokdałnów jest działaniem bez sensu, niewpuszczanie ludzi do lasu jest bez sensu, podobnie jak aresztowanie ojca za to, że po miesiącu siedzenia w domu zabrał dzieci do piaskownicy. Czego nie chce już nigdy więcej robić policjant, to wykona zdalnie system automatów w oparciu o 5G.

***

O lokdałnach piszę, ponieważ idą wybory i powinniśmy sobie przypomnieć o wszystkim, co nam władza zrobiła złego. Władzę należy podliczać. Morawiecki nie odpowiedział za zakupy masek, które nadawały się do śmietnika, i respiratorów, które zabijały ludzi. Nie odpowiedział za zakupy „szczepionek", które ostatecznie trafiły do utylizacji. W dodatku jedna trzecia tych szczepionek to było placebo – przyznały to koncerny farmaceutyczne. Mimo to Morawiecki nie domaga się od Fajzera zwrotu forsy, a przecież płacił za „preparat", a dostarczyli bezużyteczny płyn.

Reszta „szczepionek" też była bezużyteczna, co dobrze pokazuje przypadek żony prezydenta USA – Jill Biden szczepiła się wiele razy, brała wszystkie dawki przypominające, drugie, trzecie, czwarte i niedawno po raz kolejny zachorowała na COVID. Morawiecki kupował ten szajs, promował ten szajs, niektórych ludzi przymuszał do szczepienia szajsem, a na spotkaniach wyborczych nie słyszę rozliczeń za szajs. Pojawił się tylko raport NIK – piszą to, co wszyscy wiemy: rząd w czasie pandemii marnotrawił pieniądze i szkodził ludziom.

***

Szykują nowe pandemie – o tym w USA mówi się głośno i oficjalnie. W Polsce, gdy ktoś o tym wspomni, traktują go jak wyznawcę „teorii spiskowej". Czyli rząd polski uważa, że rząd amerykański jest foliarzem, bo nikt żadnej nowej pandemii nie szykuje. Podobnie „teorią spiskową" jest szkodliwe działanie promieniowania z anten 5G. W USA takie promieniowanie szkodzi zdrowiu, a w Polsce to samo promieniowanie jest zdrowe. Wobec polityków nie warto być miłym, lepiej być twardym. Na wiecu wyborczym trzeba pytać: Panie Szumowski, czy położy pan koło anteny swoją mamusię? Czy gdyby miał pan żonę w ciąży lub małe dziecko, to zdecyduje się pan na domek pod anteną?

W sprawie rozporządzenia o promieniowaniu ekspert powiedział tak:

Zwolennicy tezy o wysokiej szkodliwości PEM nie mają na to żadnych racjonalnych dowodów. Nie mam też zamiaru dyskutować z tymi, którzy wierzą w „ludobójcze działanie 5G". Podobnie jak nie mam zamiaru dyskutować ani z antyszczepionkowcami, ani z tymi, którzy wierzą, że tajemnicze siły chcą zniszczyć ludzkość zabójczymi „chemitrails".

Jednym słowem, ekspert machnął ręką na foliarzy wierzących w teorie spiskowe. Ekspert może sobie lekceważyć, kogo chce, ale władza… Władza ma obowiązek traktować obawy foliarzy POWAŻNIE. Nawet jeżeli foliarze nie mają żadnych racjonalnych dowodów, to są takimi samymi obywatelami jak reszta populacji i też płacą podatki. Ja sam wierzę w wiele „teorii spiskowych", a płacę w Polsce podatki KOLOSALNE. Władza powinna się spowiadać nie tylko tym, którzy są rozsądni i nie dają wiary „teoriom spiskowym". Powinna traktować poważnie także tych, którzy mają irracjonalne obawy i uważają, że 5G jest groźne.

***

Stany Zjednoczone aktualnie nie mają prezydenta. I to już nie jest teoria spiskowa, lecz fakt widoczny gołym okiem. Joe Biden nie jest prezydentem – jest pacjentem, nad którym coraz trudniej zapanować. Na rozdaniu medali weteranom wstał i wyszedł w trakcie uroczystości, której przewodniczył. W Wietnamie zaczął bredzić i w tym momencie zdesperowana konferansjerka po prostu odcięła mu mikrofon i puściła muzykę. Takie zdarzenia są na porządku dziennym. Biden przewraca się, idąc po schodach w górę, plecie niezrozumiałe treści, jąka się i zacina, myli, w którym kraju jest i do kogo mówi, opowiada bzdury o sobie (mój syn zginął na wojnie w Iraku – podczas gdy syn zmarł w USA z powodu choroby), Biden pomylił swoją siostrę z własną żoną, chodził w kółko po scenie bez orientacji, podawał rękę niewidzialnym postaciom i chwilę potem był zdziwiony, że na scenie nie ma nikogo poza nim samym.

„Pacjent Biden" to nie jest przenośnia, to jest dosłowna diagnoza demencji, do rozpoznania której nie trzeba mieć medycznej specjalizacji. Stary człowiek, który się przewraca, myli żonę z siostrą, opowiada bzdury na temat siebie, o których wiemy, że to nieprawda (np. gdzie studiował), wypowiada z głupia frant przypadkowe frazy „God save the queen", zaczyna zdanie wielokrotnie i nigdy nie kończy, nie pamięta, o czym mówi, bełkocze – to są znane powszechnie objawy demencji. Biden odpłynął. Ameryka nie ma prezydenta.

[Z ostatniej chwili: Biden w Hanoi zaczął całować lub wąchać pomnik weterana]. ©℗

eprasa.pl 60aa5cfbaf

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER: „MISTRZOWIE POLSKIEGO KABARETU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~492~~ ZŁ

215,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 277zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 60aa5cfbaf

NARODOWY BANK POLSKI

NBP

DZIĘKI NBP POLSKA JEST NA DOBREJ DRODZE, już od 5 miesięcy ceny prawie się nie zmieniły!

Wskaźnik wzrostu cen konsumpcyjnych miesiąc do miesiąca (w ostatnich pięciu miesiącach)

Dane GUS. Dane za sierpień – szybki szacunek GUS.

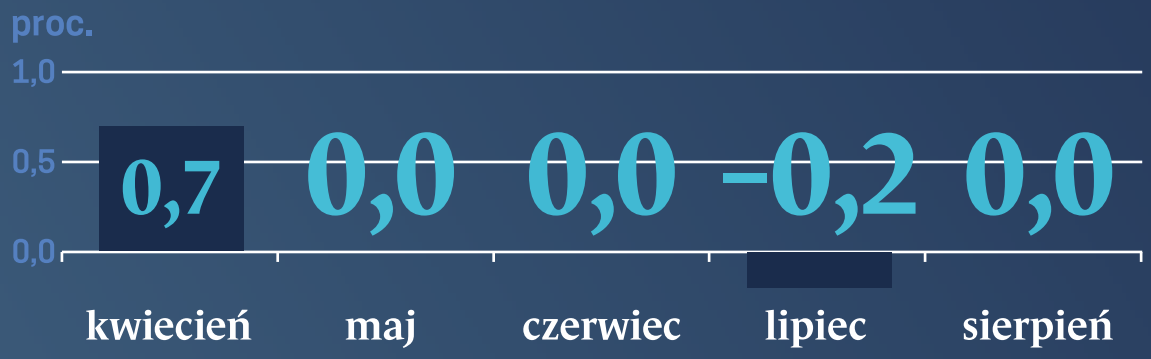

eprasa.pl 60aa5cfbaf